tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 9 (1364)
23.02-1.03.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Piotr Kimla
O fundamentach dialogu polsko-niemieckiego

Prof. Andrzej Wierzbicki
Jak myśli Rosja?

Eliza Sarnacka-Mahoney
„Washington Post" ofiarą Trumpa

Collegium Humanum
Coraz więcej oskarżonych

Polska liderem w zakupach złota

ZŁOTO WYPIERA DOLARA



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

epressa.pl 2ed9ed76bd

Zamów prenumeratę
PRZEGLĄDU

Darmowa dostawa do paczkomatu już w PONIEDZIAŁEK



InPost Paczkomat 24/7

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2ed9ed76bd



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Unia musi się zmienić

Wodzów ci u nas dostatek. Dużo gorzej z tymi, którymi chcą dowodzić. Losy Polski 2050 to świetny poligon badawczy dla socjologów i psychologów, a pewnie także dla psychiatrów. Na nieco ponad 30 osób z ekipy Hołowni co czwarta jest głęboko przekonana, że buława to jej naturalny sprzęt. Nie biorą pod uwagę, że ich przekonanie o wielkości to fatamorgana. Zniknie, jak tylko stracą fotele poselskie. Zostanie wstyd. I zapis w internecie, o którym wiadomo, że nie wybacza. Przypomni dzisiejsze głupoty nawet za dziesiątki lat.

Przypadek Polski 2050 to potwierdzenie starej prawdy, że nigdy nie powinno się pokazywać, jak się robi kiełbasę i politykę. To, co zobaczyliśmy dzięki masochistycznym występom polityków, którzy sami uchylili zasłony, nie jest jakimś szczególnym wyjątkiem. Tak jest niestety w polityce wszędzie. Tyle że na razie kurtyny w innych partiach są mocno trzymane przez liderów i ich najbliższe otoczenie. Zajrzeć można, gdy szwy pękają. A pękają, gdy liderzy słabną i nie potrafią zaspokajać rosnących apetytów członków ugrupowań.

Najbliżej tego momentu znalazło się PiS. Delfinów, którzy widzą się na miejscu prezesa Kaczyńskiego, jest tam wielu. Choć wszystkim tak do niego daleko jak z Warszawy do Bogatyni. Albo, jak ktoś woli – do Międzyzdrojów.

W ubiegłym numerze apelowaliśmy do czytelników, by wszelkimi możliwymi sposobami wpływali na parlament. W sprawie wyrazistego stosunku do rosnących w siłę środowisk, które chcą Polskę wyprowadzić z Unii Europejskiej. Apelowaliśmy o uchwalenie choćby skromnego bezpiecznika w postaci referendum.

Ciekawa i pouczająca jest dla mnie reakcja naszych czytelników. Około połowy popiera apel i argumentację redakcji. Wśród pozostałych przeważają pretensje do Unii. O nadmierną biurokrację. O chciejstwo, czyli Zielony Ład, który jest piękną ideą, ale niemożliwą do zrealizowania w kontrze do reszty świata. O uleganie big techom i amerykańskim pogróżkom. A z drugiej strony o zbyt duże wpływy Niemiec. Często i krytycznie podawany jest przykład nakrętek na butelkach.

Jest o czym myśleć. Mamy o czym pisać. Wniosek jest dość oczywisty. Musimy, myślę tu o środowiskach prounijnych, mocniej i skuteczniej wpływać na przemiany w samej Unii. W tej formie i z takim jak teraz działaniem będzie dostarczać argumentów zwolennikom polexitu. A tak przecież nie musi być. Czeka nas trudna walka ze zwolennikami opuszczenia Unii. Łatwiej jest atakować, niż bronić. Bo wtedy można snuć oderwane od realiów bałamutne wizje. Ale jak Unia nie będzie z nimi walczyć, to doczekamy się powtórki z Wielkiej Brytanii. Unia musi szybciej się zmieniać.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 2ed9ed76bd

W NUMERZE

ZAGRANICA
8 Jak myśli Rosja?
– rozmowa z prof. Andrzejem Wierzbickim
38 Od Watergate do masowych zwolnień
Korespondencja z USA
44 Czy kobiety zmienią Włochy?
Korespondencja z Rzymu
48 Amerykańskie zbrodnie wyzwoleńcze
Korespondencja z Francji

KRAJ
12 W odpowiedzi na apel „Przeglądu"
13 Elita cwaniaków
Tłumy z „dyplomami" Collegium Humanum
16 Wzlot i upadek Thomasa Rose'a
Prawie persona non grata
18 Złoto wypiera dolara
Polska liderem w zakupach kruszcu
22 Niebezpieczny „dietetyzm"
Gdzie moda i pieniądze, tam oszuści
25 Autonomia w polskiej edukacji
potrzebna od zaraz
26 Generał kocha i potrzebuje pieniędzy
Wyłudzenia „na żołnierza"

ZDROWIE
29 Cicha śmierć
Sepsa wciąż zabija

OPINIE
32 Piotr Kimla
Idea przedawnienia jako fundament stosunków polsko-niemieckich
42 Julian Stałgo
Dziwny jest ten nasz polski świat

HISTORIA
36 Śmierć na posterunku
Wopista – wiadomo, ten zły

SPORT
52 Kacper i Władek
Medale śnieżne i lodowe

KULTURA
54 Empatia może nas uratować
– rozmowa z Kasią Adamik
57 Qulturalia
58 Światło rzucone na światło
Wystawa w Spectra Art Space
66 Ja dla siebie nie istnieję
100. urodziny Krystyny Wojtyny-Drouet

PSYCHOLOGIA
60 Gdy nie odczuwa się niczego
Czym jest anhedonia

FELIETONY I KOMENTARZE
3 Jerzy Domański
Unia musi się zmienić
43 Roman Kurkiewicz
Wojny zwane ambicjami
47 Tomasz Jastrun
Butem w głowę
51 Wojciech Kuczok
W stanie przedwojennym



CICHA ŚMIERĆ
Sepsa wciąż zabija



AMERYKAŃSKIE ZBRODNIE WYZWOLEŃCZE
Korespondencja z Francji



EMPATIA MOŻE NAS URATOWAĆ
– rozmowa z Kasią Adamik



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Jako społeczeństwo jesteśmy coraz głupsi


JAKO SPOŁECZEŃSTWO JESTEŚMY CORAZ GŁUPSI

Niezwykłe możliwości manipulowania wyborcami

Czy też zauważacie, że społeczeństwo jest coraz bardziej otępiałe, ogłupiałe i coraz trudniej obcować z ludźmi bez wycieńczenia psychicznego? Od dłuższego czasu przyglądam się aktualnym trendom i tematom, które ludzie często i chętnie poruszają. Ciekawią mnie zainteresowania innych, ich nawyki i ogólny światopogląd. Mam wrażenie, że to wszystko idzie w niepokojącym kierunku. Czy społeczeństwo głupieje? Staje się otumanione, bardziej podatne na wszelkie manipulacje, działa mniej racjonalnie?

Miłościwie nam panujący ciężko pracują, żeby społeczeństwo było coraz głupsze, bo głupie nie zadaje niewygodnych pytań, tylko posłusznie realizuje to, co narzucą elity.

Nie jest żadną tajemnicą, że mimo nieporównywalnie łatwiejszego dostępu do wiedzy dzisiejszy uczeń czy student jest tak naprawdę, za przeproszeniem, głupszy niż np. przedwojenny. Różnice programowe są naprawdę duże, kiedyś uczeń musiał wiedzieć faktycznie dużo – i nie było to łatwe, nigdy nie było, nigdy nie będzie i, uwaga, nigdy nie ma być. Celem nie jest łatwość. W łatwości cywilizacja upada. Rozwija się w trudzie.

Michał Czarnowski

•

Nie tyle ogólna głupota przyrasta, ile stała się (niewspółmiernie do niedalekiej przeszłości) bardziej widoczna i, co ważniejsze, wreszcie doceniona i politycznie poprawnie uznana za pełnoprawny sposób bycia. W większości sytuacji i interakcji brak kompetencji uznaje się za społecznie neutralny stan, a nie deficyt wymagający korekty.

Robert Raczyński

Małe ojczyzny, wielkie miłości

Po lekturze felietonu prof. Andrzeja Szahaja („P” nr 7) ośmielam się dodać drobne uwagi do tekstu. Wszystkie wyrażenia „poznańskie”, które autor przytacza, są mi znane z dzieciństwa, ale np. szneka z glansem to za moich czasów była drożdżówka z lukrem, a nie z dżemem. Z Poznania do Chodzieży, skąd pochodzę, jeździłem nie banem, ale baną lub banajem. „Tej co się tak lyrasz” to było: „Ty, co się tak kiwasz”, a nie „lenisz”. W antrejce na ryczce – nie stały, ale stojały pyrki w tytce. W Krakowie rzeczywiście wychodzi się na pole, a w Wielkopolsce na dwór. A restauracja Smakosz w latach 60., 70. i później zawsze była na południowej pierzei ul. 27 Grudnia, między Placem Wolności a ul. Gwarną, a nie na ul. Armii Czerwonej.


Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Małe ojczyzny, wielkie miłości

Pochodzę z Chodzieży, a później przez Poznań i Rudę Śląską wylądowałem w Zielonej Górze, tak że gwara wielkopolska nie jest mi obca.

Marek Dankowski

•

Do 12. roku życia mieszkałem we wsi Ostrówki niedaleko Chodzieży. Do dziś pamiętam muzyczność języka, który mnie otaczał. Gdy pan kowal mówił o kimś, że „un jest tej ale w porzundku”, była tam kwarta, może nawet kwinta. Ciekawy jestem, czy autor potrafi wyrazić w ogólnej polszczyźnie to, co jedna pani mówiła do drugiej, gdy zbierały wiśnie (pewnie niedokładnie to zapamiętałem): „Tyn twój rojber z moimi szczunami polecieli do składu ćmiki kupić, szkieł ich rychtyk zoboczył i uni ale na szage bez cały szablok fyrnyli”.

Andrzej C. Leszczyński, Gdańsk

ZDJĘCIE TYGODNIA



Gorący temat – prasa dzień po zatrzymaniu przez policję byłego księcia Andrzeja. Brat króla Karola jest podejrzany o udostępnianie poufnych materiałów Jeffreyowi Epsteinowi. Londyn, 20 lutego 2026 r.

FOT. ABACA PRESS/FORUM

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Zysk banków na koniec 2025 r. wyniósł **48,7 mld zł.**

•

W partii Polska 2050 doszło do rozłamu. Piętnaścioro posłanek i posłów oraz trzech senatorów założyło nowy klub parlamentarny Centrum, z Pauliną Hennig-Kloską na czele.

•

Ponad **100 mld zł trafi do USA** za amerykańskie uzbrojenie. Za 96 śmigłowców AH-64E Apache zapłacimy ok. 40 mld zł.

•

Prezydent Nawrocki zawetował ustawę o języku śląskim. Nie wziął pod uwagę, że w czasie spisu powszechnego w 2021 r. używanie języka śląskiego w kontaktach domowych zadeklarowało 467,1 tys. osób. Narodowość śląską zadeklarowało 596,2 tys. osób. W tym 236,6 tys. jako pierwszą, a 187,4 jako drugą **(„Dziennik Zachodni").**

•

Zespół chirurgów z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, na czele którego stał **prof. Michał Grąt,** przeprowadził pierwszą w Polsce udaną operację usunięcia olbrzymiego nowotworu wątroby. W czasie 11-godzinnej operacji wyjęto wątrobę, która pozostawała poza ciałem pacjentki przez 4 godziny i 57 minut.

•

W polskich szkołach uczy się **295,5 tys. ukraińskich dzieci**, a **47,5 tys.** młodych Ukraińców **studiuje.**

•

Rośnie liczba dzieci opuszczonych przez rodziców biologicznych tuż po porodzie. W 2024 r. było ich w Polsce 859. O 20% więcej niż w 2023 r.

•

Przy ogólnym tempie wzrostu cen w 2025 r. na poziomie 4,2% są produkty, które bardzo podrożały. Najbardziej czekolada (wzrost o 32,4%), kawa mielona (30,1%), płyny do mycia podłóg (27,8%) i jajka (20,3%). Najbardziej staniał cukier (o 27,1%).

•

Wojciech Smarzowski został laureatem Nagrody im. Kazimierza Kutza. Reżyser otrzymał ją za wybitne osiągnięcia artystyczne, które łączą twórczość z zaangażowaniem społecznym.

•

376 tys. fikcyjnych faktur wykryła Krajowa Administracja Skarbowa w 2025 r.

•

Najlepiej opłacanymi sportowcami w 2025 r. byli: Cristiano Ronaldo (piłka nożna, 275 mln dol.), Stephen Curry (koszykówka, 156 mln), Tyson Fury (boks, 146 mln), Dak Prescott (futbol amerykański, 137 mln), Lionel Messi (piłka nożna, 135 mln), LeBron James (koszykówka, 133,8 mln), Juan Soto (bejsbol, 114 mln) i Karim Benzema (piłka nożna, 104 mln) **(„Angora").**

•

5489 chorych czekało w 2025 r. **na przeszczepy,** w tym 1122 osoby na przeszczep nerki.

•

61,2% badanych w sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" popiera planowaną przez rząd eliminację kary pozbawienia wolności za obrazę uczuć religijnych.

•

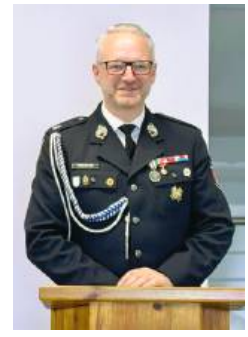
W Polsce działa **190 tys. wspólnot mieszkaniowych,** które skupiają 3,3 mln mieszkańców.

PRZEBŁYSKI



Śnieżyca i Duch Święty

Wiadomo, że Kacper Tomasiak, multimedalista olimpijski, ma silne nogi. Teraz potrzebne mu są równie silne plecy. Jak ten młody chłopak udźwignie tylu „ojców" jego sukcesów? Na czele z głośnym skandalistą Piesiewiczem. Pamiętamy, jak nieszczęsny prezes PKOl chciał przed olimpiadą zaorać Adama Małysza. I co? Sensację wywołał z kolei ks. Edward Pleń, który ujawnił, kto stoi za srebrnym medalem duetów. Nie uwierzycie, co powiedział „Super Expressowi": „Duch Święty sprowadził srebrną śnieżycę". Według ks. Plenia Duch Święty czuwał nad tą śnieżycą wokół skoczni. Nad księdzem czuwa od dawna, bo teraz w Predazzo zaliczył już 12. olimpiadę. Szkoda tylko, że Duch Święty nie miał serca dla innych olimpijczyków. Oczywiście tych z Polski.



Wojewoda Król z PSL gloryfikuje „Burego"

„Byli bohaterami, bo nie mieli innego wyjścia", powiedział wojewoda warmińsko-mazurski Radosław Król (PSL) podczas obchodów 80. rocznicy bitwy we wsi Gajrowskie w gminie Wydminy na Mazurach. Oddziały pod dowództwem Romualda Rajsa „Burego" wyrwały się wtedy z obławy Ludowego Wojska Polskiego i sił bezpieczeństwa. Dwa tygodnie wcześniej „bohaterowie" Rajsa spacyfikowali kilka wsi na Podlasiu, strzelali do dzieci i kobiet uciekających z podpalonych chałup i w Puchałach Starych zamordowali 30 furmanów za to, że ci jako Białorusini wyznawali wiarę prawosławną. W czasie uroczystości z udziałem kompanii honorowej i syna „Burego" wojewoda nie wspomniał, że „Bury" ponosi odpowiedzialność za zbrodnie wojenne i że jego działalność nosi znamiona ludobójstwa. Radosław Król z PSL, wcześniej wójt gminy Wydminy, to absolwent rybactwa śródlądowego, więc pewnie jest niedoinformowany historycznie. Ale dlaczego gloryfikuje zbrodniarza? Może prezes Kosiniak-Kamysz albo wicemarszałek Zgorzelski zafundują mu korepetycje.



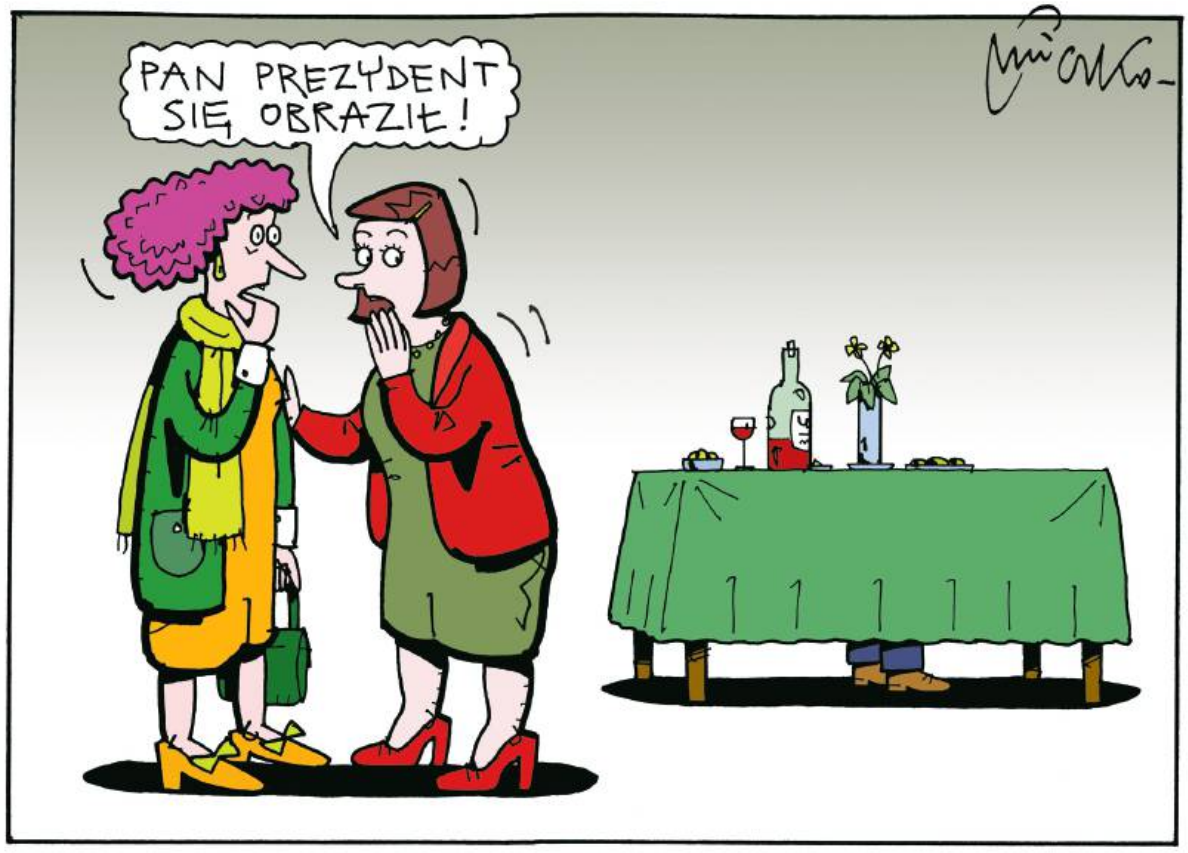
Andruszkiewicz z zarzutami

Jak to pozory mogą mylić. Wygląda, jakby myślenie bardzo go bolało. A gdy się odezwie, to wszystko boli słuchaczy, ale dla Morawieckiego i Nawrockiego Adam Andruszkiewicz ma jakieś zalety, i to na miarę ministra. Nie przeszkadzały im ciągnące się za Andruszkiewiczem od 2014 r. zarzuty o kierowanie grupą, która podrabiała podpisy na listach poparcia dla kandydatów Ruchu Narodowego w wyborach samorządowych. Coś dużego jest na rzeczy, bo prokuratura za czasów Ziobry nie umorzyła sprawy. Wręcz odwrotnie, sprawdzono 1761 podpisów i przesłuchano 1596 świadków. Gigantyczna robota. I są dowody, że to Andruszkiewicz kierował grupą przestępczą. Czeka go proces. Oraz pożegnanie z Pałacem Prezydenckim. Grajewo czeka.

FOT. ARCHIWUM, URZĄD WOJEWÓDZKI, PRZEMYSŁAW KELER/KPRP

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



LIST

W odpowiedzi na apel

Jestem całym sercem i rozumem za tym, aby powstała ustawa o referendum. Rozumiem osoby narzekające na przynależność Polski do Unii Europejskiej. Rozumiem, ale nie podzielam tego poglądu. Dlatego uważam, że o miejscu Polski na mapie geopolitycznej MUSI decydować Naród, a nie kilku ideologicznych bądź zastraszonych czy przekupionych polityków.

Nie wiem, czy ustawa o referendum w obecnym totalitaryzmie partyjnym coś da. Mamy konstytucję, a w niej art. 4, który mówi w ust. 1, że „władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej należy do Narodu". Ale dodaje w ust. 2, że „Naród sprawuje władzę przez swoich przedstawicieli lub bezpośrednio". Rzecz w tym, że Naród w Polsce nie ma swoich przedstawicieli we władzy. Bo przedstawiciel jest zależny mandatem do sprawowania władzy od wyborców. A w Polsce po wrzuceniu głosu do urny wyborca traci podmiotowość w tej materii do następnej kampanii wyborczej.

Dlaczego dla mnie jest ważne, by Polska była w Unii? Urodziłem się na terenie ówczesnego ZSRR, w Wilnie, i przez pierwsze pięć lat tam mieszkałem, zanim nie musieliśmy wyjechać do Polski. Moi rodzice i ich przodkowie byli z Wilna. Wilno było dla nich małą ojczyzną (choć nigdy u nich tego określenia nie słyszałem).

Dorastałem w Legnicy. Do roku 1968 mieszkaliśmy w starym budynku, który przed wojną prawdopodobnie był jednorodzinny. Pamiętam nostalgiczne rozmowy o Wilnie, ale pamiętam też nostalgiczne podejście Niemców do Legnicy. Czasem przyjeżdżali, pamiętam list z Niemiec do mojego ojca. Był zaadresowany poprawnie po polsku, po polsku napisany, koperta zwrotna z adresem niemieckim i bon na znaczek do RFN. Ojciec nie odpisał na ten list, bo się bał. Kiedy mieszkaliśmy jeszcze w Wilnie, trafił do rosyjskiego łagru i właśnie dlatego musieliśmy wyemigrować do Polski, tak poradził radca z polskiej ambasady w Moskwie. Ojca przywieziono w kajdankach do Przemyśla, tam był ponownie sądzony. Po rozprawie wyszedł na wolność.

Reasumując, urodziłem się w Wilnie, wychowałem w Legnicy, jedna wnuczka urodziła się w Dublinie, dwie wnuczki urodziły się w Żorach (gdzie mieszkam już prawie pół wieku). Chciałbym, aby te wszystkie miasta łączyła Unia Europejska.

Emerytowany górnik Józef Brzozowski

Za referendum

Wyjście tylko za referendum i tyle. Nie ma co siać fermentu. Zwłaszcza że oszołomy lubią głośno krzyczeć. Narracja się zmieni, jak ich mocodawcy zaczną liczyć pieniądze. Wtedy się okaże, że Unia taka zła nie jest, a część pieniaczy zacznie nagle mówić, że Unia to najlepsza rzecz na ziemi. Standardowe wycie na zasadzie „jestem za, a nawet przeciw". Ważne, że się waluta zgadza w mieszku.

Łukasz Lebioda

Czytaj więcej na s. 12

Felieton prof. Jerzego Bralczyka będzie się ukazywał co dwa tygodnie.

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Jak myśli Rosja?

Cztery lata wojny. Wszyscy się przeliczyli. I Rosja, i Ukraina, i Zachód

Rozmawia Robert Walenciak



PROF. ANDRZEJ WIERZBICKI
– profesor nauk społecznych, kierownik Katedry Studiów Wschodnich na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego

Panie profesorze, kiedy ta wojna, rosyjsko-ukraińska, się skończy?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. To pytanie z zakresu prognozowania, a prognozowanie w naukach społecznych, prognozowanie rzeczywistości społeczno-politycznej, w tym międzynarodowej, to karkołomne przedsięwzięcie.

Minister Ławrow powtarza, że muszą zniknąć pierwotne przyczyny konfliktu. Pan rozumie, co on ma na myśli?

– Rozumiem. Oni to powtarzają od kilku lat – denazyfikacja, debanderyzacja, uczynienie z Ukrainy kraju może nie tyle przyjaznego Rosji, ile przynajmniej neutralnego. Przekształcenie Ukrainy z anty-Rosji, tak jak ją budowano, w kraj, który nie stanowi platformy dla rywalizacji geopolitycznej, przyczółka dla sił, które Rosja uznaje przez siebie za wrogie, tj. z perspektywy rosyjskiej – usunięcie źródeł konfliktu.

Czyli?

– Czyli sił Zachodu, NATO, Stanów Zjednoczonych, niezależnie od tego, kto w tych Stanach Zjednoczonych rządzi, ponieważ niezależnie od władzy, republikańskiej czy demokratycznej, pomoc amerykańska dla Ukrainy jest dostarczana.

Doktryna Monroego po rosyjsku

Przyczyną była więc nie tyle sprawa terytoriów, ile to, kto w Kijowie rządzi.

– Nie uważam, że Rosja w tej wojnie chciała zająć całe terytorium Ukrainy. Choć pewnie ma ograniczone cele terytorialne. Ale one się zmieniają. Być może było to opanowanie Kijowa. Opanowanie Charkowa. Celem rosyjskim może też być odcięcie Ukrainy od Morza Czarnego. Chersoń, Nikołajew, Odessa… Czyli lądowe połączenie z Naddniestrzem. Dojście do linii Dniepru, całkowite zajęcie terytoriów, które proklamowano jako należące do Rosji po referendum w 2022 r. Być może to jest ten ostateczny cel.

A może mniej chodzi o ziemię, a bardziej o to, żeby zwasalizować Ukrainę?

– Możliwe, że w jakiś sposób tak. Przy czym my jako wasalizację będziemy zapewne traktowali neutralny status Ukrainy, czyli równy dystans do Rosji i do Zachodu. Ta wojna jest, o czym zapominamy, praktycznym przełożeniem rosyjskiej wersji doktryny Monroego. W 1993 r., jeszcze za Jelcyna, rosyjskie siły polityczne, od prawa do lewa, od liberałów do brunatno-czerwonych, uzgodniły, że obszar poradziecki to jest strefa wyłącznych wpływów i wyłącznych, przy tym żywotnych, interesów Federacji Rosyjskiej. I każdy, kto się pojawi na tym terenie jako rywal, jako ktoś, kto będzie chciał tam swoje interesy realizować, będzie traktowany jako intruz, jako najeźdźca, jako wróg. Z tym właśnie mamy do czynienia.

Te pomarańczowe rewolucje zostały w Moskwie uznane za wrogie działanie?

– Tak. One zostały w Moskwie przyjęte nie jako dążenie do demokracji, ale jako wejście na terytorium jej wyłącznych wpływów. Doskonale wiemy, że przecież nie o demokrację jako taką w nich chodziło.

To jest kluczowe – my mówimy o prawach narodu do wolności, do demokracji, a Moskwa o tym, kto co kontroluje.

– Tu chodzi o geopolitykę, o kontrolę nad przestrzenią, a nie o opowieść, że Ukraina broni wartości

eprasa.pl 2ed9ed76bd



Plakat reklamujący kontraktową służbę wojskową w armii rosyjskiej. Moskwa, 19 grudnia 2024 r.

europejskich czy demokratycznych. Zresztą gdzie są te wartości? Zorganizowana przestępczość, oligarchia, wszechogarniająca korupcja, zabójstwa na tle politycznym – to jest Ukraina. Czy to są wartości europejskie? W latach 90. przyjeżdżał do nas na wydział, w ramach różnych konferencji, Andrij Doroszenko, jako przedstawiciel prezydenta Kuczmy w Radzie Najwyższej Ukrainy. Był rosyjskojęzycznym Ukraińcem i wielkim patriotą swego kraju. Kulturalny, świetnie wykształcony młody człowiek. Później kontakt się urwał. Postanowiłem więc namierzyć Andrija Doroszenkę w sieci… i znalazłem, że bierze udział w programach ukraińskiej telewizji, gdzie piętnuje oligarchów, podkreślając, że przyczyniają się do rozkładu państwa itd. Któregoś dnia otrzymuję informację – to było już po Krymie, jakieś 10 lat temu – że Andrij Doroszenko wypadł z dziewiątego piętra budynku, w którym nie mieszkał.

Zabili go.

– A tylko mówił… Przedstawiał diagnozę swojego państwa, sytuację wewnętrzną. Że Ukraina jest rozdrapywana, że ukraińskie sukno jest przez oligarchów rwane. Okazało się, że posunął się za daleko. Tak więc o jakich wartościach mamy mówić?

Kto sprowokował tę wojnę?

Czy Rosja nie za dużo w tej wojnie zaryzykowała i nie za dużo straciła? Mam w pamięci artykuł jednego z profesorów MGIMO, który pisał w marcu 2022 r.: „Dwa miesiące temu mówiłem, że wojny nie będzie. Pomyliłem się. Ale to nie znaczy, że argumenty, które wówczas podawałem, były nietrafne. One są cały czas aktualne. Pisałem, że stracimy wpływy w Szwecji i Finlandii na rzecz NATO, że stracimy Europę jako rynek zbytu, zwłaszcza dla gazu i ropy. Że skłócimy się z Ukraińcami na wiele pokoleń. Uzależnimy się w dużym stopniu od Chin". Te przestrogi się ziściły. Czy gra jest tyle warta? Czy Rosja nie przestrzeliła?

– Trudno mi ocenić, czym kierował się prezydent Rosji, nie jestem specjalistą od stanu jego duszy czy umysłu. Mogę jedynie stwierdzić, że wbrew obiegowym opiniom nie rządzi sam i jak każdy przywódca ma swoje najbliższe otoczenie. Ten ośrodek władzy nazywam „kolektywnym Putinem", bo prezydent Federacji jest, można powiedzieć, reprezentantem pewnych grup interesów. A co do wojny, to każda wojna jest ryzykiem i każda jest złem, bez względu na to, kto ją wszczyna i jakie ma intencje. Ta wojna też jest złem i każdy jej toczący się dzień jest tym jednym dniem za długo.

Spróbujmy pokazać tę wojnę oczami tych, którzy rządzą Rosją. Na co liczyli?

– Patrząc ich oczami – były z ich strony próby rozmów ze Stanami Zjednoczonymi, z ówczesnym prezydentem Joem Bidenem. Ale te wszystkie próby spotkały się nawet nie z odpowiedzią negatywną, tylko zostały arogancko potraktowane. Tak odebrano to w Moskwie.

Można więc było wojny uniknąć?

– Hasło „niesprowokowana wojna" jest błędem. Pisze o tym m.in. Glenn Diesen w książce „Nowy porządek świata po wojnie ukraińskiej". Ono nie ma odzwierciedlenia w rzeczywistości, bo do tej wojny przyczynili się i Amerykanie, i Zachód, a i sama Ukraina. Związki Ukrainy z Rosją są nie tylko kulturowe czy religijne, ale i demograficzne, rodzinne. Rosjanie doskonale wiedzieli, ile środków Zachód inwestował w zbrojenia Ukrainy, ile przeprowadzono z Ukrainą

eprasa.pl 2ed9ed76bd

manewrów wojskowych, w których przygotowywano się do ataku na Rosję. Potwierdzają to zresztą źródła zachodnie. Rosjanie interpretowali te działania w ten sposób, że jeśli odpuszczą Ukrainę, to będą mieli tam wojska NATO i ich bezpieczeństwo będzie bardzo poważnie, żywotnie zagrożone. Nie chcę w ten sposób usprawiedliwiać Rosji, że dokonała prewencyjnego uderzenia i prowadzi „sprawiedliwą wojnę". Chcę tylko podkreślić, że jeśli chodzi akurat o ten konflikt, to sprawdzają się nieco sparafrazowane ewangeliczne słowa: „Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem".

Rosja nie jest dodatkiem do Chin

Spójrzmy na wojnę inaczej. Kto na niej zyskuje, a kto traci?

– Najbardziej traci Ukraina, bo jest niszczona, rujnowana i wyludniana.

A Rosja? Chyba nie jest silniejsza, niż była?

– To zależy. Jeśli chodzi o pozycję międzynarodową, mówi się o izolacji Rosji. Ale jaka to izolacja? To, że Putin nie może wjechać do Europy, nie stanowi dla niego wielkiego kłopotu, bo Europa to nie jest cały świat. Mamy BRICS, mamy Afrykę, Azję. Są miejsca, gdzie witają go z honorami.

Na przykład Alaska.

– Chociażby. Bałbym się jednoznacznie stwierdzić, czy wojna wzmacnia Rosję, czy osłabia. Każda wojna w długiej perspektywie osłabia dane państwo i ma destrukcyjny charakter. Ale przynosi też pewne pozytywne zjawiska, w sensie napędzania koniunktury czy konsolidacji społeczeństwa, które wierzy, że reprezentuje „dobro", a walczy ze „złem". W tym wypadku „złem" nie jest sama Ukraina, lecz wszyscy ci, którzy z rosyjskiej perspektywy doprowadzili do tej wojny.

Społeczeństwo popiera więc władzę.

– Zwolenników władzy jest większość. Ta większość popiera wojnę. Natomiast niezależnie od tego, czy ktoś wojnę popiera, czy nie, są tam obawy co do przyszłości, ale nie tyle przyszłości geopolitycznej Rosji, ile sytuacji wewnętrznej. Na przykład jak będą się zachowywać weterani wojenni, gdy wrócą? Czy nie będzie takiego syndromu jak syndrom wojny afgańskiej albo wojny czeczeńskiej?

Myślę też, że przesadzamy, mówiąc o sankcjach, które Rosji szkodzą. Owszem, z jednej strony szkodzą, ale z drugiej – wzmacniają. Rosja ma olbrzymi potencjał wytwórczy, intelektualny, technologiczny, który został stłamszony po rozpadzie Związku Radzieckiego, bo oni wtedy uznali, że można wszystko sprowadzić z zagranicy, a to, co zagraniczne, traktowano jako lepsze, wyższej jakości, bardziej prestiżowe. Teraz, gdy sytuacja się zmieniła, uruchamiają te swoje dotychczas niewykorzystane moce – zaplecze intelektualne i technologiczne. Wprowadzają swoją produkcję.

I uzależniają się od Chin.

– Nie jestem przekonany, że Rosja staje się dodatkiem do Chin. Owszem, Chiny są potężniejsze technologicznie i demograficznie. Ale spójrzmy z punktu widzenia geopolityki. Jednym z jej twórców był Halford Mackinder. Pisał on, że kto panuje nad śródziemiem, nad Heartlandem, a znaczną jego część zajmuje Rosja, ten panuje nad światem.

To było w książce z 1919 r. „Demokratyczne ideały a rzeczywistość": „Kto panuje we wschodniej Europie – panuje nad sercem Eurazji. Kto panuje nad sercem Eurazji, ten panuje nad wyspą światową. Kto panuje nad wyspą światową, ten panuje nad światem".

– Heartland był przez wieki polem ekspansji różnych sił. Także ekspansji Zachodu. Dziś Rosja jest w jego centrum, a Chiny są na obrzeżach. I nawet jeżeli są potężniejsze, ekonomicznie i demograficznie, to z geopolitycznego punktu widzenia tracą te przewagi wobec Rosji, która w Heartlandzie panuje. Bezpieczeństwo globu nie może pomijać Rosji, właśnie ze względu na jej położenie geopolityczne.

Bezpieczeństwo globu nie może pomijać Rosji, właśnie ze względu na jej geopolityczne położenie.

Dodam, że zwrot Rosji ku Chinom został wymuszony przez Zachód. Z cywilizacyjnego punktu widzenia Rosji jest bliżej do Zachodu. Oni są cywilizacją prawosławno-bizantyjską, mają z naszą cywilizacją euroatlantycką wspólny rdzeń. Woleliby być z nami. Ale nie mieli wyboru.

Dlaczego nie mieli wyboru?

– John Mearsheimer w książce „Tragizm polityki mocarstw" pisze, że mocarstwa muszą się równoważyć. A obecnie nie ma już świata dwubiegunowego, z supermocarstwami USA i ZSRR. Sytuacja wymaga więc innego równoważenia – dziś w gronie trzech: Stanów Zjednoczonych, Chin i Rosji. I teraz jest kwestia ułożenia tych konstelacji. Jeżeli więc Stany Zjednoczone zwróciły się przeciwko Rosji, to Rosja szukała przeciwwagi.

Oni uważają, że Zachód jest wiarołomny

Jest i inne rozwiązanie. Hasło Kohla i Gorbaczowa – Europy od Lizbony do Władywostoku. Że my, Europejczycy, dajemy Rosji technologie, a oni dają nam surowce. Wszyscy zyskujemy, bo Europa ma tanie surowce, tani gaz, może być konkurencyjna, a Rosja ma dostęp do najnowszych technologii, może się szybko rozwijać. To byłaby największa potęga świata. Dlaczego to zostało pogrzebane?

– Nie chcę być adwokatem Rosji, ale nie sądzę, że to się nie udało tylko z jej winy. To strona europejska uznała, albo sama z siebie, albo ktoś ją inspirował, że trzeba zmienić politykę wobec Rosji. Rosja liczyła na to, że będzie traktowana podmiotowo. Że po rozpadzie Związku Radzieckiego nie ma już podziałów ideologicznych, że mamy ten sam system, kapitalistyczny. No i mamy, przynajmniej nominalnie, demokrację, wybory się odbywają. Choć wygrywa ten, kto ma wygrać. A tu nagle się okazało, że jest coś ważniejszego – geopolityka.

Przecież Rosja po zamachach z 11 września była bardzo zainteresowana współpracą z Zachodem. Ale widocznie komuś to przestało się podobać. I wróciło przekonanie,

eprasa.pl 2ed9ed76bd

że Rosja jest tym podmiotem, który przeszkadza, a przeszkadza, ponieważ chce zachować suwerenność i samoistność. Także w opanowaniu świata, niekoniecznie militarnym, weźmy pod uwagę panowanie ideologiczne, kulturowe, gdyż kontroluje Heartland, chociaż sama nie przejawia dążenia do panowania nad światem.

A czy Rosja też nie dała się podpuścić? Czy jej działania nie są efektem z jednej strony strachu przed pomarańczowymi rewolucjami, z drugiej – eksplozji myślenia nacjonalistycznego?

– Myślę, że tak. Oni uważają, że Zachód jest wiarołomny.

Czy to jest myślenie przedstawicieli rosyjskiej władzy?

– Na pewno Rosja, w ich rozumieniu, pozbyła się złudzeń w stosunku do Zachodu. My mówimy, że Rosja nie dotrzymuje umów. Ale Rosja mówi to samo o Zachodzie. Jaka była ich reakcja po nieudanych negocjacjach w Stambule? Czuli się kompletnie oszukani.

Mówi pan o tych pierwszych pokojowych negocjacjach z Ukrainą? Kiedy było już bardzo blisko do podpisania pokoju?

– Tak. Rosjanie, w związku z wojną z Ukrainą, przypominają też, że Zachód nie dotrzymał porozumień mińskich. Angela Merkel przyznała się zresztą, że te umowy były tylko dla zyskania czasu. Żeby później wznowić działania wojenne. I taka jest perspektywa myślenia przywódców Rosji. Z ich punktu widzenia to szerszy konflikt, to nie jest wojna rosyjsko-ukraińska. To wojna z Zachodem, bo Ukraina sama, bez pomocy Zachodu, już dawno zostałaby pokonana. Wspomniany John Mearsheimer pokazuje te uwarunkowania, stara się zrozumieć rosyjski sposób myślenia. I mówi: może nam się to podobać lub nie, ale my na ich miejscu zrobilibyśmy tak samo.

Rosja między Wschodem a Zachodem

Co ekipa rządząca dziś Rosją myśli o tzw. zapadnikach, nurcie obecnym w historii Rosji od stuleci, nastawionym na współpracę z Europą, a których się pozbyła?

– Znaczna część opozycji liberalnej w Rosji została. Ale wyjechała duża część przedstawicieli elit, niekoniecznie politycznych, lecz – szerzej rozumiejąc – elit społecznych: artyści, muzycy, intelektualiści, ludzie zorientowani prozachodnio. Jeden z przedstawicieli neoeurazjatyzmu, nurtu rosyjskiej myśli politycznej, Lew Gumilow, głosił teorię etnogenezy, w której wyróżnił trzy typy jednostek. Jedną z nich są tzw. jednostki subpasjonarne. To jednostki niezdolne do twórczej energii, czyli są właściwie pasożytami, można powiedzieć – piątą kolumną. I w tej chwili, jeśli przyjąć teorię Gumilowa, Rosja dokonała samooczyszczenia – bo ta piąta kolumna, ci zapadnicy wyjechali z kraju. Gumilow przytaczał również pogląd, który miał być reprezentowany przez Aleksandra Newskiego, postawionego przed wyborem między Zachodem i Wschodem, Europą i Azją. Newski wybrał Wschód, Azję, ponieważ w jego opinii Mongołowie żądali jedynie podporządkowania politycznego, a Zachód również podporządkowania duchowego, religijnego.

Myśli Gumilowa, który zmarł w 1992 r., rozwija Aleksander Dugin?

– Nie do końca. Błędnie się podaje, że Dugin jest ideologiem kremlowskim. Nie jest. W koncepcji eurazjatyckiej nie przewiduje się sojuszu Rosji z Chinami. Lew Gumilow przestrzegał przed takim sojuszem, twierdził, że może być dla Rosji katastrofalny, ponieważ Rosja i Chiny to według niego dwa superetnosy, a relacje między takimi strukturami są zdane na konflikt.

Chiny – niepewne, Zachód – wiarołomny i podstępny. Jak żyć?

– Rosjanie teraz liczą na to, że w ich rozumieniu Europa „opamięta się" i dojdą tam do głosu siły, które będą chciały przywrócić relacje z Rosją, współpracę gospodarczą. Front Narodowy we Francji, AfD w Niemczech… Rosjanie uważają, że są to zdrowe siły europejskie, pronarodowe, racjonalne, pragmatyczne, a nie globalistyczne; że myślą one w interesie tych państw, a ten interes polega również na współpracy z Rosją. Przecież gospodarka niemiecka poniosła olbrzymie straty w związku z tym, że została pozbawiona dostaw tanich surowców.

Wspominaliśmy już o tym. Wojna uderza i w Europę, i w Rosję.

– W ogólnym rozrachunku na pewno Rosja chciałaby tę wojnę zakończyć, tym bardziej że Ukraina coraz śmielej dokonuje ostrzału jej terytorium, atakuje składy ropy, zakłady…

Ludzie giną.

– Straty w ludziach, a chodzi mi o straty poniesione w wyniku działań bojowych, po obu stronach są odczuwalne. Pojawiają się w krajobrazie nowe groby, nowe cmentarze.

Zwrot Rosji ku Chinom został wymuszony przez Zachód. Z cywilizacyjnego punktu widzenia Rosji jest bliżej do Zachodu.

Także w Rosji.

– To na pewno Rosji nie wzmacnia, ale z drugiej strony buduje kult kolejnej wojny, wielkiej wojny ojczyźnianej. To napędza ducha patriotycznego i w ten sposób Rosję wzmacnia. Widziałem różne materiały, oczywiście ktoś może powiedzieć, że propagandowe, ale mają jakiś zamysł. Są żołnierze, którzy mówią: ja Azerbajdżanin – ja ruskij sołdat, ja Dagestaniec – ja ruskij sołdat, ja Czeczen – ja ruskij sołdat… Ja bym tego nie lekceważył. Separatyzmy w Rosji zawsze się tliły, ale do tego dochodzą inne przyczyny, które powodują, że oni jednak chcą być razem. A wojna ten wspólnotowy nurt wzmacnia.

Mamy tragiczne zapętlenie.

– Zachód za dużo chciał i jeśli odwrócić zadane wcześniej przez pana pytanie, to również Zachód przeliczył się w swoich kalkulacjach wobec Rosji i teraz mamy konflikt o znacznie szerszym zasięgu, wykraczający poza relacje rosyjsko-ukraińskie. A na tym wszystkim traci najbardziej Ukraina, nasi sąsiedzi. Prości, zwyczajni ludzie, którzy jak zwykle są największą ofiarą wielkiej polityki.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2ed9ed76bd

APEL

Nastroje społeczne w Polsce ewoluują w niebezpiecznym kierunku. Jeszcze niedawno poziom polskiego entuzjazmu dla Unii Europejskiej był jednym z najwyższych na kontynencie. Dziś, choć zdecydowana większość naszego społeczeństwa chce pozostać w Unii, nadal być członkiem europejskiej rodziny, to jednak przybywa zwolenników jej opuszczenia, skupionych w PiS i Konfederacjach. Opiniom takim nie pomaga ośrodek prezydencki, zapatrzony w Donalda Trumpa, a więc i w jego politykę niechętną Unii. Jesteśmy przekonani, że Koalicja 15 Października utrzyma władzę do końca kadencji, wierzymy, że po wyborach powstanie ponownie koalicja proeuropejska, ale wybory te odbędą się już za półtora roku, trzeba więc działać natychmiast.

Warto bowiem pamiętać: wyjście Polski z Unii Europejskiej byłoby łatwe do przeprowadzenia. Wystarczyłaby zwykła większość parlamentarna, a następnie podpis prezydenta. Taki jest tryb wypowiadania umów międzynarodowych. Rzecz jednak w tym, że – po pierwsze – akces do Unii Europejskiej nie jest zwyczajną umową. Po drugie, akces ten dokonał się na mocy ogólnonarodowego referendum. Przeczyłoby zdrowemu rozsądkowi, gdyby decyzja całego narodu mogła być unieważniona przez tymczasową większość w parlamencie. Nie mówiąc już o tym, że byłoby to zapewne niezgodne z konstytucją.

Członkostwo Polski w Unii Europejskiej jest podstawową sprawą dla naszego bytu narodowego. Nie wolno oddawać go politycznym awanturnikom i powierzać przypadkowym partyjnym układom.

W tej sytuacji APELUJEMY do wszystkich posłów i senatorów, niezależnie od politycznej orientacji, o wsparcie na rzecz ustawy o referendum.

Zespół „Przeglądu”

Nasz apel o wsparcie na rzecz ustawy o referendum przy decydowaniu w sprawie członkostwa w Unii Europejskiej poparli m.in. Józef Brzozowski, Jan Mrzygłód, Aleksander Pietras, Małgorzata Pietras, Jakub Pietras, Olek Pietras, Krzysztof Obremski, Jan Rawa, dr hab. Jerzy Drewnowski, Wojciech Kuczok, Stanisław Matuła, prof. Czesław Skowronek, Łukasz Lebioda.

•

Zdecydowanie popieram apel do Sejmu w sprawie ustawy o referendum.

Jan Mrzygłód

•

Popieramy i domagamy się ustawy o referendum przy występowaniu z Unii. Obecny stan prawny jest kuriozalny, grupa zmanipulowanych bądź nieświadomych posłów może zdecydować o wystąpieniu z Unii. Proszę o podanie, jakie dane trzeba przekazać oprócz imienia i nazwiska.

Aleksander Pietras
Małgorzata Pietras
Jakub Pietras
Olek Pietras

•

Dołączam do apelu o ustawowe utrudnienie wyjścia Polski z Unii.

Krzysztof Obremski

•

Mam 80 lat i spory bagaż życiowych doświadczeń i nie wyobrażam sobie tego, aby w imię jakichkolwiek interesów politycznych możliwe było decydowanie o losach całego społeczeństwa, które w referendum opowiedziało się za Polską w Europie.

Jan Rawa

•

Gorąco popieram inicjatywę procedowania ustawy o utrudnieniu wyjścia Polski z Unii Europejskiej. W pełni podzielam formułowane przez „Przegląd” argumenty uzasadniające tę potrzebę i sposoby przeciwdziałania.

Dr hab. Jerzy Drewnowski

•

Podpisuję się pod apelem Redakcji, wspieram z całej mocy i mam nadzieję, że zmobilizujemy wspólnymi siłami nasz rząd do zabezpieczenia ojczyzny przed siłami ciemnych, tępych i zajadłych wyznawców żoliborskiego gnoma, a także Onucego Brauna i wszelkiej maści antyunijnych wirusów.

Wojciech Kuczok

•

Gorąco popieram inicjatywę procedowania ustawy o utrudnieniu wyjścia Polski z Unii Europejskiej. W pełni podzielam formułowane przez Pana [redaktora naczelnego] i „Przegląd” argumenty uzasadniające tę potrzebę.

Stanisław Matuła

•

Popieram apel redakcji w sprawie członkostwa Polski w Unii Europejskiej.

Prof. Czesław Skowronek

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Elita cwaniaków

W aferze Collegium Humanum zarzuty prokuratorskie usłyszało już ponad 80 osób. I będzie ich jeszcze więcej

Andrzej Sikorski

Ludzie nauki, politycy, prezesi spółek skarbu państwa, dyplomaci, biznesmeni, urzędnicy państwowi i samorządowi, sportowcy, wysocy rangą strażacy, wojskowi i policjanci połakomili się na tanie, szybkie i bezstresowe studia MBA w podejrzanej szkółce prowadzonej przez Pawła C., cwaniaka, który kreował się na wybitnego naukowca, człowieka wpływowego i niezwykle religijnego. Za 10 tys. zł można było zdobyć prestiżowy dokument upoważniający do zasiadania (i zarabiania gigantycznych pieniędzy) w radach nadzorczych spółek skarbu państwa i spółek należących do samorządów.

Śmietanka

Jednak dla sporej grupy, szczególnie ludzi ze świecznika, nawet taka parodia studiów to było zbyt wiele i upragnione dyplomy – nie tylko MBA, ale też licencjackie i magisterskie – po prostu kupili, wręczając rektorowi Pawłowi C. łapówki. Zarzuty dotyczą nie tylko wystawiania fikcyjnych dokumentów i posługiwania się nimi, wręczania i przyjmowania łapówek, lecz także oszustwa, pośrednictwa we wręczaniu łapówek, powoływania się na wpływy i prania brudnych pieniędzy. Rektor i założyciel Collegium Humanum, chełpiący się wsparciem prezydenta Andrzeja Dudy, prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, marszałkini Sejmu Elżbiety Witek, ministrów Jacka Sasina i Przemysława Czarnka, a nawet kard. Kazimierza Nycza, z pomocą swoich współpracowników stworzył doskonale prosperujący proceder przestępczy.

W listopadzie 2025 r. prokuratura skierowała do sądu pierwszy akt oskarżenia obejmujący 29 osób. Na ławie oskarżonych zasiądzie prawdziwa elita! Między innymi prezydent Wrocławia Jacek Sutryk, byli europosłowie PiS Karol Karski i Ryszard Czarnecki, żona Czarneckiego Emilia Hermaszewska, były rzecznik prezydenta Dudy Błażej Spychalski i jego żona, pisowscy komendanci Państwowej Straży Pożarnej, były dyrektor biura Polskiej Komisji Akredytacyjnej Artur G. oraz kilkunastu rektorów prywatnych szkół wyższych. Ci ostatni podobnie jak rektor Collegium Humanum mieli m.in. wręczyć łapówki Arturowi G. w zamian za załatwienie pozytywnych decyzji akredytacyjnych.



Rektor Paweł C. na uroczystej inauguracji roku akademickiego w Collegium Humanum. Warszawa, 26 października 2023 r.

Być może do tych osobistości dołączą następne znamienite postacie. Niedawno zarzuty usłyszeli ambasador RP we Francji Jan Rościszewski, były poseł PiS Maks K. i członek zarządu VeloBanku Paweł P. Zdaniem prokuratury Rościszewski wręczył rektorowi Collegium Humanum 9,2 tys. zł łapówki za dyplom studiów EMBA (Executive Master of Business Administration) i posłużył się tym dokumentem w jednym z banków podczas ubiegania się o funkcję członka rady nadzorczej. Oprócz tego ekscelencja miał nakłaniać rektora do przyjęcia łapówek w zamian za wystawienie fikcyjnych dyplomów innym osobom.

Maks K., który po 12 latach zasiadania w Sejmie w 2016 r. nieoczekiwanie zrezygnował z mandatu i dzięki układom politycznym trafił na stołek wiceprezesa państwowego PKO BP oraz do rad nadzorczych spółek zależnych, usłyszał cztery zarzuty, w tym powoływania się na wpływy w Ministerstwie Edukacji i Szkolnictwa Wyższego „w celu doprowadzenia do podrobienia dokumentów ukończenia studiów na kierunku psychologia przez (...) Paulę G., a także podejmowania się załatwiania spraw na rzecz Collegium Humanum", oraz nakłaniania rektora Collegium Humanum „do przyjęcia korzyści majątkowej w związku z uzyskaniem poświadczających nieprawdę dyplomów ukończenia

FOT. ŁUKASZ KALINOWSKI/ EAST NEWS, MICHAŁ ŻEBROWSKI/ EAST NEWS

eprasa.pl 2ed9ed76bd

studiów EMBA przez Jana R., Pawła P. oraz inną osobę".

Natomiast bankowiec Paweł P. usłyszał sześć zarzutów, „w tym dotyczących trzykrotnego wręczenia rektorowi Collegium Humanum korzyści majątkowej w zamian za uzyskanie fikcyjnych dyplomów ukończenia studiów EMBA dla siebie oraz innej osoby, a także posłużenia się tymi dokumentami w jednym z banków w związku z ubieganiem się o funkcję członka rady nadzorczej".

Choć afera Collegium Humanum nazywana jest aferą PiS, to wśród posiadaczy podejrzanych dyplomów, a nawet znajomych rektora Pawła C., są też politycy związani z Koalicją Obywatelską, Polską 2050, PSL i Konfederacją.



W listopadzie 2025 r. prokuratura skierowała do sądu akt oskarżenia obejmujący 29 osób, w tym byłego europosła PiS Ryszarda Czarneckiego. Nz. doprowadzony do Prokuratury Krajowej, Katowice, 11 września 2024 r.

Damy z intelektem

Aleksandra Gajewska, popularna posłanka warszawskiej Platformy Obywatelskiej i wiceministra rodziny, pracy i polityki społecznej, twierdzi, że dyplom MBA zdobyła legalnie, zdając egzamin i uczęszczając na wszystkie zajęcia, na co ma świadków. Nawet jeśli tak było, jej dyplom jest niewiele wart. Prawdziwe studia MBA na renomowanych uczelniach trwają zazwyczaj dwa lata i żeby się na nie dostać, trzeba się wykazać co najmniej trzyletnim doświadczeniem zawodowym na stanowisku kierowniczym oraz biegłą znajomością języka angielskiego, przejść test kompetencyjny i rozmowę kwalifikacyjną. Koszt takiej edukacji waha się od kilkudziesięciu do nawet 100 tys. zł. Tymczasem w Collegium Humanum wystarczyło zapłacić 10 tys. zł i zaliczyć kilkumiesięczny kurs, często online. Ale Gajewska nie ma sobie nic do zarzucenia.

Magdalena Roguska, posłanka PO, wiceministra w MSWiA oraz zaufana Marcina Kierwińskiego, choć z wykształcenia jest filologiem i nigdy nie zajmowała się biznesem (pracowała w biurze klubu parlamentarnego KO), też jest posiadaczką dyplomu MBA Collegium Humanum. Dzięki niemu w grudniu 2023 r., a była wtedy radną w Warszawie i szefową gabinetu politycznego Kierwińskiego, została członkiem rady nadzorczej Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Pytana o kompetencje przyznała, że ma dyplom MBA. Jednak po dwóch miesiącach zrezygnowała z posady. Według Marcina Kierwińskiego Roguska nie została odwołana ze względu na podejrzany dyplom, lecz trafiła do PWPW „na czas określony celem zapobieżenia dziwnym transakcjom, które mogły się zdarzyć w wyniku działań poprzedniej rady nadzorczej, a więc aby bronić pieniędzy publicznych".

Szef MSWiA, tłumacząc swoją przyjaciółkę, stwierdził, że znakomita większość absolwentów Collegium Humanum „to są osoby uczciwe, które są ofiarami uczelni i rektora" i „powinni podejść do egzaminu państwowego, zdać go na członków rad nadzorczych". I słusznie, choć Roguska mogłaby podnieść poprzeczkę i zapisać się na studia MBA na Harvardzie. Trwają one „tylko" dziewięć miesięcy, ale wykłady odbywają się stacjonarnie, każdego dnia po osiem godzin, a do tego dochodzą liczne zajęcia pozalekcyjne. Tyle że protegowana ministra Kierwińskiego musiałaby się przeprowadzić do Bostonu i przeznaczyć na prestiżową edukację co najmniej 600 tys. zł. Ale po co, skoro za ułamek tej ceny uzyskała „zgodnie z procedurami" polską podróbkę?

Panowie marszałkowie

Nieciekawie wygląda sytuacja Szymona Hołowni. Były marszałek Sejmu zarzeka się, że jego noga nigdy nie postała w aferalnej uczelni. I mówi prawdę. Według ustaleń dziennikarzy Hołownia studiował, ale fikcyjnie. Nie chodził na zajęcia, zaliczenia ani egzaminy, a dyplom potwierdzający ukończenie studiów magisterskich z psychologii czekał na niego w sejfie rektora Pawła C. Ale z jakichś powodów niedoszły prezydent RP i wysoki komisarz ONZ ds. uchodźców go nie odebrał. Hołownię z Pawłem C. skontaktował Michał Kobosko (teraz europoseł), który też miał studiować w Collegium Humanum. W listopadzie

eprasa.pl 2ed9ed76bd

2025 r. funkcjonariusze CBA na polecenie prokuratury zabezpieczyli oryginalne podpisy Hołowni, aby biegły grafolog mógł je porównać z tymi złożonymi na dokumentach znalezionych w Collegium Humanum.

Swoich związków z Collegium Humanum wypierał się wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak. Pytany przez dziennikarza TVN 24 oświadczył, że nigdy tam nie studiował, ale rozważał studiowanie i złożył papiery. Po jakimś czasie polityk Konfederacji zmienił zdanie i przyznał, że zaliczył dwa semestry. Zapewnił jednak: „Nigdy żadnego dyplomu od nich nie miałem i nie chciałem mieć", co zabrzmiało absurdalnie. Z dziennikarskiego śledztwa przeprowadzonego przez Piotra Krysiaka z portalu Goniec wynika, że Bosak mijał się z prawdą. Spotkał się z rektorem Pawłem C. i panowie ustalili „indywidualny tok studiów". Ponieważ Bosak nie miał czasu nawet na tak komfortową formę edukacji, w jego zastępstwie na zajęcia i egzaminy chodził kolega Tomasz Warowny. Studencka kariera lidera Konfederacji zakończyła się nagle w czerwcu 2022 r. wraz z publikacją w „Newsweeku" demaskatorskiego tekstu „Fabryka partyjnych dyplomów" opisującego kulisy afery Collegium Humanum.

Ofiara prowokacji i ofiara losu

Wszystko wskazuje na to, że przed obliczem prokuratora stanie poseł Koalicji Obywatelskiej Michał Kołodziejczak. Polityk miał zapłacić 14 tys. zł za fikcyjne studia licencjackie z zarządzania na Collegium Humanum i dodatkowo 4 tys. zł Bernardowi K., pośrednikowi i rekruterowi podejrzanemu o załatwianie lewych dyplomów. Szokujące jest, że Kołodziejczak zapisał się na lipne studia w styczniu 2024 r., czyli gdy był już sekretarzem stanu w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi i gdy wszystkie media trąbiły o aferze z podejrzanymi dyplomami, a prokuratura prowadziła śledztwo.

Składając dokumenty do Collegium Humanum, Kołodziejczak przedłożył sfałszowane zaświadczenie jednej z uczelni na Śląsku, z którego miało wynikać, że studiował tam wcześniej przez sześć semestrów. Lewy kwit załatwił mu Bernard K., a potrzebny był do tego, aby wiceminister rolnictwa mógł skończyć studia w przyśpieszonym tempie. W rozmowie z Polsat News Kołodziejczak tłumaczył się jak dziecko, kreując się na „ofiarę prowokacji politycznej". Twierdził, że zadzwonił do niego jakiś człowiek i przedstawił ofertę odbycia studiów w ramach indywidualnego toku nauczania. Wiceminister nie sprawdzał jego tożsamości, bo dzwoniący przedstawiał się jako „doktor habilitowany", a „wiarygodność dało mu państwo". Kołodziejczak przekazał nieznajomemu świadectwo dojrzałości i inne dokumenty, a co się z nimi stało, tym się już nie interesował. Pieniądze dał, ale „nie za miejsce na uczelni", lecz „na cele administracyjne uczelni" – cokolwiek to znaczy. Niewiarygodne, że tacy ludzie rządzą Polską…

W aferze Collegium Humanum przewija się poza tym nazwisko Daniela Gorgosza, likwidatora TVP, choć ten na uczelni nie studiował, kolegował się jedynie z jej założycielem i rektorem Pawłem C. Gorgosz znał się też ze wspomnianym Bernardem K., rekruterem, który załatwił studia Michałowi Kołodziejczakowi. Bernard K. był niegdyś rektorem Wyższej Szkoły Teologiczno-Humanistycznej w Podkowie Leśnej, uczelni wyznaniowej należącej do protestanckiego Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. Godność osoby zarządzającej WSTH Bernard K. stracił w 2010 r., gdy wyszło na jaw, że studenci po uiszczeniu odpowiedniej opłaty uzyskiwali dyplomy licencjackie w kilkanaście dni. Jedną z tych osób miał być właśnie Gorgosz.

Z kolei promotorem pracy doktorskiej likwidatora TVP na Akademii im. Gieysztora w Pułtusku był nieżyjący już prof. Marek I. Naukowiec słynął z tego, że za łapówki pomagał zdobyć dyplomy. Robił to bardzo sprytnie. Wszystkie prace obronione u Marka I. dotyczyły Rosji. Profesor nie tylko doskonale znał ten kraj, ale również miał tam zaprzyjaźnionych naukowców. Jeden z nich przekazywał mu na pendrivie rosyjskie prace doktorskie, które były potem tłumaczone na język polski, odpowiednio przerabiane i sprzedawane polskim doktorantom. Gorgosz napisał pracę o mediach w systemie politycznym Federacji Rosyjskiej, choć nigdy nie był w Rosji, nie zna tamtejszych mediów – ani nawet języka rosyjskiego. W rozmowie z Piotrem Krysiakiem Gorgosz twierdził, że do pomocy w pisaniu rozprawy doktorskiej wynajął tłumacza, którego nazwiska nie pamięta. Likwidator TVP nie potrafił także wyjaśnić, dlaczego tłumacz bibliografię zapisał fonetycznie. Po jakimś czasie Gorgosz jednak zmienił zdanie. Język rosyjski, jak się okazuje, zna doskonale, a pracę doktorską napisał samodzielnie. Z takimi kwalifikacjami na pewno uda mu się skutecznie zlikwidować telewizję publiczną.

Rektor i założyciel Collegium Humanum, chełpiący się wsparciem Dudy i Kaczyńskiego, z pomocą współpracowników stworzył prosperujący proceder przestępczy.

Choć afera Collegium Humanum nazywana jest aferą PiS, wśród posiadaczy podejrzanych dyplomów są też politycy związani z KO, Polską 2050, PSL i Konfederacją.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Wzlot i upadek Thomasa Rose'a

Miesiąc temu grał rolę namiestnika. Dziś odcina się od niego nawet PiS

Robert Walenciak

Brak obycia szkodzi. Thomas Rose, ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce, zyskał sławę, ale szacunek stracił. Nawet ci, którzy miesiąc temu jedli mu z ręki, udają teraz, że niewiele mają z nim wspólnego. Był ambasador, wręcz namiestnik – jest prawie persona non grata.

Miesiąc temu media pisały o nim jak o kimś ważnym, rozgrywającym. Politycy PiS chętnie chodzili na spotkania do ambasady USA i tam prowadzili rozmowy. Jaki był ich efekt – wiemy z przecieków medialnych. Ambasador rozmawiał z Jarosławem Kaczyńskim i przestrzegł go przed koalicją z Braunem – że na nią Ameryka się nie zgodzi. No to szef PiS zaczął opowiadać, że z Braunem jego partia rządu zawiązywać nie będzie. Potem mieliśmy weto Karola Nawrockiego do Aktu o usługach cyfrowych (DSA), więc Thomas Rose bardzo za to chwalił naszego prezydenta.

Kazimierz Marcinkiewicz: Pisowcy i chłoptasie od Nawrockiego bez przerwy pielgrzymują do ambasadora, klękają i całują po rękach, żeby Trump pomógł im obalić rząd Tuska.

Była też informacja, że PiS proponuje Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi tekę premiera w ramach rządu technicznego. Wysłannicy PiS mieli się powoływać w tych rozmowach na poparcie ambasadora USA.

Thomas Rose zaczął więc jawić się jako patron PiS i konstruktor jego powrotu do władzy. „Pisowcy i chłoptasie od Nawrockiego bez przerwy pielgrzymują do ambasadora, klękają i całują po rękach, żeby Trump pomógł im obalić rząd Tuska", mówił były pisowski premier Kazimierz Marcinkiewicz „Newsweekowi", dodając, że „od paru tygodni PiS i Nawrocki namawiają PSL do porzucenia KO i koalicji z PiS oraz z Konfederacją".

Pycha kroczy przed upadkiem. Rose ruszył dyscyplinować marszałka Sejmu RP – gdy Włodzimierz Czarzasty oświadczył, że nie poprze kandydatury Donalda Trumpa do Pokojowej Nagrody Nobla, ambasador ogłosił, że zrywa kontakty z drugą osobą w Polsce. Decyzję tę „ozdobił" histerycznym oświadczeniem, że „oburzające i nieuzasadnione obelgi [Czarzastego] pod adresem prezydenta Trumpa stały się poważną przeszkodą dla naszych doskonałych relacji z premierem Tuskiem i jego rządem. Nie pozwolimy nikomu szkodzić stosunkom polsko-amerykańskim ani okazywać braku szacunku Donaldowi Trumpowi, który tak wiele uczynił dla Polski i narodu polskiego".

Podział ról wśród reagujących na ten atak był przewidywalny. Politycy koalicji, przede wszystkim lewicy, ale i KO, stanęli murem za Czarzastym. A za Thomasem Rose'em stanęło PiS. Jako pierwszy wyrwał się Mateusz Morawiecki. „Bo wiadomo, komu pomaga stary komuch, psując relacje z USA. Każdy, kto go popiera, sabotuje bezpieczeństwo Polski. Wybierajcie", napisał na portalu X. Rzecznik Kancelarii Prezydenta Rafał Leśkiewicz dowodził zaś, że Czarzasty „demoluje relacje polsko-amerykańskie" i najwyraźniej zachował mentalność z PRL, kiedy „dla komunistów Stany Zjednoczone były największym wrogiem".

Rychło jednak się okazało, że PiS i Nawrocki w tej sprawie wyrwali się przed szereg, że źle odczytują nastroje Polaków. Rose po atakach na marszałka Sejmu, a później i na premiera, szybko został przez większość polskich publicystów ustawiony do pionu. I to zarówno tych z lewej strony i z centrum, jak i z prawicy.

Odezwała się też Konfederacja. W wywiadzie radiowym Sławomir Mentzen stanowczo stwierdził, że o tym, kto jest marszałkiem Sejmu, nie decyduje ambasador USA, ale polscy posłowie: „To, że posłowie to głąby i wybrali postkomunistę, to jedno, ale to jest nasz postkomunista i żadni Amerykanie nie będą nam mówić, kto ma być marszałkiem polskiego Sejmu". Zdaniem Mentzena Rose'a należało wezwać do MSZ, bo „nie powinien interesować się naszymi wewnętrznymi sprawami". „Amerykanie nie będą traktowali poważnie kogoś, kto daje sobie wejść na głowę i ingerować w swoje wewnętrzne sprawy", twierdził.

Te słowa zagrały ze społecznymi odczuciami. Sondaże pokazały, że Polacy w sporze Rose-Czarzasty stoją po stronie Polaka. Ba, w sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" 53,5% badanych uznało, że zerwanie przez ambasadora USA stosunków z marszałkiem Sejmu osłabia wiarygodność Ameryki jako sojusznika Polski. Tylko 14,6% ankietowanych stwierdziło, że tę wiarygodność wzmacnia.

Za Czarzastym stanęli nawet wyborcy PiS. Reszta była już tylko konsekwencją i postawy mediów, i sondaży. Donald Tusk, gdy powiedział dziennikarzom, że Polska była, jest i będzie lojalnym sojusznikiem

eprasa.pl 2ed9ed76bd



Prezes PiS Jarosław Kaczyński na spotkaniu z ambasadorem Thomasem Rose'em. Warszawa, 16 grudnia 2025 r.

Stanów Zjednoczonych, zaznaczył: „Polska w tym sojuszu nie jest i nie będzie jednak, tak długo, jak ja będę premierem polskiego rządu, na pewno wasalem. Nie będzie wasalem w relacjach z jakimkolwiek państwem na świecie".

Dowiedzieliśmy się też, że po całej awanturze rozmowę z ambasadorem w cztery oczy odbył jeden z wiceministrów spraw zagranicznych.

W międzyczasie ze szpitala wyszedł Jarosław Kaczyński i – jak podały media – polecił politykom PiS, by przestali bronić Rose'a. Efekty nastąpiły dość szybko. Politycy PiS zaczęli się dystansować od ambasadora i wcześniejszych z nim spotkań. „Nie mam z tym nic wspólnego", zarzekał się Adam Bielan, który jeszcze parę tygodni temu budował swoją pozycję jako człowiek bardzo bliski ambasadorowi i mający dojścia w Waszyngtonie.

Morawiecki, który grzmiał, że Czarzasty psuje wspaniałe kontakty USA-Polska, w rozmowie z dziennikarzem Wirtualnej Polski oświadczył: „Nie są dla mnie dopuszczalne ingerencje ambasadorów w wewnętrzne sprawy Polski. Żaden ambasador nie będzie niczego nam dyktował". No i dodał coś, co szczególnie warto zacytować, bo jest dość osobliwe: „Gdy ja byłem premierem, nie było na mnie żadnego wymuszania ze strony Stanów Zjednoczonych. Nie musiałem ulegać żadnym sugestiom czy presji. I chciałbym, żeby było tak nadal".

Odezwał się również Przemysław Czarnek. „To wyborcy w Polsce będą decydować, a nie ambasador USA, jak się ułożą mandaty w Sejmie. Dopiero po wyborach będziemy decydować, z kim zawrzeć koalicję. Stany Zjednoczone nie mają tu nic do rzeczy – powiedział na łamach „Rzeczpospolitej". – Żaden ambasador nie będzie układał nam koalicji, i o tym, jaki będzie rząd, zadecydują Polacy".

To odcinanie się PiS od ambasadora USA i kontaktów z nim poszło zresztą dalej. „Nie przeceniajmy tych kontaktów – mówił jeden z pisowców dziennikarzowi WP. – Tom Rose jest przesympatycznym facetem, ale nie jest tak blisko środowiska Trumpa jak choćby Georgette Mosbacher. Z Amerykanami ustalamy spotkania zwykle poza nim. A jego traktujemy trochę z przymrużeniem oka, choć jest dla nas ważnym sojusznikiem".

Tak oto Thomas Rose z pozycji rozgrywającego trafił na pozycję człowieka traktowanego „z przymrużeniem oka". Poczciwego Tomusia. Wielka to sztuka.

Ale, żeby być sprawiedliwym, jeden polityk wytrwał w tej całej zawierusze przy panu ambasadorze – to Władysław Kosiniak-Kamysz. Szef MON spotkał się z nim, na prośbę Amerykanów. Po spotkaniu zamieścił na portalu X wspólne zdjęcie, z krótkim opisem: „Rozmowa z ambasadorem USA w Polsce Tomem Rose'em potwierdziła, że nasza współpraca na rzecz bezpieczeństwa nie ulegnie żadnej zmianie. (…) Polska jest dziś liderem NATO pod względem wzrostu wydatków na obronność. To jest zauważane i doceniane przez naszych sojuszników ze Stanów Zjednoczonych". A potem opowiadał w TOK FM o polsko-amerykańskich przedsięwzięciach. I o tym, że w Bolesławcu budowana jest baza dla wojsk amerykańskich, roboczo nazywana Fort Trump.

Sławomir Mentzen: Amerykanie nie będą traktowali poważnie kogoś, kto daje sobie wejść na głowę i ingerować w swoje wewnętrzne sprawy.

Na to zareagował w wywiadzie dla Radia Zet wiceszef MSZ Marcin Bosacki: „Powiem szczerze, że nazywanie bazy w Bolesławcu Fortem Trump na pewno uzgodnione nie jest. Zawsze byłem przeciwny tego typu lizusostwu, czy to za czasów PiS, czy teraz, żeby cokolwiek nazywać imieniem urzędującego prezydenta USA. Takie działania są po prostu niesmaczne i niegodne Polski".

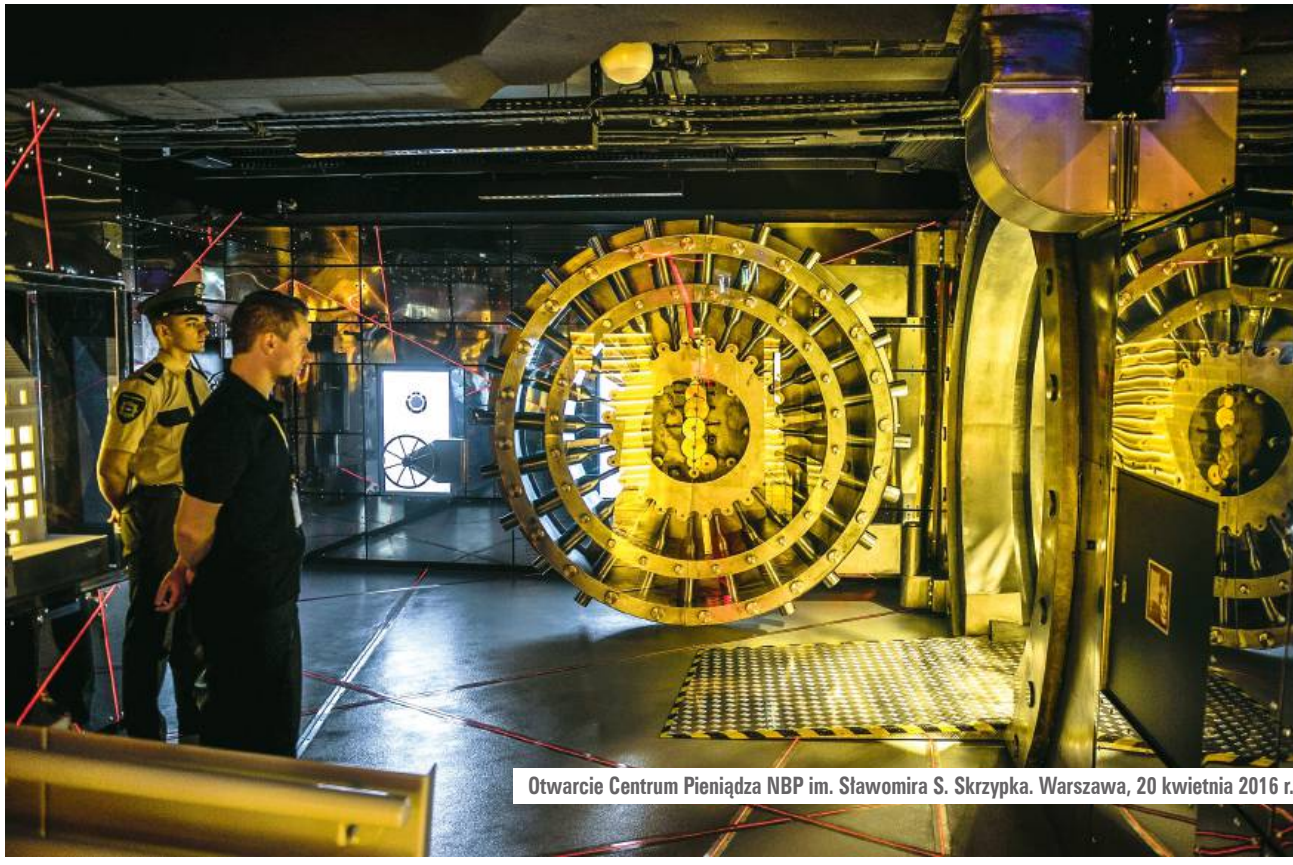
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. X/USAMBPOLAND

eprasa.pl 2ed9ed76bd

ZŁOTO WYPIERA DOLARA

Polska liderem w zakupach złota



Otwarcie Centrum Pieniądza NBP im. Sławomira S. Skrzypka. Warszawa, 20 kwietnia 2016 r.

Marek Czarkowski

W ostatnich latach obserwujemy bezprecedensowy trend na globalnych rynkach finansowych – banki centralne na całym świecie gorączkowo zwiększają swoje rezerwy złota. W roku 2024 zakupiły 1045 ton kruszcu i był to trzeci rok z rzędu, gdy globalne zakupy przekroczyły 1000 ton. To przeszło dwukrotnie więcej niż średnia roczna z lat 2010-2021, która wynosiła 473 tony.

W ubiegłym roku zakupy te były mniejsze, lecz wciąż imponujące – wynosiły 863 tony. Jak podaje World Gold Council, był to znacząco wyższy poziom niż historyczna średnia. Jednocześnie sondaże przeprowadzane wśród banków centralnych wskazały, że aż ok. 95% respondentów spodziewa się w kolejnych latach dalszego globalnego wzrostu udziału złota w oficjalnych rezerwach, przy spadku udziału w nich dolara.

Wzrosły także ceny złota, które na początku bieżącego roku osiągnęły rekordowe ponad 5,5 tys. dol. za uncję. Oznacza to, że wartość globalnych rezerw banków centralnych, szacowanych na 36-37 tys. ton złota, wynosi obecnie ok. 5-6 bln dol.

Ten szlachetny kruszec stanowi dziś ok. 26% wszystkich oficjalnych rezerw walutowych na świecie i jest jednym z filarów bezpieczeństwa finansowego państw. W latach 2024-2025 największym wśród banków centralnych nabywcą złota na świecie był Narodowy Bank Polski.

Wojna, złoto i geopolityka

Żyjący na przełomie XIX i XX w. J.P. Morgan, amerykański przedsiębiorca i jeden z ówczesnych najbogatszych ludzi na świecie, powiedział kiedyś: „Złoto to pieniądz, wszystko inne to kredyt".

Jego powiedzenie pozostaje aktualne, ponieważ złoto ma niekwestionowaną wartość dla większości ludzi, co sprawia, że jest idealnym aktywem w czasach, gdy państwa dążą do większej suwerenności finansowej. Złoto wzmacnia ich wiarygodność, wspiera ich ocenę wypłacalności i zdolności do obsługi długów.

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Inwestorzy, agencje ratingowe i partnerzy handlowi widzą w dużych rezerwach (zwłaszcza złota) sygnał, że kraj dysponuje buforem na wypadek kryzysów – poczynając od walutowego po kryzys związany z niemożnością obsługi długu publicznego. Złoto stabilizuje portfel rezerw banków centralnych w sytuacji, gdy na światowych rynkach obligacji i walut panuje chaos.

Gdy wartość obligacji skarbowych spada, a kursy walut podlegają silnym wahaniom, złoto zachowuje się odwrotnie – zyskuje na wartości. W przypadku skrajnych scenariuszy – konfliktów zbrojnych lub wprowadzenia sankcji polegających na odcięciu od rynków kapitałowych – złoto może zostać użyte do bezpośredniego finansowania importu kluczowych dóbr, takich jak ropa i gaz ziemny, uzbrojenie, leki, żywność oraz technologie.

Złoto było i jest najbardziej wiarygodnym zabezpieczeniem kredytów zaciągniętych w innych państwach lub międzynarodowych instytucjach finansowych. Dlatego jego rezerwy mają szczególne znaczenie i trzeba je chronić za wszelką cenę.

We wrześniu 1939 r., po wybuchu II wojny światowej, rząd polski podjął decyzję o ewakuacji ok. 80 ton złota do Rumunii i dalej przez Turcję, Liban do Francji. Ostatecznie trafiło ono do Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii i służyło finansowaniu działalności rządu emigracyjnego.

Norwegowie w 1940 r. ewakuowali ok. 49-50 ton złota na północ kraju, a następnie, załadowane na okręt HMS „Enterprise", popłynęło ono do Wielkiej Brytanii, skąd później część wysłano do Kanady i USA.

Wiosną 1941 r. również rząd Grecji, spodziewając się ataku ze strony Niemiec, zdecydował się ewakuować ok. 17 ton swoich rezerw złota, najpierw na Kretę, a potem do Egiptu. Przez Republikę Południowej Afryki trafiło ono ostatecznie do Londynu. Mimo upływu lat rządy i władze banków centralnych kierują się podobną logiką, zwiększając rezerwy tego kruszcu.

Do złota ucieka się w czasach niepewności. Ma to znaczenie zwłaszcza w obliczu nasilających się konfliktów – poczynając od wojny w Ukrainie, poprzez napięcia na Bliskim Wschodzie, na tarciach między USA a Chinami kończąc. W ostatnich latach ważnym czynnikiem napędzającym zakupy złota stała się stopniowa erozja zaufania do dolara amerykańskiego jako dominującego aktywu rezerwowego świata.

Peter Schiff, główny ekonomista i globalny strateg w Euro Pacific Asset Management, ostrzegał w jednym z wywiadów: „Złoto może zastąpić dolara amerykańskiego jako główny rezerwowy składnik aktywów banków centralnych". Chociaż jego wizja wydaje się ekstremalna, fakty dla Waszyngtonu są niepokojące. Chiny znacząco zmniejszyły swoje zasoby amerykańskich obligacji skarbowych, jednocześnie zwiększając rezerwy złota. Ludowy Bank Chin był głównym nabywcą tego kruszcu od roku 2022, aktywnie w tym czasie sprzedając obligacje USA i reinwestując pozyskane środki w sztabki złota.

W ostatniej dekadzie udział dolara w globalnych rezerwach walutowych spadł z ok. 66% do ok. 57% obecnie. I trend ten – jak się wydaje – będzie się utrzymywał. Zwłaszcza że poziom długu w stosunku do PKB osiągnął w USA na koniec 2024 r. 124%. Prognozy mówią, że do końca 2055 r. przekroczy 155%, co musi się odbić na postrzeganiu dolara. Dla banków centralnych to ważna przesłanka, która zmusza je do odchodzenia od amerykańskiej waluty na rzecz złota. Przekonanie to wzmacnia fakt, że Zachód zaczął traktować dolara jako broń.

Zamrożenie przez państwa Unii Europejskiej rosyjskich rezerw walutowych po inwazji na Ukrainę stało się wyraźnym sygnałem dla innych, że rezerwy denominowane w tej walucie mogą zostać zamrożone lub skonfiskowane w ramach sankcji politycznych. A to oznacza, że złoto stało się wyjątkowo atrakcyjnym, politycznie neutralnym i – jak się wydaje – odpornym na konfiskatę aktywem. Choć oczywiście są wyjątki.

> Ważnym czynnikiem napędzającym zakupy złota stała się erozja zaufania do dolara.

15 marca 1939 r., po zajęciu przez Wehrmacht Pragi, w Narodowym Banku Czechosłowacji zjawił się wysłannik Berlina i pod groźbą użycia broni wymusił na dyrektorach podpisanie zlecenia przelewu 23 ton złota z konta czechosłowackiego w Banku Rozrachunków Międzynarodowych na znajdujące się w tym samym banku konto Reichsbanku. Fizycznie kruszec znajdował się w skarbcu Bank of England w Londynie.

Mimo że rząd brytyjski publicznie potępiał okupację Czech i rozważał blokadę niemieckich aktywów, Bank of England wykonał transfer, zasłaniając się „neutralnością" wobec zleceń Banku Rozrachunków Międzynarodowych i rzekomym brakiem pewności, do kogo należą konkretne numery kont. Dopiero w lutym 1982 r. władze Czechosłowacji odzyskały od państw zachodnich ok. 18-20 ton złota zrabowanego przez Niemców w 1939 r.

Około 31 ton należącego do Wenezueli złota znajduje się w skarbcu Bank of England i od roku 2019 pozostaje zamrożone z powodu sporu w kwestii tego, kto dla Wielkiej Brytanii jest legalną władzą: czy prezydent Nicolás Maduro, czy reprezentujący

KRAJE O NAJWIĘKSZYCH REZERWACH ZŁOTA

1. USA	ok. 8134 ton
2. Niemcy	ok. 3352 ton
3. Włochy	ok. 2452 ton
4. Francja	ok. 2437 ton
5. Rosja	ok. 2333 ton
6. Chiny	ok. 2260-2300 ton
7. Szwajcaria	ok. 1040 ton
8. Japonia	ok. 847 ton
9. Indie	ok. 820-880 ton
10. Holandia	ok. 612 ton

eprasa.pl 2ed9ed76bd

opozycję Juan Guaidó. W praktyce oznaczało to, że rząd w Caracas nie mógł złota użyć.

Dlatego dziś rządy niektórych państw afrykańskich, azjatyckich i południowoamerykańskich z podejrzliwością podchodzą do zapewnień zachodnich polityków, że ich rezerwy złota i walut są bezpieczne.

Ma to szczególne znaczenie, gdyż, jak powiedział kiedyś Alan Greenspan, amerykański ekonomista i wieloletni przewodniczący Rady Gubernatorów Systemu Rezerwy Federalnej, „złoto wciąż reprezentuje ostateczną formę płatności na świecie. Pieniądz w skrajnej sytuacji nie jest akceptowany przez nikogo. Złoto jest zawsze akceptowane".

Polska wśród światowej elity

Narodowy Bank Polski pod kierownictwem Adama Glapińskiego realizuje od 2018 r. jedną z najambitniejszych strategii akumulacji złota. Rezultaty są imponujące – od objęcia przez niego stanowiska prezesa NBP w roku 2016 (Polska posiadała wówczas 102 tony złota) rezerwy tego kruszcu wzrosły przeszło pięciokrotnie. Na koniec 2024 r. posiadaliśmy 448 ton złota, a rok później było to już 550 ton, co oznaczało, że należące do NBP zasoby były wyższe niż rezerwy Europejskiego Banku Centralnego i 12. na świecie. W przeliczeniu na złote wartość zgromadzonego przez nasz bank centralny kruszcu wynosi ponad 300 mld.

W styczniu br. zarząd NBP pojął formalną uchwałę o zwiększeniu tych rezerw do 700 ton, co pozwoli Polsce znaleźć się w elitarnej dziesiątce państw posiadających największe rezerwy złota na świecie. Oznacza to zakup dodatkowych 150 ton, za które przy obecnych cenach przyszłoby zapłacić ponad 23 mld dol. Zrealizowanie tego celu pozwoliłoby naszemu krajowi wyprzedzić w globalnym rankingu Holandię (612,5 tony) i Turcję (641,3 tony). Wówczas udział złota w całkowitych rezerwach walutowych NBP wyniósłby 30%, co w ocenie prezesa Glapińskiego wzmocniłoby zaufanie do polskiej waluty i gospodarki. Często powtarza on, że „złoto stanowi kotwicę bezpieczeństwa państwa".

W prawicowych mediach za rządów PiS miesiącami mogliśmy oglądać reklamy promujące i zachwalające zakupy złota przez NBP. Przy okazji nasz bank centralny z powodzeniem wspierał finansowo redakcje sprzyjające Glapińskiemu.

Wartość kruszcu zgromadzonego przez NBP wynosi ponad 300 mld zł.

W marcu 2024 r. 191 posłów nowej koalicji rządzącej podpisało wstępny wniosek o postawienie prezesa NBP przed Trybunałem Stanu. Autorzy wniosku zarzucali Glapińskiemu, że „w związku z zajmowanym stanowiskiem lub w zakresie swojego urzędowania dopuścił się naruszenia Konstytucji RP i ustaw". Pierwszy zarzut dotyczył pośredniego sfinansowania przez NBP w latach 2020-2021 deficytu budżetowego w wysokości 144 mld zł poprzez skup obligacji skarbowych oraz obligacji gwarantowanych przez skarb państwa.

Prezes Glapiński, „działając wspólnie i w porozumieniu" z przedstawicielami rządu, Polskim Funduszem Rozwoju, Bankiem Gospodarstwa Krajowego oraz niektórymi bankami komercyjnymi, miał inicjować decyzje o skupie skarbowych i nieskarbowych papierów wartościowych gwarantowanych przez skarb państwa, a emitowanych przez wymienione instytucje finansowe, i uczestniczyć w wykonaniu tych decyzji.

Zarzucono mu też naruszenie prawa poprzez interwencje walutowe, które podejmował jako prezes NBP w grudniu 2020 r. oraz w marcu 2022 r. bez należytego upoważnienia ze strony zarządu NBP. W ocenie wnioskodawców część interwencji miała na celu osłabienie wartości złotego. Padł również zarzut dotyczący osłabienia złotówki poprzez obniżenie stóp procentowych NBP, co miało być „bezpośrednio związane z kampanią wyborczą", a także uchybienia apolityczności.

Ostatecznie wniosek ten utknął w sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej, która formalnie „nad nim pracuje", lecz ochoczość posłów koalicji PO-PSL-Polska 2050 osłabła na tyle, że obecnie jego procedowanie jest nierealne.

W ostatnich latach nie wszyscy członkowie zarządu NBP i Rady Polityki Pieniężnej popierali działania prezesa Glapińskiego. W mediach głośno było o jego konflikcie z jednym z członków zarządu NBP, Pawłem Muchą. Rzecz dotyczyła wysokości wynagrodzenia, nagród i premii Muchy, sposobu zarządzania bankiem oraz dostępu członków zarządu do informacji. Glapiński i większość zarządu NBP zarzucili Musze łamanie zasad etyki i regulaminu, a prezes nałożył na niego karę nagany oraz odebrał mu nadzór nad departamentami i część uprawnień. W roku 2025 w tej sprawie zapadł jednak w sądzie pracy precedensowy wyrok uchylający nałożoną karę (naganę) – jako bezpodstawną.

Także członkowie Rady Polityki Pieniężnej, głównie Joanna Tyrowicz i Ludwik Kotecki, wielokrotnie spierali się z prezesem Glapińskim. W kwestii zakupów złota przez NBP podnosili brak bezpośrednich zysków w porównaniu z przynoszącymi odsetki obligacjami. Podkreślali też ograniczoną możliwość sprzedaży tego kruszcu w sytuacjach kryzysowych. Mimo to prezes pozostał nieprzejednany i twierdził, że sprzedaż jest „absolutnie wykluczona". W jego przekonaniu zakupy złota przez NBP wywindowały Polskę na pozycję kraju o największych rezerwach walut i złota w Europie Środkowo-Wschodniej. To fakt bez precedensu, który podkreśla determinację Polski w budowaniu politycznego, finansowego i ekonomicznego bezpieczeństwa. I w tej sprawie nie sposób odmówić Glapińskiemu racji.

Gdzie jest nasze złoto?

Opinię publiczną, nie tylko w Polsce, interesuje, gdzie przechowywane są rezerwy złota. Najsłynniejszym

eprasa.pl 2ed9ed76bd



Fort Knox – najlepiej strzeżony skarbiec na świecie.

na świecie magazynem tego kruszcu jest United States Bullion Depository, skarbiec nazywany często po prostu Fort Knox. To ufortyfikowany budynek obok bazy armii Stanów Zjednoczonych w Fort Knox w stanie Kentucky. Obecnie znajduje się tam od 4175 do 4580 ton złota. Mniej więcej połowa jest własnością rządu amerykańskiego. Jednak złota należącego do Narodowego Banku Polskiego tam nie ma. Część naszych rezerw ulokowano w największym skarbcu na świecie – Federal Reserve Bank of New York. Znajduje się w nim ok. 6300-6350 ton złota.

Podobno najwięcej polskiego złota znajduje się w Bank of England w Londynie – lecz nie wiadomo dokładnie ile. Szacuje się, że w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii mamy 412,5 tony polskiego złota. Za przechowanie 100 ton złota Bank of England pobiera rocznie ok. 100-105 tys. funtów. I NBP płaci za przechowywane dla niego sztabki. Nad Wisłą, we własnym skarbcu, nasz bank centralny zgromadził 137,5 tony złota.

Prezes Glapiński chce, aby docelowo nasze rezerwy były podzielone na trzy równe części: ulokowane w kraju, w Stanach Zjednoczonych i w Wielkiej Brytanii. Tłumaczy to względami bezpieczeństwa. Na świecie znacząco wzrosło zagrożenie wojną i pojawiła się niepewność dotycząca porządku międzynarodowego – gdyby Polska przechowywała wszystkie rezerwy złota na swoim terenie, w przypadku konfliktu bardzo trudno byłoby bezpiecznie wywieźć je za granicę. Dla NBP kolejne zakupy dużych ilości złota to nie luksus, lecz element strategicznej obrony przed nieprzewidywalnością świata opartego na sankcjach, traktowaniu finansów jako broni i rywalizacji mocarstw.

We własnym skarbcu nasz bank centralny zgromadził 137,5 tony złota.

Pytanie, czy renesans złota w bilansie NBP i innych banków centralnych rzeczywiście oznacza powolny odwrót od dominacji dolara. Z pewnością, choć pozostaje on główną walutą rezerwową świata, dlatego wszelkie gwałtowne ruchy mogłyby wywołać poważny kryzys. Banki centralne, w tym NBP, starają się „bilansować" rolę dolara, zwiększając udział złota i innych walut (euro, juana, jena) w swoich portfelach. Rośnie też znaczenie złota w rozliczeniach między krajami spoza tradycyjnego bloku zachodniego. Zarówno wprost, jak i pośrednio – poprzez powiązanie rozliczeń surowcowych z poziomem rezerw tego kruszcu.

Nie wolno też zapominać o postępującej cyfryzacji pieniądza. Paradoksalnie w świecie bitcoina złoto staje się ważnym „analogowym zabezpieczeniem", gdyż jest czymś znacznie solidniejszym niż cyfrowy wpis w rejestrze na twardych dyskach serwerów. Dla części społeczeństw, polityków i przedstawicieli biznesu posiadanie sztabek złota w skarbcu pozostaje niepodważalnym dowodem, że za systemem monetarnym stoi coś więcej niż linijki kodów, deklaracje prezesów banków centralnych i napisy w stylu: „Banknoty emitowane przez Narodowy Bank Polski są prawnym środkiem płatniczym w Polsce". W tym sensie złoto w rezerwach banków centralnych jest mniej „reliktem barbarzyństwa", jak określił je kiedyś John Maynard Keynes, a bardziej fundamentem nowej, wielobiegunowej architektury finansowej, w której żadna pojedyncza waluta nie oferuje w pełni cech globalnego dobra publicznego.

Rekordowe zakupy z ostatnich lat pokazują, że banki centralne dobrze to zrozumiały i konsekwentnie lokują część majątku państw nie w zadrukowanym obietnicami papierze, tylko w szlachetnym kruszcu, którego wartość przetrwa niejedną zmianę cyklu gospodarczego.

Marek Czarkowski

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2ed9ed76bd



Niebezpieczny „dietetyzm”



Dbanie o dietę to nic złego. Jednak gdzie moda i pieniądze, tam pojawiają się też oszuści

Kornel Wawrzyniak

– Z chorobą Hashimoto zmaga się ok. 800 tys. Polaków. Jestem jednym z nich, podobnie jak mój nastoletni syn. Ostatnio obaj w odstępie kilku dni byliśmy na kontroli u swoich endokrynologów. Jakież było moje zdziwienie, kiedy się okazało, że obydwie lekarki od pierwszych chwil wizyty narzekają na wysyp książek, dostępnych w każdym Empiku, które proponują diety pomagające „opanować” Hashimoto samym odżywianiem się. Na co oczywiście nie ma żadnych dowodów. Poszedłem więc do salonu prasowego, aby zaspokoić zawodową ciekawość. No i powaliło mnie. Masa książek dietetycznych, które pomagają na dowolną dolegliwość, rzeczywiście jest porażająca – opowiada Miron, specjalista z zakresu komunikacji społecznej.

Licząc kasę, tfu, kalorie

Właściwie każdego dnia pojawia się nowa „cudowna” dieta, która obiecuje szybkie i zauważalne rezultaty, takie jak chudnięcie, natychmiastowa poprawa cery czy samopoczucia. Setki rolek w mediach społecznościowych z przepisami fit to tylko wierzchołek góry lodowej. Wiele popularnych quasi-dietetycznych propozycji to zwykła pułapka na naiwnych i skok na ich kasę. Wynika to m.in. z zamieszania pojęciowego panującego w przemyśle spożywczym, a zarobić chcą przecież wszyscy.

Najlepszym przykładem są produkty, które nigdy nie zawierały glutenu czy laktozy, ale pod naporem mody producenci zaczęli je oznaczać w odpowiedni sposób, a często też podnosić ich ceny. Pierwszy z brzegu – żółty ser. Dopisek „bez laktozy” na opakowaniu plasterkowanej Goudy, którą Kowalski kładzie na kanapkę, jest nadużyciem. Sery żółte nie zawierają laktozy. Wszystko dzięki fermentacji mlekowej, do której dochodzi podczas produkcji. Za sprawą bakterii laktoza zamienia się wtedy w kwas mlekowy. Oczywiście niewiele osób zastanawia się na co dzień nad procesem produkcji sera. Dlatego większość z nas nie zdaje sobie sprawy, że podawanie informacji o braku laktozy w żółtym serze w taki sposób, jakby ją z niego specjalnie usuwano, to jedynie chwyt marketingowy. Niestety, niektórzy producenci są tak bezczelni, że pakują tę samą Goudę w fioletowe opakowanie (ten kolor sugeruje brak laktozy np. w mleku) i proponują jako produkt lepszy, a więc droższy.

Mnożą się również samozwańczy specjaliści, którzy, jeśli wpadnie się w odpowiedni algorytm,

eprasa.pl 2ed9ed76bd

nie przestają wyskakiwać z telefonu. W takim zatrzęsieniu informacji trudno odróżnić dietetyka prowadzącego kanał w mediach społecznościowych od amatorów opowiadających głupoty. Jeszcze gorzej, gdy nieświadomi wyznawcy modnego fityzmu trafią na szarlatanów.

Wszelkie restrykcyjne sposoby żywienia, np. wyłączające jakiś składnik z diety, mogą być niebezpieczne dla organizmu albo wręcz śmiertelne.

„W ostatnim czasie pojawiło się sporo niekorzystnych ruchów społecznych. Mamy ruch antyszczepionkowy, antystatynowy i jeszcze ruchy związane z restrykcyjnymi dietami, polegającymi na całkowitym wyłączeniu pewnych elementów i mikroelementów z diety. W przypadku diet niskowęglowodanowych wyłączone zostają oczywiście węglowodany. Jest też drugi biegun, np. dieta wysokoproteinowa, gdzie proteiny przeważają nad innymi składnikami. Wiemy od lat, że diety restrykcyjne nie są zdrowe. Żaden z dietetyków, lekarzy nie powinien diet restrykcyjnych zalecać, tym bardziej że mamy do dyspozycji diety zdrowe, dobrze zbilansowane, np. dietę DASH lub śródziemnomorską. Gdybyśmy skupili się na diecie śródziemnomorskiej, to zawiera ona bardzo dużo węglowodanów. Opiera się na makaronach, oliwach, owocach i warzywach. Jest zaprzeczeniem diet restrykcyjnych”, podkreśla na łamach „Medycyny Praktycznej” prof. Maciej Banach, kardiolog, który badał szkodliwość diet niskowęglowodanowych. Profesor wraz z grupą badaczy wykazał, że jeśli dieta niskowęglowodanowa stosowana jest dłużej niż sześć lat, to całkowita śmiertelność wzrasta o 32%. Sama zaś śmiertelność z powodu nowotworów aż o 35%. Jeszcze gorzej jest w przypadku choroby niedokrwiennej serca i udaru – odpowiednio o 51% i 50%.

Jednym z większych ekstremów jest „dieta” tasiemcowa. Można powiedzieć, że połykanie tabletek z larwami tasiemców nie jest niczym nowym, bo wymyślono to w latach 30. XX w., jednak obecnie mamy renesans tej praktyki. Tabletki są dość łatwo dostępne, chociażby w internecie. Wiąże się to jednak z wysokimi kosztami (nawet 2 tys. zł). Szarlatani reklamują, że tasiemca, kiedy już zrobi swoje, łatwo się pozbyć z organizmu, co nie jest prawdą. Larwy tasiemca mogą dotrzeć do innych organów. Oznacza to ryzyko poważnych uszkodzeń mózgu, serca czy gałek ocznych.

Mamy także dietę paleo, nazywaną dietą jaskiniowców. Ma się opierać na jedzeniu nieprzetworzonej żywności, ale koniecznie takiej, jaka była dostępna w paleolicie, czyli chudego mięsa, ryb, owoców morza, jaj, owoców i orzechów. Tyle że wykluczenie nabiału i zbóż może prowadzić do niedoboru wapnia, witaminy D i jodu. Alarmujące są również wyniki badań naukowców, którzy przyjrzeli się liczącym nawet 6,3 tys. lat szczątkom ryb i morsów z północnej Norwegii. Ludność zamieszkująca tamte tereny żywiła się jedzeniem pełnym zanieczyszczeń i metali ciężkich. Zawartość kadmu, ołowiu czy rtęci w jedzeniu przekraczała aż 22-krotnie dzisiejsze normy żywieniowe. Dieta z epoki kamienia była więc nie tylko niezdrowa, ale nawet niebezpieczna dla życia.

Jeżeli dieta niskowęglowodanowa stosowana jest dłużej niż sześć lat, to całkowita śmiertelność wzrasta o 32%.

Płynne złoto

Weźmy na warsztat modną ostatnio dietę sokową, czyli opartą wyłącznie na sokach. Czy już zaczęli Państwo łapać się za głowę? Przeczytajmy opis pochodzący ze strony producenta: „Stworzyliśmy pełną życiodajnych składników kurację z myślą o delikatnym oczyszczaniu organizmu osób, które zaczynają swoją przygodę z sokami COLD PRESS. Zbalansowany smak i harmonijnie dobrane składniki kuracji w łagodny sposób poprawią samopoczucie, zadbają o lepszy sen i większą witalność. Dieta sokowa BASIC utrzymuje ciało pełne energii, odmładza je i regeneruje, pomagając równocześnie wejść na kolejne etapy oczyszczenia. DETOX BASIC to doskonały początek zdrowszego stylu życia i żywienia. (1300 kcal/dzień) 1 dzień diety = 6 soków, każdy o pojemności 520 ml”.

Nikt nie konsultuje z nami żadnych parametrów masy ciała. To konkretna oferta zamknięta w jednej propozycji 6 soków – 1300 kcal. Tymczasem na stronie diety.nfz.gov.pl możemy wyliczyć, ilu kalorii potrzebujemy. Mężczyzna taki jak ja: 35-letni, przeciętnego wzrostu, o wadze 76 kg, powinien według kalkulatora Narodowego Funduszu Zdrowia spożyć 1711 kcal dziennie, aby przeżyć. To tzw. PPM, podstawowa przemiana materii, czyli minimalna liczba kilokalorii niezbędna do prawidłowego działania narządów i przebiegu podstawowych procesów fizjologicznych. „Miara ta nie uwzględnia codziennej aktywności życiowej i aktywności fizycznej. Kaloryczność codziennego jadłospisu nie może być niższa niż PPM, ponieważ poważnie zagrażałoby to zdrowiu”, czytamy na stronie instytucji rządowej. Dodam tylko, że strona NFZ poinformowała mnie, że mam nadwagę. Można więc założyć, że PPM to taka wartość, którą powinienem spożywać, zakładając, że chciałbym się pozbyć zbędnych kilogramów.

Oczywiście firma proponująca dietę sokową zastrzega, że nie bierze żadnej odpowiedzialności, ona tylko sprzedaje soki. Jednocześnie w opisie produktu podkreśla, że w trakcie tej diety można pić jedynie wodę i ziółka. Jeść nie wolno, bo zaburzyłoby to działanie diety. Jest jeszcze gorzej, tu mówimy o diecie trzydniowej, ale w ofercie są np. pakiety soków na siedem dni.

„Zafundowałam sobie taką dietę na koniec roku. Oczywiście założyłam, że to może być głupota, ale chciałam zobaczyć, co się ze mną stanie. Na co dzień mam zupełnie normalną i umiarkowaną dietę. Zamówiłam więc te soki. Już po pierwszym dniu, wczesnym wieczorem człowiek czuje, że znajduje się w stanie ekstremalnym. Osłabienie, ciągłe uczucie zimna i złe samopoczucie to

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2ed9ed76bd

norma. Na dodatek biegunka, bo to produkty z surowych warzyw i owoców. Paradoksalnie pojawia się więc przy »diecie« opartej na płynach odwodnienie", relacjonuje w liście do redakcji klientka firmy oferującej diety sokowe.

1300 kcal to jednak dawka dla amatorów. Można znaleźć ofertę o nazwie „Master", która uwzględnia 900 kcal dziennie. Według specjalistów „dieta" oparta wyłącznie na sokach wiąże się z małym spożyciem białka i tłuszczu oraz niską dostępnością energii. Pozbawia to organizm wielu składników odżywczych, które normalnie pobiera się w ramach zbilansowanej diety. Niska kaloryczność wiąże się z dużym odczuwaniem głodu. A gdy dieta trwa dłużej niż jeden dzień, może się pojawić osłabienie. Ułudą jest też to, że dieta sokowa spowoduje spadek masy ciała. Jeśli nawet tak, to na chwilę, ten efekt nie jest długofalowy – detoks sokowy spowalnia bowiem tempo przemiany materii, co w ogóle nie sprzyja odchudzaniu.

Zaletą diety sokowej jest to, że warzywa i owoce obfitują w witaminy, przeciwutleniacze i składniki odżywcze. Ale to znaczy mniej więcej tyle, że soki powinny być uzupełnieniem zbilansowanej diety, a nie jej głównym składnikiem. Dieta sokowa, sprzedawana przez stronę internetową, bez konsultacji chociażby z dietetykiem, też jest niebezpieczna dla zdrowia, ponieważ różne warzywa, które lądują w tych mieszankach, mają bardzo określony wpływ na organizm. Na przykład szybkie wypicie soku z buraka przez osobę z niskim ciśnieniem krwi może spowodować zawroty głowy. Soki ze szpinaku, jarmużu i kapusty mogą zaś wpłynąć na krzepliwość krwi. Szczególnie u osób stosujących leki przeciwzakrzepowe.

Przeciwwskazaniem do przejścia na dietę sokową są choroby wątroby, nerek i tarczycy. Nie powinna być również stosowana przez sportowców z uwagi na małą liczbę kalorii. To paradoks, bo właśnie osoby wyznające tzw. fityzm są najbardziej podatne na zakup takiego produktu.

Nabici w pudełko

Firm od diet pudełkowych są setki. To jeden z najdynamiczniej rozwijających się segmentów rynku gastronomicznego nad Wisłą. W ostatnich latach jego popularność gwałtownie wzrosła. Według raportu PMR wartość rynku cateringu pudełkowego do 2029 r. osiągnie 5,4 mld zł. Już w 2023 r. był wart 3,5 mld zł. Wśród czołowych przedstawicieli branży są Maczfit, Diety od Brokuła, Kuchnia Vikinga i Nice To Fit You. Ta ostatnia w 2024 r. odnotowała przychody przekraczające 300 mln zł. Według portalu Gastrowiedza.pl firma dostarczyła dwa lata temu 22 mln posiłków. W drugiej połowie 2026 r. ma ruszyć budowa kolejnego zakładu produkcyjnego firmy w Ożarowie Mazowieckim, inwestycja warta ok. 100 mln zł.

Jak widać, pudełka to rynek wart ogromne pieniądze. Z diet pudełkowych korzystają nie tylko wyznawcy religii fit, ale i zabiegana warszawka oraz ludzie modni, których można określić mianem „warszawki wanna be". Niektóre firmy oferują codzienną dietę dostarczaną pod drzwi nawet za 30-40 zł. Są elastyczne, a menu bywa naprawdę wymyślne. Niestety, niekiedy robią klientów w balona. Jeden z dietetyków w swoich mediach społecznościowych porównał porcję diety pudełkowej z podobnym daniem zrobionym w domu. Wyszło na to, że porcja lunchowa/obiadowa mająca ok. 750 kcal przygotowana w domu była trzy razy większa niż ta z pudełka. Wyznawców fityzmu to jednak nie przekonało. Stwierdzili, że skoro mężczyzna zrobił większy posiłek z taką samą liczbą kalorii, to pewnie chodzi o rodzaj użytego tłuszczu.

Ludzie pragną pudełek, z czego korzystają oszuści. Tym razem nie chodzi jednak o wątpliwą jakość produktów, lecz o naciągaczy. Policja z Łomży opisała pod koniec stycznia przypadek oszustki, która, podając się za trenerkę personalną, skusiła klientkę wyjątkowo korzystną ofertą diety. Haczyk? Trzeba było zapłacić z góry za pomocą kodu blik. Oszustka wyciągnęła ponad 2 tys. zł i rozpłynęła się w powietrzu. A to nie pierwszy taki przypadek w ostatnich kilku latach. W 2020 r. na podobny numer złapało się co najmniej 100 osób z całej Polski. Kobieta wmówiła klientom, że załatwi im diety pudełkowe ze zniżką nawet 30-40%. Inni myśleli, że to po prostu przedstawicielka jednej z firm cateringowych.

„Doświadczeni kucharze i niesamowite promocje" – tak reklamowała się firma, której reporterzy programu „Uwaga" TVN poświęcili materiał w 2021 r. W toku dziennikarskiego śledztwa okazało się, że przedsiębiorstwo oferujące catering pudełkowy działało pod czterema różnymi nazwami i korzystało z półproduktów, a nie ze świeżych surowców. Na dodatek żywność nie była należycie przechowywana. Sanepid zamknął czasowo zakład po jednej z wielu kontroli ze względu na wykrycie niebezpiecznej bakterii. Nic dziwnego, skoro jedzenie leżało gdzie popadnie, niekiedy w pobliżu śmieci.

Jednym z ostatnich hitów dietetycznych jest tzw. post przerywany. Jak możemy przeczytać w internecie, to podejście do odżywiania, które zakłada cykliczne ograniczanie spożycia kalorii przez określony czas, a następnie spożywanie posiłków w odpowiednim okienku czasowym. Niektórzy dietetycy kliniczni śmieją się, że to nic innego jak metoda naszych babć – trzy posiłki dziennie, czyli śniadanie, obiad i kolacja, bez podjadania pomiędzy. Zdaje się, że jak ze wszystkim tak samo z dietą warto się trzymać arystotelesowskiej zasady złotego środka, tak pięknie wyrażonej przez Horacego: „Kto złoty sobie upodobał umiar, ten się uchroni przed nikczemną nędzą i przed zawiścią, która zawsze ściga bogate dwory".

Post przerywany to nic innego jak metoda naszych babć – trzy posiłki dziennie bez podjadania pomiędzy.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Autonomia w polskiej edukacji potrzebna od zaraz

Małgorzata Żuber-Zielicz

Polskie szkoły są ogromnie zróżnicowane. W jednych uczą się niedawne przedszkolaki, w drugich – uczniowie bliscy pełnoletniości. W niektórych są uczniowie ze średnim IQ na poziomie 80, a w innych – z IQ 120. Część ma po kilkudziesięciu uczniów, część – grubo ponad tysiąc. Działają i w zapadłych wsiach, gdzie diabeł mówi dobranoc, i w wielkich miastach. Uczniowie jednych w planach życiowych mają umowny Harvard, uczniowie drugich – umowną Biedronkę czy rodzinne kilka-kilkanaście hektarów albo sklepik. Na dodatek ostatnio zmiany gwałtownie przyśpieszyły, ale w różnym tempie i na różne sposoby. Praktycznie nie ma szans na to, by tak zróżnicowanym i szybko zmieniającym się układem dało się efektywnie zarządzać drobiazgowymi przepisami i zarządzeniami z Warszawy.

Tymczasem polska szkoła jest, jak na cywilizowany świat, niesłychanie scentralizowana i zuniformizowana. Co więcej, niektórzy wierzą w ozdrowieńczą moc jeszcze bardziej drobiazgowych regulacji – w nich właśnie widzą panaceum na różne problemy i niedomogi naszego systemu edukacji. Przykładem takiego podejścia jest praktyczna likwidacja przez ministrę Nowacką prac domowych. Szczególnie aktualnym przykładem takiego rozumowania MEN są zaś plany odgórnego, centralnego ustalania sposobu realizacji rozszerzeń w szkołach średnich, w tym formalnego zakazu ich profilowania od klasy pierwszej.

Nie wchodząc w szczegóły, w przypadku niektórych profili to nie jest dobry pomysł, podobnie jak w przypadku znacznych grup uczniów, i to akurat tych, którzy zadecydują o przyszłości naszej nauki i techniki. Oczywiście są też tacy, głównie niezdecydowani, którym ten pomysł się spodoba. Cóż więc szkodzi, by kandydaci wraz z rodzicami zagłosowali nogami, mając różne opcje do wyboru?

I tu pojawia się pojęcie autonomii – nauczyciela, dyrektora, szkoły, samorządu. W mediach i oficjalnych wystąpieniach często jest ona przedstawiana jako łaskawość władzy centralnej wobec nauczycielskiej i szkolnej gawiedzi w imię tak modnego dzisiaj dobrostanu tejże. Tymczasem mieli do czynienia z istotami ludzkimi, a nie urzędnikami wykonującymi szczegółowe instrukcje i przepisy. Co akurat w przypadku uczniów bardzo dobrze wpływa na wspomniany już dobrostan. Przy czym nie chodzi o używanie (!) słowa autonomia w co drugim zdaniu, jak to robią aktualni reformatorzy edukacji z MEN & IBE PIB, planując w istocie jej dalsze ograniczanie, ale o realne „praktykowanie" w naszym systemie edukacyjnym.

Polska szkoła jest scentralizowana i zuniformizowana.

autonomia nauczycieli, szkół, dyrektorów i samorządów jest potrzebna i leży w najgłębszym interesie społeczeństwa czy utrzymywanego przez nie państwa. Po to, by stworzyć im możliwość optymalnego dostosowania się do warunków, w jakich pracują – pokonywania problemów i wykorzystywania szans.

Jest potrzebna również uczniom i rodzicom, by po drugiej stronie

Problem autonomii w polskim systemie edukacyjnym będzie tematem kolejnego Warszawskiego Forum Oświatowego, pt. „Autonomia w edukacji – luksus czy konieczność", które odbędzie się 27 lutego 2026 r. w godz. 17.00-19.30 w sali Senatu Akademii Techniczno-Artystycznej w Warszawie przy ul. Olszewskiej 12.

■



eprasa.pl 2ed9ed76bd

GENERAŁ KOCHA I POTRZEBUJE PIENIĘDZY

Wyłudzenia „na żołnierza”

Monika Prześlakowska



Wyobraźcie sobie, że przeglądacie portale społecznościowe, jakiś popularny serwis randkowy i trafiacie na profil przystojnego mężczyzny w mundurze, z poważnym spojrzeniem i delikatnym uśmiechem, który po chwili do was zagaduje. Amerykański żołnierz na misji, gdzieś na odległej pustyni lub w bazie wojskowej. Opowiada wam, jak ciężkie jest życie na froncie, jak marzy o powrocie do domu i o miłości, która dodałaby mu sił. Wydaje się autentyczny, godny szacunku. Taki bohater prosto z filmu wojennego. Tylko nie będzie jak w filmie, nie będzie szczęśliwego zakończenia, zamiast tego czeka was… puste konto bankowe.

Schemat działania zawsze był ten sam: zdobycie zaufania, obietnice małżeństwa, a następnie prośby o pieniądze.

To historia, którą tysiące ludzi na całym świecie zna już aż za dobrze. Mimo tego wciąż słyszy się o takich przypadkach, dlatego warto wytłumaczyć mechanizm ich działania. Oszustwo „na amerykańskiego żołnierza” nie jest tylko złowrogim żartem rodem z internetu, ale przemyślaną, rozwiniętą metodą wyłudzeń, która zyskała oszałamiającą popularność także w Polsce. Skąd się wzięło? Jak działa? Dlaczego wciąż tak wielu ludzi daje się nabrać?

Wszystko zaczęło się od klasycznych „przekrętów nigeryjskich”, znanych już od lat 90. Tam oszuści podszywali się pod członków fikcyjnych rodzin królewskich albo bogatych biznesmenów, którzy rzekomo potrzebowali pomocy w przetransferowaniu gigantycznych fortun. Scenariusz ten był jednak zbyt nachalny i w miarę upływu czasu tracił skuteczność.

Historia z Elbląga

Rok 2014. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że to zwyczajna historia miłości, która miała być lekarstwem na samotność. Mieszkająca w powiecie elbląskim 50-letnia kobieta po latach życia w cieniu codziennych trosk postanowiła dać sobie szansę na nowe uczucie. Zarejestrowała się na internetowym portalu randkowym. Pewnego dnia w jej skrzynce pojawiła się wiadomość od tajemniczego mężczyzny. Pisał, że jest amerykańskim generałem i przebywa na misji w Afganistanie. Do tego przesyłał zdjęcia w pełnym wojskowym rynsztunku. Przystojny, elegancki, z charyzmą, jaką można by przypisać bohaterom filmów akcji.

Z początku ich rozmowy były ostrożne, pełne uprzejmości. Jednak z czasem generał otworzył przed nią serce. Opowiadał o trudach służby, tęsknocie za normalnym życiem i marzeniu o znalezieniu kogoś, z kim mógłby dzielić przyszłość. W końcu zadeklarował, że chciałby przyjechać do Polski i zacząć życie od nowa – razem.

Nie minęło wiele czasu, zanim wciągnął ją w niecodzienną historię. Podczas jednej z misji znalazł „skarb” – złoto warte kilkanaście milionów

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2ed9ed76bd

dolarów. Problemem było jego przewiezienie przez granicę. Miał plan: wynajęcie prywatnego samolotu, który bezpiecznie dostarczy kosztowności do Europy. Ale potrzebował na to aż 200 tys. zł.

Kobieta, oczarowana wizją wspólnego życia i obiecanym bogactwem, uwierzyła mu. Była gotowa zaryzykować wszystko dla miłości. Zebrała całą kwotę, pożyczając od rodziny i znajomych. Przelała ją na wskazane konto, z sercem pełnym nadziei, że generał wkrótce stanie na progu jej domu.

Telefon jednak zamilkł. Generał zniknął, tak jak złudzenia kobiety o szczęśliwej przyszłości. Policja, która zajęła się sprawą, nie mogła uwierzyć w rozmach tej mistyfikacji. (...)

Historia z Krapkowic

Rok 2017. Świąteczny nastrój wciąż unosił się w powietrzu, gdy 29-letnia mieszkanka Krapkowic, przeglądając jeden z portali społecznościowych, otrzymała wiadomość od nieznajomego. Napisał, że jest sierżantem armii amerykańskiej i obecnie przebywa na misji. Mężczyzna wyglądał dokładnie tak, jak można by sobie wyobrazić bohatera wojennej opowieści: twardy, przystojny, z uśmiechem dodającym otuchy w najtrudniejszych chwilach.

Ich rozmowy szybko nabrały tempa. Wymiana wiadomości stała się codziennym rytuałem, a sierżant był nie tylko uważnym słuchaczem, ale i opoką w trudnych chwilach. Wkrótce zaczął snuć plany, że chciałby odwiedzić swoją internetową znajomą, być może nawet na stałe przenieść się do Polski.

Pewnego dnia napisał z prośbą. Twierdził, że miał wartościową przesyłkę, w której znajdowało się 46 mln dol. i ważne dokumenty. Nie mógł jej jednak odebrać osobiście, ale wymyślił plan. Jeśli nowa znajoma przedstawiłaby się jako jego siostra, firma kurierska dostarczyłaby paczkę wprost do niej. Młoda kobieta, zachwycona zaufaniem, jakim ją obdarzył, nie wahała się ani chwili.

Postąpiła zgodnie z instrukcjami sierżanta: podała swoje dane kurierowi i przedstawiła się jako jego siostra. Wkrótce przyszła kolejna wiadomość. Aby paczka mogła dotrzeć do Polski, konieczna była opłata manipulacyjna w wysokości 3 tys. zł. Kobieta uiściła ją bez wahania. Kilka dni później wyszła kolejna „pilna sprawa": opłata za pełnomocnictwa i ubezpieczenie przesyłki. Tym razem suma wynosiła 6 tys. zł. Kobieta, przekonana, że wkrótce stanie się depozytariuszką fortuny, wpłaciła pieniądze i przekazała sierżantowi kody uprawniające do odbioru paczki.

Ale paczka nigdy nie dotarła. Po kilku dniach kontakt z żołnierzem się urwał. Dopiero wtedy kobieta zdała sobie sprawę, że została oszukana. Z ciężkim sercem i poczuciem wstydu zgłosiła sprawę na policję. Policjanci natychmiast wszczęli dochodzenie, ale oszust, jak wielu jemu podobnych, zniknął bez śladu.

Historia z Bielska-Białej

Rok 2018. 45-letnia mieszkanka Bielska-Białej szukała w sieci kogoś, kto wypełniłby pustkę w jej życiu. Na jednym z portali społecznościowych poznała mężczyznę, który przedstawiał się jako żołnierz armii amerykańskiej. Jego historia wydawała się niemal jak z filmu: architekt marynarki wojennej, obecnie na misji na Morzu Norweskim, rozwodnik wychowujący 12-letnią córkę. Przez kilka tygodni wymieniali wiadomości, a rozmowy stawały się coraz bardziej osobiste. W końcu wyznał, że zakochał się w kobiecie, chce z nią założyć rodzinę i zamieszkać w Polsce. Obiecywał wspólne życie i budowę domu, gdzie mieliby zacząć nowy rozdział.

Wkrótce jednak w bajkowej opowieści pojawiły się pierwsze problemy. Mężczyzna zaczął narzekać na brak dostępu do konta bankowego. Prosił o pomoc – potrzebował pieniędzy na jedzenie, nowy telefon komórkowy i opłacenie czesnego dla córki. Obiecywał, że odda jej wszystko, kiedy wróci z misji. Zapewniał, że będą wtedy żyć z jego oszczędności.

Kobieta, przekonana o szczerości jego uczuć, wykonała kilka przelewów w kryptowalucie. Przekazała w sumie ponad 8 tys. zł. W końcu coś zaczęło ją niepokoić. Mężczyzna nagle przestał się odzywać, a obietnice o wspólnym życiu na zawsze pozostały w sferze marzeń. Dopiero wtedy zrozumiała, że padła ofiarą oszustwa. Policjanci z Bielska-Białej, prowadząc śledztwo, odkryli, że 45-latka nie była jedyną poszkodowaną. W podobny sposób oszukano 57-letnią kobietę, która straciła prawie 100 tys. zł, oraz inną 45-latkę, która przelała na konto oszusta prawie 60 tys. zł.

Schemat działania zawsze był ten sam: zdobycie zaufania, obietnice małżeństwa i wspólnego życia, a następnie prośby o pieniądze. Policjanci zauważyli także przypadki oszustek, które podawały się za lekarki z amerykańskiej armii, wyłudzając pieniądze od mężczyzn. Takich historii jest naprawdę wiele. Według statystyk mężczyźni stanowią około jednej trzeciej

Brad Pitt czeka na przelew

Inną popularną metodą jest też metoda „na amerykańskiego aktora", która ma bardzo podobny schemat działania. Na początku 2025 r. głośno było o 53-letniej Francuzce, która myślała, że rozmawia z Bradem Pittem, i przelała mu 830 tys. euro na rzekome leczenie onkologiczne. Przekonana o tym, że ma romans ze znanym aktorem, zdecydowała się nawet na rozwód z mężem, który był milionerem. Do uwiarygodnienia przestępstwa oszust używał sztucznej inteligencji, dzięki której tworzył fałszywe zdjęcia i filmy. Prawda wyszła na jaw, gdy kobieta zauważyła doniesienia o nowej partnerce Brada Pitta.

Były także przypadki oszustek, które podawały się za lekarki amerykańskiej armii. Mężczyźni stanowią około jednej trzeciej oszukanych.

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Przekręty nigeryjskie

Ogólnie są to oszustwa, które mają jeden wspólny cel – wyłudzenie pieniędzy. Najczęściej polegają na tym, że rozmówca obiecuje nam ogromny zysk, nawet w milionach dolarów, jeśli wpłacimy najpierw określoną niewielką sumę pieniędzy. Aby uwiarygodnić swoje słowa, oszust przedstawia fałszywe dokumenty. Dlaczego nazywane są „nigeryjskimi"? Otóż pierwsi tego typu przestępcy działali w Nigerii, która była wtedy w nie najlepszej sytuacji finansowej. Obywatele tego kraju znaleźli sposób na zarobienie pieniędzy – wykorzystali do tego internet, który z roku na rok stawał się coraz bardziej powszechny i obecny w większości domów.

Warto jednak dodać, że „przekręty nigeryjskie" również miały swoją wcześniejszą wersję opartą na listach, zwaną „na hiszpańskiego więźnia". Oszuści typowali najczęściej zamożne osoby, do których wysyłali list. Nadawcą był bogaty nieznajomy, który miał kłopoty i został uwięziony. Obiecywał, że hojnie się odwdzięczy, jak tylko wyjdzie z więzienia. Na czym miała polegać pomoc? Oczywiście na przesłaniu pieniędzy, za które dany człowiek opłaci urzędników, strażników, podróż itp. Obiecywał później zwrócić pieniądze i dołożyć do tego sporą sumę. Kiedy dana osoba wysyłała mu pieniądze, więcej już się nie odzywał.

oszukanych. Dla przykładu podająca się za żołnierkę Stella Palmer wyłudziła od mężczyzny, z którym wymieniała wiadomości, ponad 8,5 tys. zł. Tłumaczyła, że potrzebuje tych pieniędzy na opłatę celną za paczkę z Syrii. Z kolei Meghan Baret, która przedstawiała się jako pielęgniarka na misji, otrzymała od ukochanego z Polski przelew na 8 tys. zł, by móc wypłacić pieniądze zarobione na wydobyciu ropy.

Historia Agnieszki

Rok 2020. Spokojne letnie popołudnie w małej mazowieckiej wiosce. Agnieszka była w trakcie trudnego rozwodu, czuła, że jest zmęczona życiem, i poszukiwała odrobiny pocieszenia. Z takim nastrojem zasiadła przed komputerem z kubkiem herbaty w dłoni. Jak zwykle otworzyła Facebooka i wtedy jej oczom ukazała się wiadomość od przystojnego nieznajomego. „Tony Douglas – żołnierz na misji w Pakistanie" – takie informacje znalazła na jego profilu.

Agnieszka z początku była sceptyczna, ale dalej przeglądała profil mężczyzny. Zdjęcia w mundurze, ciepły uśmiech i historia jak z filmu: trudne dzieciństwo, później wdowiec i samodzielny ojciec nastoletniej córki, tęskniący za spokojnym życiem. „Masz dobre oczy", napisał Tony. To zdanie zapadło jej w pamięć. Przecież każdy potrzebuje odrobiny ciepła, a może nawet miłości. Wirtualna znajomość szybko przerodziła się w codzienne rozmowy. Tony wysyłał wiadomości każdego ranka, a wieczorami opowiadał o wojennych trudach. Agnieszka czuła, jak jej serce zaczyna bić szybciej. Marzyła, że po misji Tony sprowadzi się do Polski, gdzie będą razem budować wspólne życie.

Agnieszka zrobiła Tony'emu 18 przelewów na różne kwoty, w sumie 72 tys. zł.

Ale jak to w takich historiach bywa, wkrótce pojawiły się pierwsze problemy. Tony potrzebował pieniędzy. Najpierw na przepustkę, potem na transport osobistych rzeczy. Agnieszka wierzyła, że to tylko tymczasowe trudności. Zrobiła mu 18 przelewów na różne kwoty, w sumie 72 tys. zł. Co więcej, pod wpływem prośby tajemniczego „dyrektora z ONZ" i „wojskowego generała" wysłała kolejne 35 tys.

Kiedy policja w końcu do niej dotarła w 2021 r., Agnieszka była w szoku. Do końca nie wierzyła, że mogłaby być ofiarą oszustwa. Naprawdę myślała, że buduje przyszłość z tym człowiekiem. Wyznawał jej miłość, przyrzekał być przy niej, a zostawił z niczym. Nie potrafiła uwierzyć, że ktoś, kto tyle jej obiecał, zniszczył jej zaufanie i zrujnował ją finansowo.

Sprawa wyszła na jaw, gdy w banku zauważono podejrzane konta założone na obywatela Nigerii mieszkającego w Warszawie. W rezultacie zatrzymano dwóch mężczyzn pochodzących z tego kraju, a po analizach ich kont dotarto do ofiar z całej Polski. Wciąż toczą się jeszcze niektóre postępowania w ich sprawie.

Historia ze Staszowa

Spraw z ostatnich kilku lat jest znacznie więcej. Przytoczę kolejną, w której ofiara uwierzyła w miłość zza oceanu. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to historia rodem z romantycznej powieści – 68-letnia mieszkanka powiatu staszowskiego poznała za pośrednictwem portalu społecznościowego mężczyznę podającego się za amerykańskiego żołnierza stacjonującego na misji w Syrii. Czarujący rozmówca szybko zdobył jej zaufanie, a ich znajomość rozwinęła się na tyle, że kobieta zaczęła wierzyć we wszystko, co opowiadał.

Mężczyzna rysował przed kobietą wizję wspólnego życia i zapewniał, że wysyła do niej paczkę pełną pieniędzy, które rzekomo otrzymał jako rekompensatę za wypadek na misji. Poprosił jednak o przysługę – potrzebował środków na pokrycie kosztów cła. Kobieta, nie podejrzewając podstępu, przelała pieniądze po raz pierwszy.

Wkrótce pojawiła się kolejna prośba. Tym razem chodziło o leczenie syna „żołnierza", który miał cierpieć na poważne schorzenie kręgosłupa. Zmartwiona losem dziecka kobieta dokonała kolejnych przelewów. Łącznie w okresie od końca października do grudnia 2020 r. przekazała oszustowi niemal 28 tys. zł. Dopiero gdy kontakt z „żołnierzem" się urwał, kobieta zrozumiała, że padła ofiarą wyrafinowanego oszustwa. Zgłosiła sprawę na policję, ale odzyskanie pieniędzy było praktycznie niemożliwe. (…)



Fragmenty książki Moniki Prześlakowskiej *Niebezpieczna sieć*, Znak Koncept, Kraków 2025

eprasa.pl 2ed9ed76bd



CICHA ŚMIERĆ

Z powodu sepsy w Polsce umiera rocznie ok. 25 tys. osób

Marek Czarkowski

Według danych opublikowanych przez Światową Organizację Zdrowia na sepsę w 2017 r. zachorowało na całym świecie prawie 50 mln osób. Zmarło ok. 11 mln.

Polska mimo licznych apeli lekarzy i naukowców nie ma ogólnokrajowego elektronicznego rejestru sepsy. Eksperci oceniają, że rocznie zapada na nią 47-50 tys. osób. Przy czym wskaźnik śmiertelności jest wyższy niż ten globalny i sięga na oddziałach intensywnej terapii ok. 50%. Innymi słowy, co roku umiera 23,5-25 tys. pacjentów. Znane są jednak szacunki wskazujące, że na sepsę zapada nawet 100 tys. Polaków.

Problem w tym, że zdaniem lekarzy jest ona trudna do zdiagnozowania, zwłaszcza w początkowym stadium, stan chorych bardzo szybko się pogarsza i niestety następuje śmierć.

Burza w organizmie

Sepsa nie jest taką chorobą jak np. gruźlica, którą wywołują bakterie *Mycobacterium tuberculosis*, czy grypa – wywoływana przez wirusy z rodziny *Orthomyxoviridae*. Nie jest też jednostką chorobową, lecz złożonym zespołem zaburzeń wynikających z nieprawidłowej, nadmiernej odpowiedzi organizmu na zakażenie.

Właśnie ta nieadekwatna reakcja, a nie konkretny drobnoustrój, prowadzi do uszkodzenia tkanek, niewydolności narządów i zagrożenia życia. Okazuje się, że sepsę mogą wywołać nie tylko bakterie i wirusy, lecz także grzyby i pasożyty.

W ostatnich dekadach definicja sepsy ewoluowała wraz z rozwojem wiedzy z dziedziny immunologii, biologii molekularnej i patofizjologii. Współczesne ujęcie podkreśla, że kluczowe znaczenie ma dysfunkcja narządowa wynikająca z rozregulowania odpowiedzi immunologicznej.

To odejście od dawnych, uproszczonych koncepcji, które skupiały się na poszukiwaniu drobnoustrojów we krwi. Dziś wiadomo, że sepsa może się rozwijać nawet wtedy, gdy testy nie wykrywają obecności patogenów. Dlatego od lat pozostaje ona jednym z najpoważniejszych wyzwań współczesnej medycyny.

Choć rośnie świadomość, czym jest sepsa, i tak często bywa ona mylona z zakażeniem, zatruciem krwi lub chorobą o jasno określonym przebiegu. Wynika to z faktu, że jej początkowe objawy wydają się niegroźne. Zazwyczaj zaczyna się na tyle niewinnie, że mało kto zwraca na to uwagę. Może to być drobne zakażenie. Zadrapanie podczas pracy w ogródku albo

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2ed9ed76bd

infekcja układu moczowego, której objawy wydają się błahe. To codzienne, banalne sytuacje, które towarzyszą nam od zarania dziejów i które większość z nas przechodzi bez szwanku, zwłaszcza jeśli nasz system odpornościowy działa prawidłowo.

Bywa jednak, że drobne zakażenie zmienia się w iskrę, która rozpala w organizmie nie tyle pożar, ile prawdziwą burzę ogniową, która przetacza się przez ciało, niszcząc wszystko na swojej drodze. To właśnie sepsa – medyczny odpowiednik tornada piątej kategorii. Które może nas zabić.

Sepsa może dotyczyć każdego – niemowlęcia i seniora, sportowca i osoby z chorobami przewlekłymi. Jest przerażająco demokratyczna w swojej destrukcji i bezlitosna.

Nie tylko w Polsce lekarze mają problem z jej zdiagnozowaniem, co gorsza – nie ma jednego prostego testu, który ją wykrywa. Gorączka, przyśpieszony puls, oddech i ogólne osłabienie przypominają grypę, przeziębienie lub infekcję żołądkowo-jelitową. Lekarz musi umieć połączyć wiele danych – pierwsze objawy, wyniki badań krwi, zaburzenia funkcji narządów itp. Dodatkowo objawy i przebieg choroby różnią się u dzieci, dorosłych i osób starszych, co jeszcze bardziej utrudnia szybkie rozpoznanie.

W sepsie układ odpornościowy chorego, zamiast działać jak chirurg z precyzyjnym skalpelem, zaczyna przypominać operatora ciężkiego sprzętu, który w desperacji niszczy wszystko wokół. Substancje zapalne atakują organizm, naczynia krwionośne tracą szczelność, ciśnienie spada, narządy zaczynają niedomagać. Serce pracuje coraz szybciej, próbując nadrobić straty, ale z czasem i ono nie daje rady. Najgorsze, że sepsa może się rozwinąć w ciągu kilku, kilkunastu godzin, więc stan chorego zmienia się szybciej, niż lekarze zdążą otrzymać kompletne wyniki badań.

Dopiero w 1991 r., podczas konferencji American College of Chest Physicians oraz Society of Critical Care Medicine pojawiła się koncepcja SIRS (*systemic inflammatory response syndrome*), czyli uogólnionej reakcji zapalnej. Przyjęto, że jeśli temperatura ciała sięga ponad 38 st. C lub jest poniżej 36 st. C, tętno wynosi ponad 90 uderzeń na minutę, a częstość oddechów ponad 20 na minutę, liczba leukocytów przekracza 12 000/μl lub spadła poniżej 4000/μl – można mówić o zagrożeniu sepsą.

Założono, że sepsa to SIRS wywołany zakażeniem. Z czasem okazało się, że te kryteria nie są precyzyjne, gdyż spełniało je zbyt wielu pacjentów z infekcjami o łagodnym przebiegu, a także osoby po urazach, operacjach czy intensywnym wysiłku fizycznym.

Śmiertelność pozostaje wysoka

Przełom nastąpił w 2016 r., wraz z publikacją międzynarodowej grupy ekspertów pod przewodnictwem Mervyna Singera, profesora na University College London, „Third International Consensus Definitions for Sepsis and Septic Shock (Sepsis3)".

Sepsę mogą wywołać nie tylko bakterie i wirusy, lecz także grzyby i pasożyty.

Główna różnica polegała na odejściu od koncepcji SIRS opartej na temperaturze, tętnie, oddechu i poziomie leukocytów i zastąpieniu jej definicją sepsy jako „zagrażającej życiu dysfunkcji narządowej spowodowanej reakcją obronną organizmu na zakażenie, która nie jest już kontrolowana i proporcjonalna, tylko nadmierna, i która zaczyna uszkadzać własne tkanki oraz narządy". Zespół prof. Singera zaproponował, by nacisk przesunięto z reakcji zapalnej organizmu na uszkodzenie narządów. Wstrząs septyczny opisano jako stan, w którym zaburzenia krążenia i metabolizmu są tak głębokie, że wymagają intensywnego wsparcia, a ryzyko zgonu znacząco rośnie.

Ta zmiana odzwierciedlała rosnące zrozumienie, że sepsa to złożony zespół zaburzeń immunologicznych, metabolicznych i naczyniowych, a nie zwykłe „ciężkie zakażenie".

To ważne, gdyż śmiertelność we wstrząsie septycznym była i pozostaje bardzo wysoka. Większość źródeł podaje, że umiera od 40% do 60% chorych – zależnie od populacji, wieku oraz występowania chorób współistniejących. I to mimo podjęcia intensywnego leczenia szpitalnego.

Dotychczasowy postęp w medycynie i farmakologii w przypadku sepsy niewiele zmienił. Nadal decyduje szybkie postawienie trafnej diagnozy i wdrożenie leczenia. Tu każda godzina opóźnienia antybiotykoterapii istotnie pogarsza szanse przeżycia. W polskich warunkach wszystko może zależeć od szczęścia. Jeśli trafisz na dobrego lekarza – twoje szanse rosną. Z kolei jeśli jesteś osobą starszą – twoje szanse maleją. W identycznej sytuacji są osoby cierpiące na niewydolność nerek, serca lub nowotwory.

Krytyczne jest pojawienie się u chorego niewydolności wielonarządowej, gdyż najczęściej prowadzi ona do zgonu. U tych, którzy przeżyją fazę ostrego wstrząsu septycznego, rokowania nie zawsze bywają korzystne – u części pojawi się trwałe osłabienie mięśni, zaburzenia poznawcze, a w kolejnych miesiącach i latach – zwiększone ryzyko przedwczesnej śmierci. Dlatego sepsa uważana jest za tak niebezpieczną i budzi grozę.

Medycyna sepsy

Naukowcy, lekarze i koncerny farmaceutyczne od lat szukają leków przeciw sepsie. To wyjątkowo trudne zadanie, bo już wiadomo, że nie da się opracować jednego uniwersalnego specyfiku, który będzie skuteczny w każdym przypadku.

W najnowszych publikacjach mówi się o „precyzyjnej immunoterapii" – dopasowywaniu leczenia do profilu pacjenta w zależności od tego, czy dominuje u niego faza nadmiernego zapalenia, czy osłabienie lub zahamowanie działania układu odpornościowego, czyli stan, w którym odporność organizmu jest obniżona, więc gorzej broni się przed zakażeniami. Dlatego lekarze stosują cały zestaw

eprasa.pl 2ed9ed76bd

terapii, które jednocześnie zwalczają zakażenie i podtrzymują funkcje narządów.

Początkowo podaje się dożylnie antybiotyki o szerokim spektrum działania, takie jak cefalosporyny III/IV generacji. Po uzyskaniu posiewów i antybiogramu następuje zawężenie terapii do antybiotyku celowanego przeciw konkretnemu drobnoustrojowi.

Chorym intensywnie podaje się też płyny i leki w celu poprawy ciśnienia. Lekarze starają się również walczyć z niewydolnością serca. W przypadku niewydolności oddechowej stosowana jest tlenoterapia lub wentylacja mechaniczna. Jeśli występują ropnie, zakażenia cewnika czy zapalenie otrzewnej, konieczna może się okazać operacja. Kiedy dodamy do tego leki przeciwbólowe, hydrokortyzon, leki przeciwkrzepliwe i inne – uzyskamy złożony obraz leczenia chorego.

W takich warunkach bardzo łatwo o błędy. Najczęściej pojawiają się one w antybiotykoterapii i dotyczą głównie zbyt późnego, niewłaściwie dobranego leku lub nieoptymalnego dawkowania.

Ryzyko zgonu istotnie rośnie, jeśli lekarze będą zwlekali powyżej jednej godziny z rozpoczęciem antybiotykoterapii w przypadku rozpoznania ciężkiej sepsy lub wstrząsu septycznego. Każde kolejne opóźnienie sprawia, że szanse chorego dramatycznie maleją.

To wszystko może się zdarzyć w pierwszym etapie leczenia. A są przecież kolejne. Bo trzeba jednocześnie wzmacniać układ immunologiczny, serce, nerki i inne organy. W tym tkwi istota problemu. Trzeba równocześnie ratować wszystko. To trudne, a czasami wręcz niemożliwe.

Nic dziwnego, że od lat trwają badania nad nowymi terapiami i poszukiwaniem leków. Jednym z najbardziej obiecujących jest specyfik znany obecnie pod nazwą STC3141, opracowany przez zespół australijskich naukowców z Griffith University oraz Australian National University. Jego dopracowywaniem i komercjalizacją zajmuje się obecnie China Grand Pharmaceutical and Healthcare Holdings. Badania kliniczne leku prowadzone są w Chinach. W założeniach ma on ograniczyć uszkodzenia narządów poprzez neutralizację toksycznych histonów, czyli zasadowych białek znajdujących się w jądrze komórkowym. STC3141 ma wiązać uwalniane w trakcie sepsy histony, przez co ma się zmniejszyć ich toksyczność wobec narządów wewnętrznych chorego.

Dziś wiadomo, że sepsa może się rozwijać nawet wtedy, gdy testy nie wykrywają obecności patogenów we krwi.

Wczesne fazy badań oraz prowadzone analizy sugerują, że opracowany przez Australijczyków lek może się przyczynić do spadku śmiertelności wśród chorych, choć na razie nie prowadzi się III fazy badań klinicznych.

W fazie bardzo wczesnych badań znajdują się leki celowane, które mają regulować stany zapalne u chorych. Na razie nic konkretnego z tego nie wynika.

Leczenie sepsy nadal będzie więc przebiegało według filozofii Surviving Sepsis Campaign, która kładzie nacisk na bardzo wczesną interwencję („pakiet jednej godziny") przy uwzględnieniu przeprowadzenia pełnej diagnostyki i określenia celów terapeutycznych w czasie od trzech do sześciu godzin. W pierwszej fazie powinno się zacząć od podania antybiotyków, kontroli ciśnienia krwi i utrzymania serca w dobrym stanie, do tego ewentualne interwencje chirurgiczne, tlenoterapia. W drugiej fazie – od trzech do sześciu godzin od rozpoznania – lekarze powinni robić wszystko, by utrzymać chorego przy życiu, podając mu leki w zależności od potrzeb. Jeśli to się uda, na znaczącą poprawę stanu jego zdrowia przyjdzie czekać tygodnie.

Znamienne, że w Polsce mimo od lat formułowanych przez lekarzy i naukowców postulatów nie ma przyjętej rządowej narodowej strategii walki z sepsą, obejmującej krajowy rejestr sepsy, określenie standardów diagnostyki, edukację i poprawę finansowania badań mikrobiologicznych.

W apelach kierowanych do Ministerstwa Zdrowia proponuje się powołanie eksperckiego zespołu ds. sepsy przy MZ, który miałby tę strategię przygotować i wdrożyć. Eksperci deklarują gotowość do pracy nad szczegółowymi rozwiązaniami. Ministerstwo zachowuje znaczące milczenie. A sepsa – po cichu i skutecznie zabija.

Marek Czarkowski



eprasa.pl 2ed9ed76bd

IDEA PRZEDAWNIENIA
jako fundament stosunków polsko-niemieckich

Piotr Kimla

Nie ma rozumnej polityki bez umiejętności puszczania w niepamięć.
Raymond Aron

W rozważaniach nawiązuję do idei, która – z perspektywy teorii realizmu politycznego – winna stać się fundamentem przyjaznych, dobrosąsiedzkich stosunków pomiędzy Niemcami a Polską lub, szerzej rzecz ujmując, trwałego pojednania polsko-niemieckiego. Jest też oczywiste, że bez autentycznego pojednania polsko-niemieckiego nie może być mowy o pomyślnej koegzystencji wszystkich państw w ramach europejskiej wspólnoty. Idea, o którą chodzi, to idea przedawnienia. Jej zastosowanie przynosiło już dobroczynne skutki w historii Europy. Lepiej odwołać się do efektywnej idei z przeszłości, aniżeli silić na wykoncypowanie nowych podstaw ideowych pojednania, gdy mamy do czynienia z nacjami o skomplikowanych relacjach.

•

Stosunki polsko-niemieckie pogorszyły się po wygranej Prawa i Sprawiedliwości w wyborach parlamentarnych w 2015 r. Jako symbol tego pogorszenia wskazać można retoryczne wzmocnienie żądania wypłaty Polsce przez Niemcy reparacji wojennych. Naturalnie temat reparacji pojawiał się w polskim dyskursie politycznym przed 2015 r., jednak to powołanie w 2017 r. parlamentarnego zespołu ds. oszacowania wysokości należnych odszkodowań, na którego czele stanął poseł PiS Arkadiusz Mularczyk, nadało dyskusji w Polsce nową dynamikę. Należy położyć nacisk na to, że chodzi o Polskę, ponieważ strona niemiecka od początku stała na stanowisku, iż kwestia reparacji w stosunkach polsko-niemieckich została prawnie i politycznie zamknięta w 1953 r., kiedy to Polska zrezygnowała ze świadczeń reparacyjnych w odniesieniu do całych Niemiec. Przypomniała o tym zastępczyni rzecznika rządu Niemiec Ulrike Demmer w wypowiedzi z 2 sierpnia 2017 r.

W sprawie uderza spokojne, by nie powiedzieć obojętne, podejście przedstawicieli niemieckiego świata polityki oraz świata akademickiego. Wyważoną reakcję tego ostatniego miałem okazję osobiście obserwować na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie w 2019 r. Wydaje się, że zarówno niemieccy politycy, jak i akademicy zachowują zdecydowanie większą dozę realizmu. Rozumieją najwidoczniej niecodzienność żądań reparacyjnych po ponad 80 latach od wybuchu II wojny światowej, oszacowanych na miliardy bądź biliony dolarów.

Bardzo możliwe, że świadomość surrealizmu stawianych żądań towarzyszy też polskiej klasie rządzącej, a podnoszenie tych kwestii obliczone jest wyłącznie na potrzeby polskiej polityki wewnętrznej. Gdyby tak wyglądał stan rzeczy, byłoby to działanie w najwyższym stopniu niefortunne, godzące w polskie interesy. Trudno przecież podawać w wątpliwość, że żądania reparacji wojennych – nawet przy zachowaniu zimnej krwi przez niemieckie elity polityczne i intelektualne – muszą wywrzeć jak najgorsze wrażenie na niemieckiej opinii publicznej. Warto przy tym pamiętać, że spośród wszystkich europejskich narodów Polacy – obok Czechów – cieszą się najmniejszą sympatią Niemców.

Nie od rzeczy będzie także postawienie pytania, jakiej reakcji psychologicznej niemieckich obywateli może oczekiwać nielubiany naród, gdy jego przedstawiciele polityczni nie tylko próbują wywrzeć na nich presję moralną, ale jeszcze żądają zadośćuczynienia finansowego. Dają do myślenia słowa Tomasza Gabisia, niemieszczącego się w głównym nurcie, ale bardzo bystrego i nieraz błyskotliwego komentatora niemieckiego życia społeczno-politycznego: „Prawa ludzkiej psychologii są nieubłagane: »moralny nacisk« stosowany przez tych, których się nie lubi (czyli przez Polaków – P.K.), jest przez »naciskanych« (Niemców – P.K.) kompletnie ignorowany, ewentualnie budzi u nich irytację i chęć rewanżu" (T. Gabiś, „Dygresyjna odpowiedź na ankietę »piętno polskości«").

> Bez autentycznego pojednania polsko-niemieckiego nie może być mowy o pomyślnej koegzystencji wszystkich państw w ramach europejskiej wspólnoty.

Nie można zatem żywić złudzeń, że kroki podejmowane na rzecz otrzymania reparacji wojennych – nawet jeżeli pozostawały, pozostają i pozostawać będą wyłącznie w sferze propagandowej – są aktem nieprzyjaznym i wywołują jak najgorsze wrażenie w kraju, który od wielu lat prowadzi w stosunku do Polski wiarygodną politykę pojednania i który dla naszego kraju pozostaje najważniejszym partnerem ekonomicznym.

eprasa.pl 2ed9ed76bd



Premier Tadeusz Mazowiecki i kanclerz Niemiec Helmut Kohl na mszy pojednania w Krzyżowej, 12 listopada 1989 r.

A jest on również – wbrew wielu złudzeniom – najistotniejszym sojusznikiem Polski na wypadek wojny, poza tym od jego dobrej woli zależy i w przyszłości zależeć będzie bardzo wiele spraw istotnych dla Warszawy.

Poniższa analiza nie będzie się koncentrować na tłumaczeniu, dlaczego Polska nie tylko nie otrzyma biliona dolarów od Niemiec jako reparacji wojennych. Jako *pars pro toto* wystarczy może przypomnieć, co powiedział kiedyś Willy Brandt w rozmowie z Orianą Fallaci: „Aby coś osiągnąć, trzeba mieć możliwość osiągnięcia czegoś". Jest oczywiste, że polska klasa polityczna nie ma ani prawnych, ani moralnych narzędzi, ani też potęgi, by zmusić Niemcy do wypłaty reparacji po 80 latach od wybuchu wojny. Innymi słowy, polityka historyczna, jak każda polityka, nie może „rozgrywać się" z całkowitym pominięciem mocy sprawczych. Jeśli prawicowy polski dziennikarz Piotr Semka stwierdza, że dla Niemców nie może być „końca epoki wstydu za koszmar wojny", to, nie rozporządzając środkami pozwalającymi na spetryfikowanie „epoki wstydu" w odniesieniu do Niemiec, wspomniany dziennikarz i przedstawiciele polskiej klasy politycznej, którzy podzielają jego punkt widzenia, narażają się wyłącznie na wzruszenie ramion.

W rozważaniach nie będę także analizował moralnych skutków wrogiego aktu Polski w stosunku do Niemiec w kontekście spójności Unii Europejskiej i NATO, chociaż, rzecz jasna, jest to aspekt sprawy wart nie tylko odnotowania, lecz i głębokiego zastanowienia.

W prezentowanej analizie dążę do przypomnienia idei, która – z punktu widzenia politycznej empirii, politycznej roztropności i politycznej odpowiedzialności – uchodzi za fundament pokojowej koegzystencji narodów. Koegzystencji budowanej na rzeczowych podstawach, a nie na tzw. pamięci, która często okazuje się niczym innym jak permanentnym jątrzeniem i rozdrapywaniem ran. Idea, którą mam na myśli, jest oczywiście również gwarantem dobrosąsiedzkich stosunków pomiędzy poszczególnymi krajami. Tą zbawienną w procesie dziejowym Europy ideą była i wciąż pozostaje idea przedawnienia.

Powzięcie decyzji o przedawnieniu jest aktem stricte politycznym. Nie oznacza rozbratu z historią, która musi pozostać naszą *magistra vitae*. Oznacza natomiast rozbrat z cynicznym nieraz wykorzystywaniem historii do osiągnięcia bieżących celów politycznych. W żaden sposób nie zakazuje pojedynczym obywatelom oraz ich grupom kultywowania pamięci na swój prywatny użytek, przejawiającego się w pielgrzymowaniu do określonych miejsc i opłakiwaniu tam swoich krewnych. Wyłącza natomiast organizowanie państwowych uroczystości rocznicowych, nagłaśnianych przez media, co stanowi akt czysto polityczny.

Warto nie tracić z oczu faktu, że pamięć zbiorowa narodów czasem znacząco się różni, każdy naród pamięta trochę co innego i czegoś innego pragnie. Idea przedawnienia nie ma także nic wspólnego z przeprosinami i przebaczaniem deklarowanym przez jeden naród (ściślej jego politycznych reprezentantów) w stosunku do drugiego. Przeprosiny takie mogą uchodzić za polityczny gest dobrej woli, ale niewiele więcej. Czasem stają się łatwym i tanim sposobem zamanifestowania wyższości jednej wspólnoty politycznej nad drugą. Wątpliwe jest bowiem, z charakterystycznych dla przedstawicieli realizmu politycznego pozycji nominalistycznych, by owe deklaracje zawierały rzeczywistą treść moralną. To znaczy taką treść, jaka się pojawia w sytuacji, kiedy rzeczywisty Kowalski przebacza realne krzywdy wyrządzone mu przez rzeczywistego Nowaka. Jak dosadnie wyraził się na łamach „Przeglądu" Bronisław Łagowski: „Przepraszanie się narodów czy innych zbiorowości jest moralną pustotą, nie ma żadnego znaczenia, nic nie kosztuje i nic nikomu nie daje". To właśnie ten filozof polityczny wystąpił na początku obecnego stulecia z ideą przedawnienia jako ideą korzystną dla wszystkich Europejczyków.

Idea przedawnienia toruje drogę do politycznego pojednania wczorajszych adwersarzy, którzy, rzecz zdawałoby się oczywista, nie są wcale

FOT. EAST NEWS/KAROL MAŁCUŻYŃSKI

eprasa.pl 2ed9ed76bd

skazani na wiecznotrwałe kultywowanie animozji. Pomimo całkowitego, jak się wydaje, wyświechtania, cytowania w nieskończoność słów lorda Palmerstona, że Wielka Brytania nie ma wiecznych wrogów ani przyjaciół, wieczne są tylko brytyjskie interesy, można odnieść wrażenie, iż niektórzy politycy ciągle o nich zapominają, uprawiając w zapamiętaniu politykę „prawdy". Nie dostrzegają komizmu sytuacji, w jakiej się stawiają, kiedy nie pozostawiają dociekań na temat prawdy filozofom, historykom, generalnie naukowcom, lecz sami obsadzają się w roli „odkrywców" prawdy. Oczywiście „odkrywają" ją po to, by następnie tę „odkrytą" prawdę wepchnąć oponentom politycznym do gardła.

interesów. Dopóty, dopóki jej sternikami będą ludzie kompetentni, pozostanie dziedziną aktywności „wychyloną" ku przyszłości. Gdy u władzy znajdą się nieodpowiedzialni poszukiwacze i „odkrywcy" historycznej prawdy, przeszłość staje się istotniejsza od teraźniejszości i przyszłości.

Jak kiedyś dowcipnie wyraził się brytyjski filozof polityczny Michael Oakeshott, poszukiwaczom prawdy w polityce brakuje odporności na przekonanie, że osiągnęli swój cel. To właśnie owych zakładników fatalizmu wrogości miał na myśli Ksawery Pruszyński, gdy w napisanym przed 80 laty głośnym artykule „Wobec Rosji" stwierdził: „Oczywiście można myśleć kategoriami doznanych krzywd. Straszliwych, bezrozumnych

Zastosowanie idei przedawnienia przynosiło już dobroczynne skutki w historii Europy.

Rzecz jasna, w każdym państwie istnieją rzesze obywateli, wspieranych niekiedy przez część elit politycznych, dla których nieprzyjazne stosunki z przeszłości na zawsze definiują teraźniejszość i przyszłość. Obywateli, dla których tragiczna historia nie jest dostarczycielką wiedzy o tym, do czego zdolni są ludzie w ogólności, gatunkowo, lecz zawsze dostarczycielką informacji o tym, do czego zdolni są Niemcy, Rosjanie, Ukraińcy, Łotysze itd. Naturalnie okropieństwami nie skalała się nigdy ich własna nacja. Innymi słowy, ludzie ci nie potrafią wydestylować z historii abstrakcyjnych, pouczających treści, lecz, „odkrywając" trudną historię, popadają w rozemocjonowanie i niejako uczestniczą w tragediach zaistniałych przed kilkudziesięciu laty, co nadaje ich myśleniu i zachowaniu rys tragikomiczny. Stają się w ten sposób zakładnikami fatalizmu wrogości, jeśli wolno zapożyczyć frazę od Stanisława Stommy. Są to nieraz ludzie o czystych intencjach, przy jednoczesnym całkowitym braku politycznego wyrobienia i rozumienia sfery polityki. To polityczni romantycy niepojmujący, że polityka nie jest ideologiczną krucjatą, lecz w przeważającej mierze grą rzeczy, doznanych przez setki tysięcy naszych rodaków. Damy wtedy dowód czułego serca – co jest wiele. Ale nie będziemy składali dowodu politycznego myślenia".

Najbardziej klasycznym przykładem dobroczynnego zastosowania idei przedawnienia pozostaje pokój westfalski, szczególnie art. 2 Instrumentum Pacis Osnabrugensis traktujący o powszechnej amnestii. Oba główne traktaty miały na celu ustanowienie – i, co więcej, w dużej mierze cel ten osiągnęły – „prawdziwego i szczerego pokoju i przyjaźni". Henry Kissinger odnotował w „Porządku światowym": „Pokój westfalski stał się punktem zwrotnym w historii narodów, ponieważ zasady, które wprowadził, były równie nieskomplikowane, jak radykalne. To państwo, a nie imperium, dynastia czy wyznanie religijne stało się podstawą europejskiego porządku. Opracowano i przyjęto koncepcję suwerenności państwowej, przyznając każdemu z sygnatariuszy prawo do swobodnej, wolnej od ingerencji z zewnątrz decyzji odnośnie do własnej struktury wewnętrznej i orientacji religijnej. Nowością były klauzule, które głosiły, że mniejszości wyznaniowe mogą praktykować swoją wiarę w spokoju i bez groźby przymusowego nawrócenia" (s. 39).

Zwycięstwo koncepcji budowy Europy w oparciu o poszczególne państwa to fakt o kapitalnym znaczeniu, ponieważ wielość zwyciężyła uniwersalizm, który to uniwersalizm może stwarzać niebezpieczeństwo narzucania jednej jedynej, „właściwej" drogi. Zwycięstwo wielości, różnorodności utorowało drogę idei tolerancji. Nie dlatego, rzecz jasna, że uniwersaliści przemyśleli polityczne sprawy tego świata i w pluralizmie dopatrzyli się ogromnej wartości. Zaakceptowali pluralizm, gdyż uświadomili sobie, że nie mają sił i środków na utrzymanie uniwersalizmu. To długa i krwawa wojna pozbawiła uniwersalistów złudzeń. W kontekście rozwijanych tutaj rozważań najważniejsze jest doświadczenie polegające na przejściu do porządku dziennego nad różnicami religijnymi i politycznymi w celu zaprowadzenia pokoju. Najistotniejsza jest decyzja o przedawnieniu ogromu krzywd, jakie Europejczycy nawzajem sobie wyrządzili przez trzy dziesiątki lat XVII w. Wszystko to powinno w moim przekonaniu otrzeźwić polskie myślenie o stosunkach z Niemcami we współczesnym kontekście. Czyż koniec końców nie studiujemy historii po to, aby nie powtarzać popełnionych już kiedyś błędów?

Idea przedawnienia złączona jest, jak wyżej wspomniano, z perspektywą realistyczną i podejściem nominalistycznym. Podejście to wiąże się nierozerwalnie z negacją, z odmową rzeczywistego, pozawerbalnego istnienia takich fenomenów jak zbiorowa wina, zbiorowa odpowiedzialność, dziedziczenie winy, naród katów, naród ofiar itd. Doskonale wyraził istotę rzeczy przywoływany już wcześniej Gabiś: „Pogląd, że jakieś czysto historyczne winy, grzechy i zbrodnie popełnione w konkretnym czasie (…) przez konkretne osoby, grupy osób, organizacje czy instytucje konstytuować mogą jakąś »wieczną winę« (»wieczną odpowiedzialność« itd.) tych, którzy nie tylko, że z owymi czynami nie mieli absolutnie nic wspólnego, ale jeszcze urodzili się wiele lat po tym, jak zostały one dokonane, jest, według

eprasa.pl 2ed9ed76bd

nas, świadectwem głębokiego zmącenia osądu moralnego i intelektualnego" (T. Gabiś, „My, dezerterzy z frontów Wielkiej Europejskiej Wojny Domowej", s. 189). Nie może wprawiać w zdziwienie, że współcześni, zwykli obywatele państwa niemieckiego czują coraz większy dyskomfort związany z ciągłą wiwisekcją działań III Rzeszy. Niemiecki politolog Hajo Funke – czołowy znawca prawicowego ekstremizmu w Niemczech – w wywiadzie dla „Frankfurter Rundschau" stwierdził, że 20% niemieckiego społeczeństwa uważa, że nazizm miał dobre strony. We wcześniejszej wypowiedzi skonstatował ponadto, że ponad połowa obywateli domaga się grubej kreski oddzielającej erę nazistowską od czasów współczesnych.

Okazuje się zatem, że większość Niemców pragnie skoncentrować się na pozytywnych aspektach niemieckiej historii, których przecież nie brakuje. Chce zamknąć niekończące się debaty nad coraz bardziej odległymi, obciążającymi ich przodków wydarzeniami i uznać moralny dług za spłacony. Naturalnie idea przedawnienia i realistyczny, nominalistyczny punkt widzenia powodują, że nie mają oni żadnego moralnego długu do spłacania, ponieważ próby narzucenia im winy i odpowiedzialności za działania ich przodków z czasów, gdy ich samych nie było jeszcze na świecie, nie są niczym innym jak zsekularyzowaną wersją chrześcijańskiej doktryny grzechu pierworodnego. Mieliby oni dziedziczyć winę wraz z faktem urodzenia się Niemcami, podobnie jak chrześcijanie, wierzący w dziedziczne obciążenie grzechem pierworodnym za sprawą nieposłuszeństwa Bogu Adama i Ewy. Trudno się dziwić, że kolejne pokolenia Niemców mają coraz większe problemy z poczuwaniem się do odpowiedzialności, gdy upłynęło już tyle lat, że coraz mniej jest żyjących świadków II wojny światowej i wkrótce ich po prostu zabraknie. Notabene będzie to w moim przekonaniu ogromna komplikacja. Nasza wiedza o przeszłych wydarzeniach bez tych ludzi i ich wiedzy z pierwszej ręki narażona będzie na niebezpieczeństwo manipulacji. Stoję na stanowisku, że historiografia akademicka, na której w nauce polegamy, może spełniać swoje funkcje tylko poprzez zrównoważanie jej przez subiektywne świadectwa osobiste.

Nieporozumieniem wydaje się myślenie, że wprawdzie Niemcy mogą być bardzo zainteresowani wprowadzeniem w życie idei przedawnienia, jednak Polacy mogą na niej tylko moralnie (i finansowo) stracić. Pociągałoby to przecież za sobą konieczność zrezygnowania ze statusu ofiar, herosów męczeństwa itd. Warto uwyraźnić, że idea przedawnienia jest także kluczową ideą dla interesów i przyszłego rozwoju Polski. Jest tak z uwagi chociażby na trudną przeszłość rosyjsko-polską, ukraińsko-polską, na skalę niechęci współczesnych Litwinów do Polaków w związku z wydarzeniami nie tylko z XX w., ale nawet z XVI (sic!). Polskie interesy moralne i materialne wcale nie będą zagrożone, byłyby wręcz o wiele lepiej zabezpieczone, gdyby zatriumfowała żelazna zasada przedawnienia. Ożywianie straszliwych krzywd doznanych przez naszych rodaków nie spowoduje, że pokolenia zrodzone ze sprawców tych krzywd zaniemówią pod moralnym pręgierzem i będą Polakom oddawać wieczną cześć. Przywoła raczej te wszystkie wydarzenia, które samych Polaków stawiają poniżej wyobrażenia, jakie mają o sobie.

Czy ciągłe wypominanie Rosjanom paktu Ribbentrop-Mołotow nie spowodowało, że dyplomacja rosyjska przypomniała o tym, że Polacy pierwsi „flirtowali" z III Rzeszą Hitlera i wzięli udział w rozbiorze Czechosłowacji w 1938 r.? Znakomita większość Polaków żyje w przeświadczeniu, że Wielka Brytania i Francja zdradziły nas w 1939 r. A ilu Polaków zdaje sobie sprawę z uczucia rozczarowania, jakiego zachodni politycy doznawali od drugiej połowy lat 30. XX w., obserwując proniemiecką politykę Józefa Becka? Czy z francuskiej perspektywy Polska nie odzyskała niepodległości, ponieważ na frontach I wojny światowej zginęło 1,5 mln francuskich mężczyzn? Czy w oczach Brytyjczyków i Francuzów zacieśnianie w pewnym momencie przez Becka stosunków z Hitlerem nie było skrajną niewdzięcznością?

Sądzę, że bardzo niewielu Polaków kiedykolwiek pomyślało o wskazanych wydarzeniach w ten sposób. Stoją oni w większości na stanowisku, że niepodległość Polski wywalczył Józef Piłsudski ze swoimi legionami. Piszę o tym, aby podkreślić, że polskie zatopienie w historii, jej przetrząsanie i kultywowanie nie ma żadnego monopolu na obiektywizm, nie daje najmniejszej gwarancji na niezdeformowaną bezstronność (podobnie jak przetrząsanie jej przez Litwinów, Ukraińców, Rosjan i wszystkie inne nacje). Istnieje obawa, że stronnicze, nieustanne zanurzenie w „polityce historycznej", by nie powiedzieć tonięcie w niej, kultywowanie „pamięci", dokonywanie u siebie i za granicą ekshumacji zwłok itd., absolutnie nie doprowadzi Polaków do sytuacji, że „prawda ich wyzwoli".

Powzięcie decyzji o przedawnieniu jest aktem stricte politycznym.

Sądzę, że wyzwoli nas raczej (wraz ze wszystkimi innymi Europejczykami) idea przedawnienia. Wyzwoli nas „przedawnienie, puszczenie w niepamięć, powszechna amnestia, zatarcie wyroków, ostateczne zamknięcie wszystkich kwestii odszkodowań, roszczeń, restytucji i reparacji, zakończenie rozliczeń, wyliczeń i przeliczeń, wyrzucenie do kosza starych weksli, faktur, rachunków, porachunków, rozrachunków, obrachunków, umorzenie, anulowanie, kasacja, zasiedzenie, oddzielenie przeszłości »grubą kreską« – to wszystko przyniesie ludziom (…) »pożytek, godność, przyjaźń, zaufanie i pokój«" (T. Gabiś, „My dezerterzy…", s. 187).

Prof. Piotr Kimla jest pracownikiem Katedry Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Śmierć na posterunku

Działalność oddziału Stanisława Kopika „Zemsty" ograniczała się do napadów na strażnice WOP

Wiktor Brożek

Śmierć człowieka, zwłaszcza niewinnego, zawsze jest tragedią, co nie powinno budzić wątpliwości. Jak się jednak okazuje, tam, gdzie w grę wchodzi polityka i niezrozumienie historii, sytuacja przestaje być tak oczywista. Opisany przypadek to chyba jeden z najdobitniejszych przykładów wmawiania z powodów ideologicznych, że czarne jest białe, a białe jest czarne. Oto tragiczna historia kpt. Zbigniewa Plewy, który zginął dlatego, że znalazł się nie na tym posterunku, na którym wedle co poniektórych powinien służyć ojczyźnie.

Blizny do końca życia

Plewa urodził się 8 sierpnia 1924 r. w Rachowcu pod Tarnopolem. W czasie II wojny światowej jako Kresowiak został wywieziony do Rosji, gdzie pracował jako kowal. Następnie zgłosił się na ochotnika do Wojska Polskiego na Wschodzie. Przeszedł cały szlak bojowy 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. W trakcie działań wojennych w Niemczech został oskarżony o gwałt przez dwie Niemki, ale śledztwo nie wykazało żadnych wiarygodnych dowodów, sam Plewa nigdy nie został za to ukarany. Był przez swoich dowódców doceniany i w sierpniu 1945 r. otrzymał awans. Po wojnie służył w 9. Dywizji Piechoty, gdzie dowodził kompanią moździerzy 27. Pułku Piechoty w Kłodzku.

Czasy nie były łatwe dla nikogo, także dla zwykłych żołnierzy, którzy zmęczeni wojną musieli służyć w odbudowującym się kraju. Wiele obszarów nie miało jeszcze silnych struktur państwowych, co niejednokrotnie stanowiło duże niebezpieczeństwo. Kpt. Plewa stał się ofiarą napadu rabunkowego na pociąg wojskowy w Makowie Podhalańskim. Został postrzelony i trafił do szpitala na pięć miesięcy. Potem ze względu na stan zdrowia został przez MON oddelegowany do pełnienia od stycznia 1947 r. służby w strażnicy Wojsk Ochrony Pogranicza w Kolonii na Żywiecczyźnie. W tym okresie w WOP (choć nawet w dokumentach często używano przedwojennej nazwy Korpus Ochrony Pogranicza – KOP) służbę pełniło wielu byłych żołnierzy, którzy odnieśli rany.

Niebezpieczne strażnice

Taka polityka MON była do pewnego stopnia zrozumiała, ale wiązała się z zagrożeniami. Czasy były niebezpieczne i strażnice graniczne nie różniły się pod tym względem od wnętrza kraju. Obszary lesiste i górskie na granicy z Czechosłowacją stanowiły dobre schronienie dla partyzantów, rabusiów, przemytników czy ludzi chcących umknąć prawu.

Kpt. Zbigniew Plewa nie miał doświadczenia w patrolowaniu granicy, co wyszło w trakcie patrolu, który prowadził 10 lutego 1947 r. Nie znał tych okolic i musiał pytać mieszkańców o drogę, aby w ogóle dojść do strażnicy. W trakcie patrolu żołnierze szli zwartą grupą, niezgodnie z zasadami. Powinni się podzielić na mniejsze grupki, by w razie ataku zwiększyć szanse na przeżycie i móc skuteczniej się bronić.

Przechodząc obok jednego z domostw w Przegibku, zostali otoczeni przez oddział por. Stanisława Kopika „Zemsty". Odebrano im broń i byli przesłuchiwani. Wedle niektórych relacji byli bici. Na koniec dowódca wydał wyrok śmierci (takie miał widzimisię, oskarżając wopistów o otwarcie ognia). Oprawcy poprowadzili ofiary w głąb lasu. A potem słychać było tylko strzały. Była to śmierć okrutna, a co gorsza bezsensowna.

Kim jednak był por. Stanisław Kopik „Zemsta"? Próbując odpowiedzieć na to pytanie, trafia się na wiele półprawd, wymysłów i zwyczajnych przeinaczeń. Wbrew ustaleniom historyków IPN największą pracę w tym zakresie wykonał Tadeusz Kwiędacz, były żołnierz WOP stacjonujący w tym rejonie w latach 70. Od dawna zajmował się upamiętnianiem owego wydarzenia i starał się dociec prawdy, co zawarł w książce „Prawda na granicy. Inna historia Zbigniewa Plewy i Stanisława Kopika. Rajcza 1946-1947", która doczekała się dwóch wydań. Autor mimo braku formalnego wykształcenia przeprowadził dobrą kwerendę archiwalną i literatury. Oto jego ustalenia.

Kpt. Zbigniew Plewa nie miał doświadczenia w patrolowaniu granicy, co miało tragiczne konsekwencje.

Biografie Zbigniewa Plewy i Stanisława Kopika są dość zbieżne. Także por. Kopik służył w Ludowym Wojsku Polskim i został przeniesiony do WOP. Został nawet przedstawiony do odznaczenia Krzyżem Zasługi od

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Krajowej Rady Narodowej. W wielu publikacjach wspomina się o jego rzekomych kontaktach z lokalnym podziemiem Narodowych Sił Zbrojnych, ale brakuje na to dowodów, pozostają tylko niczym nieuzasadnione domniemania.

Jak udało się ustalić, jego dezercja z WOP nie była spowodowana zagrożeniem dekonspiracją (nie było czego dekonspirować), ale wynikła z prozaicznej sprzeczki. Wopiści pod jego komendą mieli wziąć udział latem 1946 r. w sianokosach, by zdobyć paszę dla koni. Chciał poprosić lokalne władze o zorganizowanie pomocy, ale najpierw pokłócił się z wójtem (który miał broń bez zezwolenia), a następnie, w stanie nietrzeźwości, z powiatowym sekretarzem PPR. W dodatku jego podkomendni na przepustce wdali się w sprzeczkę z lokalnymi ormowcami. Wywiązała się strzelanina, w wyniku której jedna osoba poniosła śmierć, a kilka zostało rannych.

Wszystko to spowodowało, że por. Kopik wraz z kilkoma żołnierzami zdezerterował. Pseudonim „Zemsta", który przybrał, miał się odnosić do nieuregulowanych rachunków z władzą.

Napady

Działalność jego oddziału ograniczała się do napadów na strażnice WOP, w tym w Rycerce Górnej w celu zdobycia broni (chociaż obowiązywał rozkaz kpt. Henryka Flamego, by nie atakować organów bezpieczeństwa), oraz wypraw „ekspropriacyjnych" do wsi i miasteczek, również po stronie czechosłowackiej. W zasadzie grupa działała sama dla siebie, w celu własnego utrzymania. Jedna z takich akcji zakończyła się tragicznie.

Po latach kpt. Zbigniew Plewa został patronem strażnicy WOP w Rycerce Górnej, lokalnej szkoły podstawowej oraz Centrum Szkolenia WOP. W Rycerce miał tablicę pamiątkową, a przy jego grobie odbywały się uroczyste warty żołnierzy WOP. Po 1989 r. rozpoczął się proces osławionej dekomunizacji, która największego rozmachu nabrała po 2016 r., kiedy przyjęto tzw. ustawę dekomunizacyjną. Oburzeni tym faktem emerytowani funkcjonariusze WOP i Straży Granicznej postanowili mimo to upamiętnić poległych. Powołano społeczny komitet budowy pomnika, którego pomysłodawcą był wspomniany Tadeusz Kwiędacz. Sam kupił działkę, na której ma powstać pomnik.

Żołnierze zostali otoczeni przez oddział por. Stanisława Kopika „Zemsty". Oprawcy poprowadzili ofiary w głąb lasu. Potem słychać było tylko strzały.

W 2022 r. w miejscowości stanął pomnik upamiętniający wszystkich żołnierzy, którzy od 1918 r. strzegli polskich granic w tym miejscu. W uroczystościach wzięła udział wicemarszałek Senatu Gabriela Morawska-Stanecka.

Postawienie jednego pomnika wszystkim polskim pogranicznikom nikogo nie wyklucza. Bo jakie ma znaczenie, czy żołnierz był w KOP czy w WOP? Opisywany przykład dobrze pokazuje, że na poziomie zwykłych żołnierzy nie było dylematów politycznych. Niestety, wielu historyków, a zwłaszcza polityków uznało, że może zawłaszczać pamięć, ignorując dostępne źródła. O ile można jeszcze dyskutować nad wieloma przykładami, o tyle ten przypadek nie wywołał praktycznie żadnych kontrowersji w lokalnej społeczności. Co ciekawe, biogram kpt. Plewy jest zamieszczony na stronie miejscowej parafii, sam kapitan ma grób z krzyżem. Jeżeli spojrzymy na artykuł o por. Stanisławie Kopiku na Wikipedii, przeczytamy, że „10 lutego 1947 r. stoczył potyczkę z oddziałem WOP". Żadne źródła tego tak nie opisują.

Wiemy, że było to przypadkowe spotkanie niedoświadczonego patrolu. Całej sytuacji można było uniknąć, nikt by nie zginął. Po co jednak wchodzić w takie szczegóły, wiadomo przecież, że wopista to „ten zły" i go nie szkoda. Skoro tak, to ten po drugiej stronie musiał być dobry. Historia i życie tak nie działają i proste etykietowanie może prowadzić na manowce, co często ma miejsce wśród ludzi IPN. ■



eprasa.pl 2ed9ed76bd



Wiec pod siedzibą redakcji „Washington Post" po zwolnieniu kilkuset pracowników, 5 lutego 2026 r.

Od Watergate do masowych zwolnień

„Washington Post" kiedyś obnażył aferę i wzmocnił demokrację. Dziś sam jest ofiarą władzy

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Gdy w 1974 r. dziennik „Washington Post" opisał kulisy afery Watergate, nie tylko uratował Amerykę przed dalszymi rządami człowieka, który skompromitował urząd prezydenta, ale także realnie wpłynął na amerykańską demokrację. Zjednoczył bowiem Kongres w wysiłkach na rzecz jej wzmocnienia, co zaowocowało reformami wymuszającymi na rządzie większą przejrzystość działań i ograniczającymi władzy wykonawczej pole do nadużyć i korupcji. To wówczas m.in. utworzono urzędy niezależnego prokuratora i specjalnych inspektorów w agencjach federalnych – organy kontrolne niezależne od Białego Domu, a Kongresowi przekazano większą kontrolę nad budżetem.

Wtedy też istotnie zreformowano system finansowania kampanii politycznych, wprowadzając limity wpłat od darczyńców prywatnych, a na polityków nałożono obowiązek upubliczniania zeznań podatkowych. Również wtedy ustanowiono wreszcie nowe standardy ochrony danych osobowych ludności. Samym obywatelom zaś przyznano prawo wglądu w dokumenty prezydenckie. Każda, nawet najmniejsza notatka prezydenta od momentu jego przeprowadzki do Białego Domu stawała się odtąd własnością publiczną.

Ujmując rzecz krótko, reportaż „Washington Post" zainicjował historyczny projekt udoskonalenia systemu *checks and balances* – kontroli i równowagi władz, który jest nieodzowny do sprawnego funkcjonowania demokracji.

Najczarniejszy dzień w historii prasy

Wydaje się, że amerykańska demokracja w roku 2026 wymaga nie mniejszej naprawy niż przed półwieczem. Jeśli jednak ktokolwiek miałby dziś obnażyć korupcję Donalda Trumpa, nie będzie to już „Washington Post". Bynajmniej nie dlatego, że redakcji brakuje odwagi czy

eprasa.pl 2ed9ed76bd

determinacji, by patrzeć władzy na ręce. Po prostu obecny właściciel gazety Jeff Bezos postanowił niedawno przerzedzić zastępy odważnych i zdeterminowanych.

4 lutego Bezos zwolnił prawie 400 osób, czyli niemal połowę redakcji, likwidując całe działy. Szokujący był też sposób, w jaki to zrobił – mejlowo. W efekcie korespondenci zagraniczni dowiadywali się, że właśnie stracili pracę, przebywając w strefach wojen tysiące kilometrów od domu. „Nigdy czegoś takiego nie widziałem. To był jeden z najczarniejszych dni w historii prasy. Studium destrukcji własnej marki z efektem natychmiastowym", skomentował decyzję Bezosa Marty Baron, jedna z najbardziej wpływowych postaci w amerykańskich mediach i legendarny naczelny wielu prestiżowych tytułów, w tym „Washington Post" w latach 2013-2021 („Why Jeff Bezos gutted the Washington Post", „The Guardian", 11 lutego 2026).

Żyjemy w przełomowym okresie zachodzących gwałtownie zmian norm i zasad, nie zabrakło więc głosów, że redakcję „Washington Post" spotkał los, który od dawna jest udziałem rosnącej rzeszy pracowników, zwłaszcza korporacyjnych. Zwolnień dokonuje się już niemal rutynowo przy pomocy firm zewnętrznych. Te zaś nie patrzą na doświadczenie, osiągnięcia czy lojalność pracowników. Liczy się wyłącznie osiągnięcie celu: oszczędności dla firmy i redukcja kadry o wymaganą liczbę osób. Z takiej perspektywy prywatny przedsiębiorca Jeff Bezos miał więc prawo zrobić ze swoim biznesem, co mu się żywnie podoba, prawda? Prawda.

A ponieważ jest to prawda i mówimy o miliarderze oraz „jego" gazecie, tym bardziej powinniśmy starać się zrozumieć, jakie mechanizmy tu zadziałały i dlaczego. Osobliwe przypadki dziennika, który kiedyś miał duże zasługi dla demokracji, a teraz stał się obiektem w kolekcji zabawek oligarchy, składają się na dramatyczną opowieść nie tylko o świecie, w jakim żyjemy. To przede wszystkim przestroga przed światem, który być może nadchodzi.

Kaprys miliardera

Zacznijmy od motywów Jeffa Bezosa, założyciela Amazona, człowieka legendy, dziś działającego również w branży kosmicznej, medialnej, sztucznej inteligencji oraz *venture capital*. Według magazynu „Forbes" Bezos to trzeci najbogatszy człowiek świata z majątkiem szacowanym w 2026 r. na 266 mld dol.

Bezos nabył „Washington Post" w 2013 r. od rodziny Grahamów, wieloletnich właścicieli dziennika (jeszcze sprzed czasów Watergate). Ci chcieli sprzedać tytuł, bo nie czuli się na siłach stawić czoła zmianom koniecznym do utrzymania się na rynku. Bezos zainwestował w gazetę jako osoba prywatna, a nie szef Amazona. Jako nowy właściciel podkreślał, że cenił tytuł, jego reputację i czuł się dumny, że to on zmodernizuje i wprowadzi gazetę w erę cyfryzacji, tworząc nową przestrzeń do jej rozwoju.

Przejmując „Washington Post" w 2013 r., Jeff Bezos prawdopodobnie wierzył w sens wspierania mediów jako filarów demokracji.

Plany się powiodły. „Washington Post" już w 2015 r. znów zaczął przynosić zyski. Tłuste lata przypadły na okres pierwszej prezydentury Donalda Trumpa. Redakcja dziennika wierna nowemu mottu, które Bezos kazał drukować na pierwszej stronie każdego wydania – sławetnemu „Demokracja umiera w ciemności" – wyrosła na naczelnych krytyków Trumpa, punktując wszystkie jego nadużycia i próby korupcji. Tym samym, dzięki swoim zasięgom, hamowała autorytarne zapędy prezydenta. Mimo statusu publikacji regionalnej, wciąż z mniejszymi zasobami kadrowymi i operacyjnymi niż „New York Times" oraz brytyjski „Guardian", który od 2011 r. wypuszcza co dzień cyfrową edycję amerykańską, „Washington Post" działał w tej samej lidze.

Dobra passa wyhamowała jednak pod koniec drugiej dekady XXI w., gdy w redakcję uderzyły dwa huragany.

Pierwszym była zmiana w 2018 r. algorytmów na Facebooku. Platforma odeszła wtedy od modelu podbijania informacji wstawianych przez medialny establishment, dając priorytet treściom z postów użytkowników indywidualnych. Była to historyczna decyzja twórcy Facebooka, Marka Zuckerberga, którą eksperci jednomyślnie łączą dziś ze wzrostem dezinformacji i popularności teorii spiskowych w mediach społecznościowych. Dla „Washington Post", który zdecydowanie polegał na facebookowej promocji, oznaczało to ograniczenie dostępu do czytelników, a co za tym idzie – odpływ reklamodawców.

Drugi huragan to wygrana Joego Bidena w wyborach w 2020 r. Jak wyjaśnia Marty Baron, „Amerykanie odzyskali poczucie »normalności« w sprawach polityki, wobec czego znacznie zmalało zainteresowanie nią, a więc i poczytność dziennika kojarzonego z zaangażowaną publicystyką polityczną".

Miliarder kontra prezydent

Przez dekadę Jeff Bezos nie ingerował w decyzje swojego zespołu w „Washington Post". Jesienią 2024 r., 11 dni przed wyborami, zaskoczył jednak redakcję, gdy poinformował ją, że po raz pierwszy od 30 lat gazeta nie poprze oficjalnie żadnego kandydata. W praktyce oznaczało to wstrzymanie druku reklamy z poparciem dla Kamali Harris. Oburzeni czytelnicy gazety zareagowali, zamykając portfele. W ciągu dwóch dni od tej decyzji gazeta straciła prawie 300 tys. subskrybentów, czyli co 10. czytelnika.

Szybko nadeszła odpowiedź na pytanie, czy nie był to ze strony Bezosa sygnał, że w przypadku wygranej Trumpa miliarder ma zamiar zmienić barwy polityczne i włożyć czerwoną czapeczkę. Już w grudniu Bezos pojawił się na świątecznym przyjęciu w Mar-a-Lago, a przy okazji

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 2ed9ed76bd

zadeklarował 1 mln dol. datku na fundusz inauguracyjny prezydentury Trumpa. Gdy miesiąc później przybył na Kapitol na uroczystość zaprzysiężenia, zajął specjalne miejsce w rzędzie zarezerwowanym dla śmietanki Doliny Krzemowej. Tuż za rodziną Trumpa oraz ramię w ramię z Markiem Zuckerbergiem (Meta), Samem Altmanem (OpenAI), Sundarem Pichaiem (Google) i Shou Zi Chewem (TikTok).

Dziennikowi nie przybyło od tego czytelników, przeciwnie – pod koniec lutego 2025 r. nastąpił kolejny masowy odpływ. I znów – bo trudno to ocenić inaczej – doszło do tego na wyraźne życzenie Bezosa. Miliarder ogłosił bowiem przebudowę działu opinii gazety w kierunku promowania wartości libertariańskich przy jednoczesnym blokowaniu innych punktów widzenia. Gazeta straciła 75 tys. subskrybentów, a przy okazji sporo swoich prominentnych publicystów i redaktorów. Wśród nich ekonomistę Eduarda Portera, który przeszedł do „Guardiana", a zmiany w „Washington Post" podsumował słowami: „Wprowadzanie dogmatów stało się zagrożeniem dla krytycznego myślenia. Usiłowało zmienić »The Post« w coś, co miało bardziej przypominać Kościół, z krótką smyczą dla samodzielnej myśli i idei" („As goes the Washington Post: US democracy takes another hit under Trump", „The Guardian", 8 lutego 2026).

Do końca 2025 r. „Washington Post" był na minusie, a jego sytuacja w chwili, gdy Bezos wysłał połowę redakcji na bezrobocie, rzeczywiście wyglądała na daleką od idealnej. Czy jednak nie było innej opcji? Mówimy w końcu o bogaczu, dla którego sfinansowanie pięciu lat dalszego życia gazety w przypadku, gdyby musiała się mierzyć z rocznym deficytem rzędu 100 mln dol., byłoby wydatkiem równym jego tygodniowym zarobkom.

Co innego jednak stanowi sedno sprawy. Przejmując „Washington Post" w 2013 r., Bezos, jak wskazuje Marty Baron, prawdopodobnie szczerze wierzył w sens wspierania mediów jako filarów demokracji, a przy tym był przekonany, że jego pozycja finansowa wystarczy, by wytrwać w tym szczytnym zamiarze. To założenie za pierwszej prezydentury Trumpa przeszło jednak poważny test, co odcisnęło piętno na Bezosie. W 2018 r. Amazon przegrał bowiem z Microsoftem gigantyczny, bo 10-miliardowy rządowy kontrakt na usługi w chmurze (JEDI, Joint Enterprise Defense Infrastructure). Gdy wyszło na jaw, że Amazon stracił ten projekt na specjalne życzenie Trumpa, firma pozwała nawet Biały Dom, a sprawa zakończyła się polubownie dopiero w 2025 r. „Trump uważał wówczas Bezosa za swojego wroga z jednej i tylko jednej przyczyny. Były to publikacje »Washington Post«", wyjaśnia Marty Baron.

Przed wyborami w 2024 r. Bezos poinformował redakcję, że po raz pierwszy od 30 lat gazeta nie poprze oficjalnie żadnego kandydata na prezydenta.

Media kontra prezydent

Po roku drugiej prezydentury Trumpa co do jednego nie można już mieć wątpliwości – że retoryka wendety wobec wrogów i krytyków, którą przesycona była trzecia kampania prezydencka, to nie pustosłowie. W nieprzychylne mu media i ich właścicieli Trump uderzył ze szczególną mocą. Tam, gdzie mógł, odebrał finansowanie nadawcom publicznym, takim jak National Public Radio i Public Broadcasting Station. Zablokował też wstęp do Białego Domu całym agencjom informacyjnym (Associated Press). Z Pentagonu, rzecz bezprecedensowa, w ogóle usunął wszystkich dziennikarzy, gdy odmówili podpisania zgody na to, że każdy podejmowany przez nich temat będzie najpierw zatwierdzany przez administrację Trumpa.

Poza tym projekt cenzurowania i niszczenia mediów realizowany jest dwutorowo. Po pierwsze, wobec nadawców stosowane są groźby odebrania licencji z powodu „szerzenia informacji niezgodnych z interesem publicznym" – argument, którego przed lojalnym sądem nikomu nie uda się odeprzeć. Tym właśnie Trump zagroził we wrześniu stacji ABC, gdy nie spodobał mu się występ Jimmy'ego Kimmela. Popularny komik skrytykował zachowanie prezydenta po zabójstwie prawicowego aktywisty politycznego Charliego Kirka. Po drugie, w media uderzają gigantyczne pozwy sądowe. Wniesione w 2025 r. oskarżenie przeciwko „New York Timesowi" opiewa na 15 mld dol., przeciwko „Wall Street Journal" – na 10 mld dol., przeciwko BBC – też na 10 mld.

Sprawy te są w toku, jeśli jednak precedensy mogą nam coś tu powiedzieć, warto przypomnieć, że pozwane wcześniej przez Trumpa stacje telewizyjne ABC oraz CBS (na odpowiednio 15 i 16 mld dol.) wolały nie ryzykować potencjalnie upolitycznionych i prowadzących do bankructwa procesów sądowych, więc obie zakończyły sprawy polubownie. Eksperci podkreślają, że aktywizacja systemu prawnego przeciwko mediom to niebywale silne i niestety skuteczne narzędzie walki z nimi.

W obecnych realiach polityczno-ekonomicznych o „Washington Post" nie warto się bić.

„Jeśli urzędnicy państwowi z odpowiednimi zasobami wniosą oskarżenia, to nawet jeżeli mają małe szanse na wygranie procesu, i tak mogą w ten sposób zniszczyć finanse pozwanej organizacji i straumatyzować dziennikarzy, na co ci odpowiedzą autocenzurą swojej pracy", wyjaśnia Amy Kristin Sanders, wykładowczyni prawa na Uniwersytecie Pensylwanii i współautorka książki „The First Amendment and

eprasa.pl 2ed9ed76bd

the fourth estate: the law of mass media" (Pierwsza poprawka i czwarta władza. Prawo mass mediów).

Gdy więc Bezos mordował „Washington Post" – bo rzesza krytyków wyłącznie takimi słowami opisuje lutowe zwolnienia w gazecie – przyświecał mu zapewne nie jeden cel, lecz kilka. Ten najważniejszy to bezsprzecznie plan ułożenia się z Trumpem w taki sposób, by wyeliminować czynniki, które rzucałyby niepotrzebny cień na relacje między miliarderem a prezydentem. Zadrażnienia kosztowałyby Bezosa nie tylko utratę potencjalnych kontraktów, ale – patrząc na skuteczność i rosnący zakres prezydenckiej wendety – może nawet ataki na to, co już posiada. Mówiąc wprost, w obecnych realiach polityczno-ekonomicznych o „Washington Post" bić się po prostu nie warto.

Media na postronku rynku

I tak dochodzimy do meritum. Jako prywatny właściciel „Washington Post" Bezos działa w realiach wolnego rynku. Ten kieruje się własną logiką i ma swoje cele. Na nic krzyki o mediach w roli obrońców demokracji i katalizatorów reform, jeśli media te są własnością prywatną, a w przestrzeni publicznej nie ma mechanizmów nacisku na właścicieli, by przedłożyli dobro publiczne nad interes prywatny. Ameryka ze swoim specyficznym pojmowaniem wolności, zwłaszcza ekonomicznej, od zarania była państwem, w którym w imię wartości rynkowych to kapitalizm regulował demokrację, a nie demokracja kapitalizm.

Takie są wybory samych Amerykanów. A wybory te mają wymierne skutki. Jakie? Choćby takie, że od początku tego stulecia kapitalizm uśmiercił w Ameryce ponad 3,5 tys. lokalnych tytułów prasowych i rozgłośni radiowych. Wbrew obiegowym tłumaczeniom, że lokalne media upadają, bo czytelnik przenosi się do sieci, w Ameryce media zabija przede wszystkim brak kapitału. Z jednej strony, brak sponsorów i inwestorów – koniecznych, gdy nie ma tradycji ani woli finansowania mediów jako dobra publicznego. Z drugiej, trend wykupu tych mediów przez ogólnokrajowe koncerny, które jednak bez skrupułów zamykają lokalne redakcje, gdy te nie przynoszą oczekiwanych zysków. Wymownym symbolem będzie tu szykowane na maj tego roku ostatnie wydanie dziennika „Pittsburgh Post-Gazette", który powstał jeszcze w 1786 r. – trzy lata przed zaprzysiężeniem pierwszego prezydenta USA Jerzego Waszyngtona.

Jeśli informacja jest dźwignią demokracji, to Ameryka stała się krajem, w którym co czwarta osoba żyje na informacyjnej pustyni, jeśli chodzi o najbliższe otoczenie. Nie dowie się, bo nie ma skąd, o wydarzeniach w swojej okolicy, mieście, hrabstwie, nie wie zatem, jak wywiązują się ze swoich obowiązków lokalni politycy.

Administracja Trumpa roznosi czwartą władzę całkowicie legalnie.

Od początku stulecia kapitalizm uśmiercił w Ameryce ponad 3,5 tys. lokalnych tytułów prasowych i rozgłośni radiowych.

Czy Ameryka straci demokrację za zgodą sądu?

Refleksje na temat dostępu do informacji i samej wolności informacji w dzisiejszej Ameryce zakończę trzema spostrzeżeniami.

Po pierwsze, administracja Trumpa roznosi czwartą władzę całkowicie legalnie.

Po drugie, równie legalnie kontrolę nad informacją, nad tym, w jaki sposób i w jakiej formie ona do nas dociera, przejęło w ostatnich latach wąskie grono technooligarchów z Doliny Krzemowej i to oni w coraz większym stopniu decydują, czego się dowiemy lub nie. Podkreślałam już na tych łamach wielokrotnie, że wybory z 2024 r. przeszły do historii Ameryki jako pierwsze, w których zagłosowali nie wyborcy, ale propaganda i dezinformacja siana przez boty. To cena, jaką Stany Zjednoczone płacą za to, że dobro publiczne, a nawet takie sprawy jak zdrowie i dostęp do informacji też są funkcją kapitalizmu i kwestią czyjegoś prywatnego zysku.

Trzecie spostrzeżenie wiąże się z konstytucją. Ta amerykańska jest 250-letnim dokumentem, który w świetle współczesnych wyzwań w zbyt wielu punktach jest niejasny, a do znacznej liczby bieżących tematów w ogóle się nie odnosi. Nie pomaga fakt, że Sąd Najwyższy, instancja także dziś upolityczniona, w której przewagę mają osoby o sympatiach konserwatywnych, zamiast naprawiać system, wręcz wzmacnia w nim elementy antydemokratyczne. Jeśli Trump kumuluje dziś w swoich rękach władzę, niszcząc demokratyczne normy i tradycje, to Sąd Najwyższy odgrywa w tym niepoślednią rolę. Praktykując popularny na prawicy tzw. oryginalizm konstytucyjny, prezentuje bowiem opinię, że ogólnikowy zapis art. 2 konstytucji – który określa władzę wykonawczą, ustanawiając urząd prezydenta i wiceprezydenta oraz ich uprawnienia itd. – należy czytać dosłownie i rzeczywiście wyposaża on amerykańskiego prezydenta w niemal nieograniczoną władzę.

Los „Washington Post", redakcji, która – podkreślmy to jeszcze raz – ujawniła aferę Watergate i wzmocniła demokrację, po czym stała się eksponatem w kolekcji zabawek oligarchy, unaocznia największą i najniebezpieczniejszą słabość Ameryki. Jej odwieczną skłonność do tego, by kwestią wyboru czynić tak samo interes społeczny, jak też indywidualne dążenie do sukcesu. Niestety, wybory dokonywane przez tych, którzy mają dziś możliwość poddawania nas coraz ściślejszej kontroli, pokazują, że to najprostsza droga do utraty tego, co nam dało wolność – demokracji właśnie.

Eliza Sarnacka-Mahoney

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Dziwny jest ten nasz polski świat

Dlaczego Polakom tak zależy, by być w pierwszym szeregu wojen rozpętanych w Iraku i Afganistanie?

Julian Stałgo

Prezydentowi Donaldowi Trumpowi powinniśmy – oczywiście po cichu – podziękować za to, że swoją wypowiedzią o wojskach z krajów „sojuszniczych", które nie zabijały ludzi na pierwszej linii frontu, pomniejszył niechlubną rolę polskich żołnierzy w nielegalnych wojnach Stanów Zjednoczonych. Dlaczego Polakom tak bardzo zależy, by być w pierwszym szeregu wojen rozpętanych w Iraku i Afganistanie przez USA? Dlaczego pchamy się do czołówki państw, które przy boku armii USA napadły bez powodów na Irak i okupowały Afganistan, brutalnie zwalczając partyzantów walczących tam o wolność? Przecież zachowujemy się teraz jak ludzie, którzy przed laty wzięli udział w poważnych przestępstwach, a gdy obecnie główny oskarżony i winny tamtych zbrodni publicznie mówi, że my, „sojusznicy", nikogo tam nie zabijaliśmy, tylko pomagaliśmy na zapleczu, to my krzyczymy na cały głos, że on kłamie i że popełnialiśmy te zbrodnie w pierwszym szeregu z głównym winowajcą. Takie postępowanie naszych władz, środowisk wojskowych i niektórych żołnierzy (zakładam, że tylko niektórych) jest dla mnie niezrozumiałe, tym bardziej że za udział Polaków w tamtych wojnach powinniśmy zdecydowanie się wstydzić i przepraszać.

Przecież dziś już świat ma dowody, że tamte wojny były nielegalne. I wszyscy wiedzą, że Irak nie miał przed napaścią USA – z Polską u boku – żadnej broni masowego rażenia, że o broni atomowej nawet nie wspomnę. Talibowie rządzący wtedy w Afganistanie nie mieli nic wspólnego z atakiem na WTC, a Osama bin Laden został zabity, gdy mieszkał sobie w willi na terenie Pakistanu. Przecież dziś wiemy, że wszystkie powody do napaści na Irak i Afganistan zostały spreparowane przez rząd USA. W świetle tych wszystkich faktów powinniśmy się cieszyć, gdy prezydent USA mówi, że w tamtych wojnach nasi żołnierze brali udział, głównie wspierając amerykańskie siły okupacyjne na zapleczu.

Udział w napaści bez powodu na kraje leżące tysiące kilometrów od naszych granic i niestanowiące dla nas ani dla Ameryki zagrożenia – nawet, a może szczególnie w towarzystwie USA – nie powinien być powodem do naszej dumy, raczej powodem do wstydu. Przede wszystkim dlatego, że jesteśmy Polakami, na których w 1939 r. – po przeprowadzonych wcześniej prowokacjach w Gliwicach, Bydgoszczy, Gdańsku i innych miejscach i po międzynarodowej kampanii oczerniania Polski – bez powodu napadli Niemcy. Naszych partyzantów z Armii Krajowej, Armii Ludowej i Gwardii Ludowej walczących z najeźdźcą niemieckim uważamy za bohaterów. Dlaczego więc partyzantów, którzy walczyli o wolność w nielegalnie napadniętym Iraku i Afganistanie, mamy uważać za terrorystów? Dlaczego naszych żołnierzy, którzy razem z USA, ale wbrew prawu międzynarodowemu i ONZ, brali udział w napaści na Irak, mamy uważać za bohaterów? Wydaje mi się, że przyłączanie się do działań niezgodnych z prawem międzynarodowym – nawet w towarzystwie USA – nie powinno zwalniać nas z odpowiedzialności, szczególnie z odpowiedzialności moralnej. Zamiast wykorzystać słowa prezydenta Trumpa i pomniejszyć polską niechlubną rolę w obu wojnach, my domagamy się, by świat uznał nas za równorzędnie z Amerykanami odpowiedzialnych za tamte wojny i zbrodnie tam popełnione. Dziwny jest ten nasz polski świat. ■



eprasa.pl 2ed9ed76bd



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Wojny zwane ambicjami

Przywykamy. Przyzwyczajamy się. Przestajemy się dziwić. Nie w głowie nam głos protestu. Tak już jest, bo tak było, tak musi być. Wojna rodzi się z zagłady słów, potem giną ludzie. Metafora słonia w pokoju nie wyczerpuje już paradoksu oswojenia się z wojennym językiem, wojną jako nieuniknioną koniecznością, jedyną dopuszczalną, akceptowalną i wyczekiwaną metodą rozwiązywania wcześniej wywołanych „konfliktów" albo po prostu poszerzania pola władzy, dominacji i imperializmu. Technika wojenna i opowieść o jej wykwitach wypiera opisy technologii, które życie ułatwiają, umożliwiają i ocalają. Wojna rozgaszcza się w naszych głowach, kwitnie w słowach, promienieje w brawach tłumów. Niepostrzeżenie staje się marzeniem. Marzeniem tych, którzy na niej wyjdą najgorzej, którzy będą cierpieć, ginąć, których domy zostaną zburzone, a życie naznaczone na zawsze. W opowieściach o II wojnie światowej, czy też Wojnie Światowej XX w., dominowało przekonanie, że to wojna przemysłowa, że zabijanie było przemysłowe, że Zagłada była zorganizowana na modłę taśmy w fabryce wytwarzającej masową śmierć.

Dzisiaj wszechpanujący imperialistyczny kapitalizm, który nie zatrzyma się przed wywołaniem, prowadzeniem wojny i zarabianiem na przemocy, narzucił nam swój nowy język, który jak zawsze jest kamuflażem, ukryciem pod słowami i pojęciami innych znaczeń. Wojna jawi się jako coś, co przypominać ma raczej pewien projekt biznesowy. To nie pożoga, zniszczenie, śmierć, głód – to operacja. Komandosi to operatorzy. Ginący ludzie to cele do wyeliminowania, nigdy ludzie. Media siejące i kulminujące klimat koniecznej do zaakceptowania i oswojenia grozy to wszechobecna operacja PR-owa, częściowo świadomie wygenerowana, niekiedy, wcale nie tak rzadko, samoistnie się wzbudzająca.

Stary Orwell ze swoimi przestrogami i fantazjami z „Roku 1984" sprawia wrażenie nie tyle wygłaszającego kasandryczne ostrzeżenia, ile kronikarza tego, co dostępne. Amerykańskie Ministerstwo Obrony, wyjątek potwierdzający regułę odwróconych znaczeń, jest od nie tak dawna Ministerstwem Wojny – co za szczodrobliwa szczerość w miejsce słownikowej hipokryzji. Ale już Rada Pokoju narcyza wojennego jest w swoim ostentacyjnym zakłamaniu czystą egzemplifikacją tego, że słowa przestały znaczyć to, co znaczą.

Czytam na polskim portalu: „Tylko 18 lutego śledzący transpondery amerykańskich samolotów wojskowych entuzjaści naliczyli 46 latających cystern, które obrały kierunek z USA na wschód. Łącznie w bazach na Bliskim Wschodzie i w Europie ma być ich już około setki". Przy tych „entuzjastach" ogarnia mnie przerażenie. Ale potem jest już tylko gorzej i straszniej. Fascynacja, podziw dla maszyn śmierci brzmi jak hymn radości z nadchodzących rzezi, śmierci miast i ludzi, jakbyśmy słuchali koncertu artykułującego pochwałę masowo zadawanej śmierci i cierpień. Ale przecież ci, którzy to piszą, ci, którzy tego od nich wymagają, wreszcie ci, którzy to publikują, zawsze powiedzą: my tylko informujemy, społeczeństwo chce wiedzieć i my tę „wiedzę" mu dostarczamy. Spójrzcie sami: „Określenie liczby latających tankowców jest bardzo ważnym wskaźnikiem przygotowań USA do wojny. Są to maszyny niezbędne do prowadzenia kampanii uderzeń z powietrza, ponieważ większość współczesnych samolotów bojowych ma niewystarczający zasięg, aby móc swobodnie przeprowadzić kilkugodzinną misję bojową nad tak rozległym krajem jak Iran. Co istotne, obecnie tankowców jest już zdecydowanie więcej niż przed czerwcowym uderzeniem na obiekty związane z programem jądrowym Iranu. Tamto trwało jedną noc. Między innymi dlatego można się domyślać, że tym razem Trump ma znacznie większe ambicje".

Plan potwornego ataku jest „większą ambicją". Nie reagujemy już na takie doniesienia: „Ku Iranowi lecą nie tylko latające cysterny. Bardzo wymowne są też ruchy latających radarów i stanowisk dowodzenia E-3 Sentry (potocznie często nazywanych AWACS). To kolejny tzw. mnożnik siły lotnictwa bojowego, obok latających cystern. Zapewniają one mniejszym samolotom bojowym lepsze rozpoznanie oraz koordynację. W ciągu ostatnich 48 godzin z USA na wschód wyruszyło łącznie sześć E-3. Po przystankach w Niemczech i Wielkiej Brytanii wszystkie podążyły do bazy w Arabii Saudyjskiej. Sześć sztuk może wydawać się niewiele, ale to prawie jedna trzecia całej aktywnej amerykańskiej floty E-3. To największy tego rodzaju ruch od wielu lat. Towarzyszyły im dodatkowo dwa specjalistyczne samoloty E-11 BACN, które są latającymi węzłami łączności. Trzy inne były już w Arabii Saudyjskiej. Amerykanie mają ich łącznie zaledwie osiem. Zauważono też pojedyncze samoloty walki elektronicznej".

Nie zadajemy pytania: jakim prawem? Bo przecież w naszym świecie imperium zła to Putin. A na to, co robią USA, patrzymy jak ten chiński wojownik, który zasiada na brzegu rzeki i czeka, aż nurt przyniesie ciała wrogów.

Nie mając słów, nie wyrażamy protestu, niezgody, sprzeciwu. Jutro Iran, pojutrze ktokolwiek. Ja jednak powtórzę poszarzałą frazę: „Nigdy więcej wojny, nigdzie, dla nikogo". Dopóki jesteśmy ludźmi. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Czy kobiety zmienią Włochy?

Giorgia Meloni szykuje się na drugą kadencję, a jej rząd pobił już wiele historycznych rekordów



Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Giorgia Meloni rządzi Włochami od 22 października 2022 r. i przekroczyła już półmetek legislatury. Jej gabinet należy do najdłużej urzędujących – wyprzedził rządy Andreottiego, Craxiego i Draghiego, ustępując jedynie kadencjom Berlusconiego. Pierwsze tysiąc dni upłynęło pod znakiem względnej stabilności politycznej, ale też ostrej debaty na temat priorytetów gospodarczych i społecznych.

Przed wyborami w 2022 r. obawiano się „powrotu faszyzmu", jeśli do władzy dojdą Bracia Włosi. Nic takiego się nie stało. Partia Meloni okazała się bardziej liberalna niż koalicyjna Liga Salviniego. Sama premier przeszła drogę od politycznej outsiderki do ostrożnej liderki europejskiego formatu, choć nie odcięła się symbolicznie od postfaszystowskich korzeni swojej formacji. Dziś uchodzi za jedną z najbardziej stabilnych i wpływowych liderek prawicy w Europie. Jej siła tkwi w podwójnej tożsamości: ideowo zakorzeniona w konserwatyzmie i nacjonalizmie, Meloni jest jednocześnie pragmatyczna na arenie międzynarodowej. Włochy nie stały się „drugimi Węgrami", choć premier konsekwentnie wzmacnia symboliczną narrację o „Bogu, ojczyźnie i rodzinie".

Osiągnięcia rządu

Gabinet Meloni może też się pochwalić rekordowym poziomem zatrudnienia, ostrożnym zarządzaniem finansami publicznymi, zmniejszeniem klina podatkowego, działaniami na rzecz zwiększenia dzietności i ochrony siły nabywczej rodzin. Budżet na 2026 r., o wartości ok. 18 mld euro, zaplanowany jest powściągliwie. W polityce gospodarczej rząd postawił na stabilność finansów publicznych, unikając frontalnej konfrontacji z Brukselą.

Podkreślana jest również terminowa realizacja Krajowego Planu Odbudowy i Zwiększania Odporności (PNRR), opiewającego w latach 2021-2026 na ok. 194,4 mld euro ze środków unijnych, powiększonych o fundusz krajowy do ok. 225 mld euro. Ósma rata (12,8 mld euro) została zatwierdzona pod koniec 2025 r. Mimo to znaczna część funduszy musi zostać wydatkowana przed 31 grudnia 2026 r., co stanowi poważne wyzwanie administracyjne.

Rząd rozpoczął reformy strukturalne, w tym zmiany w wymiarze sprawiedliwości. W dniach 22-23 marca 2026 r. odbędzie się referendum konstytucyjne w kwestii tzw. reformy Nordio (od nazwiska ministra sprawiedliwości Carla Nordia – przyp. aut.). Ponieważ dotyczy ono zmian w konstytucji, wynik będzie ważny niezależnie od frekwencji. Reforma przewiduje rozdzielenie ścieżek karier sędziów i prokuratorów, utworzenie dwóch odrębnych organów nadzorczych (CSM), częściowo wybieranych w drodze losowania, oraz powołanie nowego Sądu Dyscyplinarnego, który zajmowałby się wyłącznie odpowiedzialnością sędziów i prokuratorów.

Meloni przygotowuje także wprowadzenie tzw. premieratu – reformy konstytucyjnej, którą nazywa „królową wszystkich reform" – oraz ustawy o zróżnicowanej autonomii regionów. Projekt przewiduje bezpośredni wybór premiera na pięcioletnią kadencję oraz ograniczenie roli prezydenta w powoływaniu szefa rządu i rozwiązywaniu parlamentu. Opozycja krytykuje te zmiany jako zagrożenie dla równowagi władz.

Palącym problemem pozostaje migracja i bezpieczeństwo. Choć liczba migrantów przybywających drogą morską zmalała w ostatnim roku, centra repatriacyjne w Albanii wciąż nie funkcjonują zgodnie z założeniami. Wydalanie osób przebywających nielegalnie jest nieskuteczne. 11 lutego 2026 r. rząd przyjął projekt ustawy (DDL Migranti) zaostrzającej politykę migracyjną. W projekcie tym przewidziana została m.in. możliwość zamykania wód terytorialnych w razie nasilonej presji migracyjnej oraz zmiana zasad wskazywania „bezpiecznych krajów trzecich".

Opozycja i wielu analityków przedstawia mniej optymistyczny obraz gospodarki. Mimo zwiększonego

eprasa.pl 2ed9ed76bd





Giorgia Meloni ma mocną pozycję, ale i konkurencję – Silvię Salis i Elly Schlein.

zatrudnienia tempo wzrostu PKB pozostaje niskie, a Włochy znalazły się wśród najsłabszych gospodarek strefy euro. Krytycy wyliczają stagnację płac, spadek realnej siły nabywczej oraz problemy strukturalne: niską produktywność i wysoki dług publiczny. Związki zawodowe uznają redukcję podatku dochodowego za symboliczny gest – przeciętny pracownik zyskuje zaledwie kilka euro miesięcznie. Wszyscy narzekają na kryzys publicznej służby zdrowia i trudności w dostępie do świadczeń.

Premier obiecywała nowy początek, lecz jej rządy przybrały formę konserwatywnej powściągliwości. Odbicie gospodarcze po pandemii rozpoczęło się jeszcze przed objęciem urzędu przez Meloni, a słaby wzrost się utrzymuje. Produkcja przemysłowa zwalnia, wydajność spada, a Włochy są jedynym krajem strefy euro, w którym realne płace obniżyły się od 1990 r. Sama premier przyznała, że rok 2025 był „trudny", a 2026 może przynieść jeszcze większe wyzwania. Nadchodzące miesiące będą kluczowe dla stabilności finansów publicznych. Powrót unijnych reguł fiskalnych przyniesie konieczność dalszych oszczędności. Dzięki pieniądzom z PNRR Włochy uniknęły najgłębszej recesji, ale gdy transze się skończą, Meloni znajdzie się w trudnej sytuacji. Druga połowa kadencji będzie dla rządu testem zdolności do utrzymania poparcia w warunkach spowolnienia gospodarczego.

Największym zaskoczeniem okazała się konsekwentnie proatlantycka linia Meloni. W sprawie Ukrainy rząd od trzech lat utrzymuje twarde stanowisko wobec Rosji i wspiera Kijów, wpisując się w główny nurt UE i NATO, choć wicepremier Salvini i jego Liga próbują sabotować politykę zagraniczną oraz szefa MSZ i wicepremiera Antonia Tajaniego, lidera partii Naprzód Włochy. To wyraźny sygnał dla europejskich partnerów i dla Waszyngtonu.

Relacje Meloni ze środowiskiem MAGA i Donaldem Trumpem cechuje ideologiczna zbieżność, Włochy mają ambicje odgrywania roli pomostu między USA a Europą. Premier otwarcie odcięła się od europejskiej krytyki „kultury MAGA", polemizując m.in. ze stanowiskiem kanclerza Friedricha Merza wyrażonym na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Ponadto Włochy mają uczestniczyć jako obserwator w Radzie Pokoju powołanej przez Trumpa, przy zachowaniu ograniczeń wynikających z włoskiej konstytucji. Te relacje budzą krytykę opozycji – przede wszystkim Partii Demokratycznej, która ostrzega przed nadmiernym uzależnieniem od amerykańskiej agendy politycznej i możliwą izolacją Włoch w Europie.

Meloni jest ideowo bliższa konserwatywnej Ameryce niż liberalnym elitom Europy, lecz jako szefowa rządu państwa UE nie może sobie pozwolić na zerwanie z europejskim mainstreamem. Jej polityka wobec USA to raczej kalkulacja niż sentyment – Włochy mają pozostać wiarygodnym sojusznikiem niezależnie od tego, kto rządzi w Waszyngtonie. Sondaże z początku 2026 r. pokazują spadek sympatii Włochów dla Donalda Trumpa – jedynie 15% ocenia go pozytywnie. Ponad połowa uważa, że Meloni powinna zdystansować się od jego polityki, a część opinii publicznej zaczyna postrzegać USA jako zagrożenie dla stabilności Europy. Dla rządu oznacza to konieczność ostrożnego balansowania między sojuszem atlantyckim a nastrojami społecznymi.

Mimo tych napięć włoska prawica pozostaje w polityce zagranicznej bardziej przewidywalna niż podzielona w tej kwestii opozycja.

Schlein kontra Meloni

Po wyborach z 2022 r. włoska scena polityczna wyraźnie się spolaryzowała. Z jednej strony stoi Giorgia Meloni, liderka Braci Włochów, z drugiej – Elly Schlein, szefowa Partii Demokratycznej. Chociaż Schlein od ponad trzech lat próbuje przekształcić rozproszoną opozycję w szeroki blok progresywny, to Meloni wciąż nadaje ton debacie publicznej, a liderka demokratów nie wypracowała jeszcze jednoznacznej formuły przywództwa.

Sondaże pokazują, że Bracia Włosi utrzymują wysokie poparcie, a sama Meloni – mimo trudności gospodarczych i presji inflacyjnej

FOT. ZUMA PRESS/FORUM, SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 2ed9ed76bd

– zachowuje wizerunek liderki zdecydowanej i przewidywalnej. To paradoks: polityczka wywodząca się z radykalnej prawicy stała się dla części wyborców gwarantem stabilności. Z poparciem na poziomie ok. 46,7% wyraźnie wyprzedza Antonia Tajaniego (39,6%), Giuseppe Contego (30-31%) oraz Elly Schlein (28-29%), czyli cieszy się wyższym wskaźnikiem akceptacji niż główni liderzy opozycji.

Objęcie przywództwa w Partii Demokratycznej przez Schlein miało być przełomem. Progresywna liderka z doświadczeniem europejskim miała przyciągnąć nowe pokolenie wyborców i odbudować wiarygodność lewicy. Jej strategia budowy „szerokiego pola" z Ruchem Pięciu Gwiazd i innymi ugrupowaniami prowadzi jednak do rozmycia różnic programowych.

Według komentatorów jedynym prawdziwym zagrożeniem dla Meloni jest Silvia Salis.

Kluczową postacią pozostaje Giuseppe Conte, były premier i lider Ruchu Pięciu Gwiazd, ugrupowania, które zaczynało w koalicji z Ligą, a dziś lokuje się po lewej stronie. Conte plasuje się jako alternatywa dla rządu, zwłaszcza w kwestiach społecznych i antysystemowych, rywalizując z demokratami o ten sam elektorat: rozczarowanych centrolewicowców, młodych wrażliwych na kwestie socjalne i nostalgików komunizmu, którzy chętniej patrzą w kierunku Kremla niż Waszyngtonu.

Schlein zdaje się wierzyć, że wspólny front przeciw Meloni jest ważniejszy niż eksponowanie różnic programowych. Tymczasem Conte nie kryje ambicji powrotu na urząd premiera, a każde osłabienie PD działa na jego korzyść. Zamiast konsolidacji opozycji może nastąpić przesunięcie jej środka ciężkości w stronę Ruchu Pięciu Gwiazd.

Populistyczny były premier wydaje się gotowy na każdy polityczny flirt, który pozwoliłby mu wrócić do władzy – nawet z ekstremalną prawicą. Reprezentuje ją gen. Roberto Vannacci, który odszedł z Ligi i założył własną partię Narodowa Przyszłość. Świadczy o tym ich ostatnia wspólna inicjatywa parlamentarna „Stop zbrojeniu Ukrainy".

Najpoważniejszym błędem Schlein jest brak jednoznacznej narracji w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa. Wyborcy dostrzegają różnice między atlantycką linią rządu a ambiwalencją opozycji. Drugi błąd to właśnie koncentracja na inżynierii koalicyjnej kosztem budowy wyrazistego programu. Opozycja nie wygrywa wyborów samą arytmetyką – potrzebuje lidera zdolnego przekonać centrum i umiarkowanych wyborców. Skupiając się na poszerzaniu pola, Schlein ryzykuje utratę własnej bazy.

Meloni rządzi w sposób podporządkowany jednemu celowi: utrzymaniu dominacji prawicy. Schlein operuje w bardziej rozproszonym środowisku, gdzie każda decyzja wymaga negocjacji z potencjalnymi partnerami. To asymetria strukturalna – władza zawsze ma przewagę nad opozycją, ale w tym przypadku różnica jest szczególnie widoczna. Jeśli dziś odbyłyby się wybory, prawica utrzymałaby przewagę (dane z zeszłego roku i z obecnego wskazują, że Bracia Włosi osiągają 31%, Partia Demokratyczna 21,6%, Ruch Pięciu Gwiazd 2,1%, Naprzód Włochy 10,5%, a Liga 8,3%). Aby to zmienić, Schlein musiałaby zdefiniować wyraźny projekt państwa – nie tylko być anty-Meloni, lecz także przedstawić pozytywną wizję Włoch: gospodarczą, społeczną i międzynarodową.

Schlein wciąż ma potencjał mobilizacyjny, lecz stoi przed strategicznym wyborem: budować szeroki, ale niejednorodny blok czy wzmocnić tożsamość własnej partii, nawet kosztem napięć z Contem.

Starcie liderek to nie tylko konflikt osobowości, ale i spór o model demokracji: czy będzie ona oparta na silnym, scentralizowanym przywództwie prawicy, czy na wielobarwnej, negocjowanej koalicji progresywnej. Na razie to Meloni wyznacza reguły gry, a opozycja – mimo ambicji – wciąż gra na jej warunkach.

Wschodząca gwiazda Salis

Ale na horyzoncie pojawiła się nowa postać – 40-letnia Silvia Salis, od 29 maja 2025 r. burmistrzyni Genui oraz metropolii genueńskiej. Do władzy doszła jako kandydatka koalicji centrolewicowej, szybko zyskując ogólnokrajową rozpoznawalność. Media często zwracają uwagę na fizyczne podobieństwo Salis i Meloni oraz na zbieżność ich temperamentów. Obie są postrzegane jako energiczne, o silnej osobowości, charyzmatyczne, potrafiące mówić stanowczo i budować wizerunek „twardych kobiet" w świecie polityki i instytucji publicznych.

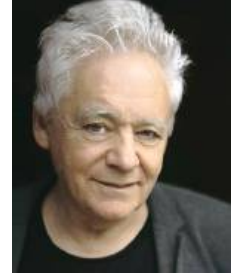
Sportowa przeszłość Salis – olimpijki w rzucie młotem (Pekin 2008, Londyn 2012), dziesięciokrotnej mistrzyni Włoch i pierwszej kobiety na stanowisku wiceprezesa wykonawczego federacji sportowej CONI – dodatkowo wzmacnia obraz determinacji i bezkompromisowości, często porównywany do stylu pani premier. Aktywność Salis w mediach społecznościowych i jej udział w debatach publicznych sprawiają, że bywa nazywana sportową wersją Meloni i stała się symbolem podobnego modelu kobiecego przywództwa.

Jako burmistrz Genui Salis skoncentrowała się na bezpieczeństwie w mieście (wniosek o strefy wzmożonego nadzoru), wzmocnieniu relacji międzynarodowych oraz agendzie praw obywatelskich i inkluzywności, za którą została uhonorowana tytułem Polityka Roku 2025. W swojej wizji politycznej stawia na młodych i rodziny – rozwój usług publicznych, nowy kampus uniwersytecki i przestrzenie rekreacyjne w dzielnicach – budując wizerunek lewicowej liderki nowej generacji.

Choć Silvia Salis zarzeka się, że nie myśli o polityce krajowej i chce przede wszystkim działać dla rodzinnego miasta, to w niej wielu komentatorów widzi przyszłą liderkę włoskiej lewicy i jedyne prawdziwe zagrożenie dla Giorgii Meloni.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl 2ed9ed76bd



Oko w oko Tomasz Jastrun

Butem w głowę

Kolega z Waszyngtonu, który pracował w Departamencie Stanu, pisze do mnie o Trumpie. A obiecywał, że zamknie się w bunkrze, odizoluje od polityki, bo ma dosyć. Jednak przez szczeliny mu się przesącza: „Wideo z Obamami jako małpami nie jest ani pierwszym, ani jedynym przejawem rasizmu Trumpa i jego lokajów. Ani braku godności, ani wszelkich cech charakteryzujących cywilizowanego człowieka. Ameryka przestała nieść pochodnię wolności i demokracji znacznie wcześniej i wcześniej zaczął się kryzys jej tożsamości. Może zapoczątkowały go zamachy terrorystyczne z 11 września, może kryzys finansowy z pierwszej dekady nowego wieku, może pandemia, a może pierwsza kampania Trumpa. Nie wiem, ale Ameryka nie jest tą samą Ameryką, jaką znaliśmy i do której odnosiliśmy nasze wartości w dziedzinie polityki. Dziś Trump to Ameryka – agresywna, głupia, rasistowska i destrukcyjna. Ponad 40% wyborców otwarcie popiera go i wszystkie jego odrażające ekscesy. A są też tacy, którzy popierają go po cichu. Trump jest dziś autentycznym uosobieniem Ameryki i zwierciadłem jej moralnego upadku i destrukcji jej autorytetu na świecie”.

Trudno nie pomyśleć, że gangrena rozwija się w jednej nodze naszej cywilizacji. Bez tej nogi wszystko nam się chwieje. Ale przecież równie dobrze można zapytać: co o Polsce mówi fakt, że 10 mln Polaków zagłosowało na Nawrockiego, kiedy jego kompromitujące wady były już powszechnie znane? Nawrocki jak Nawrocki, kibol, zdarza się, ale ta jedna trzecia Polaków to jest narodowe nieszczęście.

•

Prawica sejmowa ostatnio lubuje się w zbiorowym skandowaniu: „Precz z komuną!”. Doznają przy tym akcie czegoś w rodzaju ekstazy. Trochę to dziecinne takie przezywanie się, a też bardzo kibolskie. Ostatnim razem tak wołali Czarzastemu. Ja bym najpierw podjął próbę definicji, co to dziś jest komuna i kim jest komuch.

Otóż właściwie nie wiadomo. To już nic nie znaczy. Jeśli komuchami mają być ludzie kiedyś zakorzenieni politycznie w PRL, to rzeczywiście załapują się Włodzimierz Czarzasty, Leszek Miller czy Aleksander Kwaśniewski. Wszyscy oni zdążyli na końcówkę „komuny”, już w rozkładzie. Z komunistycznym marksowsko-leninowsko-stalinowskim pierwowzorem nie miało to wiele wspólnego. Kwaśniewski był najlepszym prezydentem III RP, Miller premierem, który wprowadził nas do Unii Europejskiej, teraz mu szajba odbija, ale to już inna historia. Może miażdżyca? Nie wiem. A przeszłość? Po kilkudziesięciu latach nawet mord ulega przedawnieniu. Przeszłość to nie jest dożywocie, z niej często się wyrasta. I przecież w PiS jest cała gromada byłych działaczy PZPR. W tym gronie wyróżnia się prokurator Stanisław Piotrowicz. Uwielbiam go, jak wystrugany z drewna, karykatura człowieka, postać godna sztuk Gogola.

A młodzi nie mają pojęcia, czym była Polska Ludowa. Komunista to dla nich puste hasło, jak przekleństwo. Coś złego, ale co? Wzmożenie moralne PiS to nie powrót do historii, ale próba zamącenia w głowach, by opluć i obs...

Wzmożenie moralne PiS to nie powrót do historii, ale próba zamącenia w głowach.

A pokrzyczeć zawsze sobie można: „Legia gola, Legia pany!”, „Już o tym się słyszy, obudzi się naród i was, k… rozliczy”, „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę”. To stapianie się haseł obecnej prawicy z kibolskim bezmózgowiem, bratanie się Nawrockiego z kibolami wiele mówi, na jaki poziom stoczyli się nasi szlachetni narodowcy.

•

Program SAFE, czyli przyjęcie ogromnych pieniędzy (świetny kredyt) od Unii na zakup sprzętu wojskowego i na budowę przemysłu zbrojeniowego, to dla Kaczyńskiego, dla PiS i Konfederacji wejście pod but niemiecki. Polska utraci niepodległość. Jest w tym autodestrukcja. Przypomniały mi się słowa cara Mikołaja, który 10 lipca 1853 r. oświadczył: „Od dawna głoszę, że Polacy to naród stracony, którego poprawy nie można oczekiwać i oni sami są przyczyną wszystkich swoich nieszczęść”.

To połowa prawdy, jej druga część to fakt, że Polska miała nieszczęście sąsiadować z Rosją, a temu krajowi od stuleci gnije dusza. Zaraz potem car dodaje: „Należy ich uczynić szczęśliwymi wbrew im samym i niejako przemocą”. I tak nas uszczęśliwiali przez wieki, a teraz chcą uszczęśliwić Ukrainę, a potem może znowu nas. A na razie chce nas uszczęśliwiać Kaczyński, który cierpi na manię prześladowczą i zaburzenia postrzegania czasu. Prezesowi wszystko się poplątało, jemu się wydaje, że jest koniec lipca 1939 r. Chorowałby sobie prezes w szpitalu psychiatrycznym, a nie na scenie politycznej. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Amerykańskie zbrodnie wyzwoleńcze

Nie da się dokładnie wyliczyć zbrodni seksualnych dokonanych przez Amerykanów. Oskarżanie „wyzwolicieli” wciąż jest politycznie niepoprawne

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

W Polsce panuje przekonanie, że żołnierze amerykańscy są wyzwolicielami świata, świętą armią niosącą pokój i niezawisłość, gwarantującą szczęśliwe jutro naszej ojczyzny. Tymczasem państwa, które historycznie doświadczyły obecności amerykańskiego hegemona, często postrzegają to „wyzwolenie” w zupełnie inny sposób.

Wyjątkowo brutalnym przykładem są zbrodnie na tle seksualnym popełniane przez żołnierzy amerykańskich na mieszkankach Normandii w 1944 r. – były to bestialskie akty przemocy. Aimée Helaudais Honoré, jedna z ofiar tych wydarzeń, w liście do córki opisała, jak amerykańscy żołnierze zastrzelili jej męża, a następnie, jeden po drugim, wciąż i wciąż ją gwałcili („Les viols de Françaises par des G.I. américains en 1944, un tabou brisé”, la-croix.com, 24.05.2024). Z rąk amerykańskich żołnierzy zginęło wiele kobiet – nie mając możliwości opowiedzenia światu o doznanym cierpieniu. Przez dekady temat ten był całkowicie marginalizowany, a do debaty publicznej powrócił relatywnie niedawno, często za sprawą świadectw ujawnianych pośmiertnie, np. przez dzieci ofiar („Les viols de Françaises par des G.I. américains en 1944, un tabou brisé” AFP, 5.06.2024).

Francuski wątek uzupełniają relacje z okupowanej Japonii, gdzie w miastach – o zdziesiątkowanej męskiej populacji – dochodziło do regularnych polowań na kobiety. Na samej Okinawie w ciągu pierwszych pięciu lat okupacji amerykańskiej odnotowano 76 przypadków gwałtu lub gwałtu połączonego z zabójstwem, przy czym podkreśla się, że liczba ta niemal na pewno jest zaniżona, ponieważ większość przestępstw nigdy nie została zgłoszona. Uświadamianie opinii publicznej skali amerykańskich zbrodni wojennych i seksualnych to dziś pilna potrzeba. W obliczu współczesnych napięć geopolitycznych pamięć o ofiarach przemocy seksualnej podczas II wojny światowej powinna stanowić ostrzeżenie, a nie zostać ponownie wymazana z historii.

Przez wiele lat akta Pentagonu dotyczące gwałtów były ściśle tajne. Nikt nie mógł się dowiedzieć o zbrodniach amerykańskich.

Normandia, ziemia Bachusa

Normandia w 1944 r. stała się nie tyle ziemią wyzwoloną, ile miejscem, gdzie alkohol połączony z żołnierską bezkarnością doprowadził do zawieszenia podstawowych norm w relacjach międzyludzkich. Sprawcami okrutnych czynów byli zachodni „wyzwoliciele”. Ich występki dotyczyły wielu obszarów życia: od wypadków drogowych, przez grabieże, oszustwa, przemyt towarów objętych reglamentacją, po bandytyzm, zabójstwa i – przede wszystkim – gwałty. Dochodziło do poważnych naruszeń dyscypliny wojskowej, które wraz ze zniszczeniami spowodowanymi walkami sprawiły, że „wyzwolenie” w Normandii kojarzy się z okresem bolesnym i traumatycznym.

W październiku 1944 r. Amerykanie zabili rolnika i zgwałcili jego córki tylko dlatego, że nie chciał odstąpić im koniaku. Nieco wcześniej, w lipcu, proboszcz Denneville został zamordowany, ponieważ bronił kobiety przed gwałtem („1944: viols et crimes, le dossier noir des soldats américains”, franceinfo.fr, 20.06. 2020). Takie historie powtarzały się nieustannie na zachodnim i północnym wybrzeżu, chociażby w takich miastach jak Cherbourg-en-Cotentin czy Bousbecque. Według historyków między czerwcem 1944 r. a czerwcem 1945 r. zostało popełnionych 3620 gwałtów (J. Lilly, F. Le Roy, „L’armée américaine et les viols en France: juin 1944-mai 1945”, Vingtième Siècle. Revue d’histoire”, 2006).

Jednak podanie dokładnej liczby zbrodni na tle seksualnym dokonanych przez Amerykanów jest niemożliwe. Leon Radzinowicz, kryminolog, który badał to zjawisko w Anglii, ocenia, że w czasie wojny jedynie ok. 5% ofiar gwałtu składało zawiadomienie o przestępstwie. Ówczesne uwarunkowania społeczne i kulturowe, a przede wszystkim strach przed skandalem, zniechęcały zgwałcone kobiety do zabierania głosu. Zdarzało się również, że członkowie ich rodzin,

eprasa.pl 2ed9ed76bd



Po zakończeniu operacji Overlord i wycofaniu się Wehrmachtu życie w Mantes-la-Jolie tylko pozornie wróciło do normy. Nz. żołnierze amerykańskiej 79. Dywizji Piechoty. 19 sierpnia 1944 r.

z tych samych powodów, odradzali im ujawnianie przemocy. Zakładając więc, że te 3620 gwałtów to ok. 5% przestępstw, w rzeczywistości mogło ich być ok. 72,4 tys.

Jako jeden z pierwszych na to okrutne zjawisko zareagował mer Valognes. Rozpoczęto śledztwo, w którym dzielono gwałcicieli według kryteriów rasowych. Warto przypomnieć – w tamtych czasach żołd w wojsku amerykańskim także był uzależniony od czynników rasowych: żołnierze czarnoskórzy dostawali żołd mniejszy niż biali. Wykonywali też mniej „prestiżowe" zadania. Choć według dokumentów z tamtych lat czarnoskórzy żołnierze stanowili jedyne 10% gwałcicieli, oskarżono ich o 90% gwałtów – skazując na karę śmierci, podczas gdy biali wychodzili średnio po dwóch latach odsiadki. Ginęli niewinni ludzie, jednak Amerykanom wygodniej było zrzucić całość winy na już wcześniej u nich prześladowaną grupę społeczną.

Przez wiele lat akta Pentagonu dotyczące gwałtów były ściśle tajne. Nikt nie mógł się dowiedzieć o zbrodniach amerykańskich. Najmłodsza ofiara gwałtu miała trzy lata, najstarsza – 80. Yves Moerman, autor publikacji „Zbrodnie żołnierzy amerykańskich w Europie: gwałty i zabójstwa" („Les crimes des soldats américains en Europe: viols et meurtres"), wspomina, że szczegóły niektórych akt były tak drastyczne, że zmuszony był robić długie, często kilkudniowe przerwy w pracy nad książką.

Najmłodsza ofiara gwałtu miała trzy lata, najstarsza – 80.

Duża odpowiedzialność za te zbrodnie spoczywa na propagandzie amerykańskiej, która jeszcze przed lądowaniem w Normandii zachęcała żołnierzy takimi hasłami jak „Francuskie kobiety na was czekają", co przez wielu było interpretowane jako zachęta do gwałtów. Dla Amerykanów gwałt był narzędziem kontroli i podporządkowania sobie podbitych narodów. Kobiety, które zostały zmuszone do urodzenia dzieci z gwałtów, za wyrządzone krzywdy nigdy nie dostały jakiegokolwiek odszkodowania od państwa amerykańskiego – święte prawo wolności i liberalizmu zakazuje „socjalistycznego" ingerowania w życie ludzi, nawet poszkodowanych.

Okupacja Japonii

Oskarżanie „wyzwolicieli" było i wciąż jest politycznie niepoprawne, dlatego opinia publiczna na świecie stosunkowo mało wie na temat zbrodni amerykańskich.

Kolejną sceną amerykańskiego rozpasania była okupowana Japonia. Identyczny schemat przestępstw seksualnych powtarza się wszędzie tam, gdzie stanęła amerykańska noga. Japoński historyk Oshiro Masayasu pisze o gwałtach na masową skalę popełnianych przez amerykańskich żołnierzy na Okinawie w 1945 r. W jednej z wiosek na Półwyspie Motobu, gdzie żołnierze USA wylądowali i zastali jedynie kobiety, dzieci i osoby starsze, doszło do rzezi. Urządzano

FOT. AKG IMAGES/EAST NEWS

eprasa.pl 2ed9ed76bd

tam polowania na japońskie kobiety, które były brutalnie gwałcone i często potem mordowane. Niektóre były gwałcone również wtedy, gdy udawały się do amerykańskich obozów po żywność.

Amerykańskie oddziały, które wylądowały na niewielkiej wyspie Zamami w marcu 1945 r., krótko po desancie zaczęły gwałcić kobiety (D. Durand, „Japon: le mystère jamais résolu de la »grotte aux nègres« à Okinawa", Asialyst, 13.04.2017). Porywano je, wyprowadzano pojedynczo na opustoszałe odcinki wybrzeża i zbiorowo gwałcono. Istnieje też świadectwo wskazujące, że niektóre pielęgniarki z Okinawy oraz lokalne pacjentki, które trafiły do amerykańskiego szpitala polowego, były gwałcone nawet przez raz od 1995 r., gdy 12-letnia mieszkanka Okinawy została zgwałcona przez trzech amerykańskich żołnierzy (F. Amaoua, „Vive indignation à Okinawa après le viol d'une écolière par trois GI's. La présence envahissante des troupes US est dénoncée au Japon", libération.fr, 23.09.1995). Inny epizod, o którym doniosły media zachodnie, wydarzył się między lutym 2023 r. a styczniem 2024 r. – doszło do trzech gwałtów popełnionych przez amerykańskich żołnierzy oraz do napaści seksualnej dokonanej 26 maja przez członka Korpusu Piechoty Morskiej.

Przestępstwa te rozbudziły dawne traumy, jednak lokalna ludność od lat z nieufnością odnosi się do obecności amerykańskiego wojska. Zgromadzenie Okinawy przyjęło rezolucję

Dla Amerykanów gwałt był narzędziem kontroli i podporządkowania sobie podbitych narodów.

rannych żołnierzy. Jedna z nieletnich ofiar została zgwałcona przez żołnierza USA na oczach ojca, który przebywał w namiocie polowym, by się nią opiekować (Y. Tanaka, „War, Rape and Patriarchy: The Japanese Experience", „Asia-Pacific Journal", 31.12.2019).

Ofiary nie miały gdzie zgłosić tych przestępstw, nawet gdyby chciały, ponieważ system policyjny na Okinawie w czasie bitwy o wyspę całkowicie się załamał. Amerykańskie siły okupacyjne pod groźbą użycia broni zabierały z cywilnych domów młode dziewczęta. Te wracały później w podartych ubraniach. Niektóre zostały zabite, a sprawców nigdy nie ujęto.

Przedstawione fakty nie są tylko historią. Obecni w Japonii Amerykanie wciąż dopuszczają się gwałtów, choć na mniejszą skalę (P. Mesmer, „Au Japon, de nouvelles agressions sexuelles commises par des militaires américains à Okinawa suscitent la colèrede la population", „Le Monde", 12.07.2024). W 2016 r. 65 tys. osób zgromadziło się w stolicy Okinawy, Naha. Chodziło o gwałt i zamordowanie przez amerykańskiego żołnierza 22-latki. Protest na taką skalę miał miejsce pierwszy potępiającą „okropne zbrodnie, które depczą ludzką godność" i wzywającą do rewizji statusu wojsk amerykańskich. Zgodnie z rezolucją amerykańscy żołnierze pozostają w areszcie pod kontrolą USA do momentu postawienia im zarzutów przez japoński wymiar sprawiedliwości. Ówczesny rzecznik rządu Japonii Yoshimasa Hayashi wyraził oburzenie w obliczu dokonanych zbrodni. Wiceminister spraw zagranicznych Masataka Okano złożył skargę adresowaną do ambasadora Stanów Zjednoczonych w Japonii Rahma Emanuela. Amerykański dyplomata wyraził głęboki żal – lecz nie przeprosił.

Amerykanie nie przepraszają

Bo Amerykanie nie przepraszają nawet wtedy, kiedy ich kraj zaczyna się zamieniać w państwo faszystowskie. Obozy detencyjne ICE stały się symbolem bezprawia i systemowego naruszania praw człowieka. W czerwcu 2025 r. liczba aresztowań wzrosła o 268% w stosunku do roku poprzedniego, a w 212 obozach przetrzymywanych było co najmniej 65 tys. osób, w tym 3,8 tys. dzieci, z których 500 miało mniej niż pięć lat. Ośrodki te, zarządzane przez prywatne firmy, funkcjonują jak „fabryki więźniów", w których ludzie tracą tożsamość, stając się jedynie numerami.

W tym wszystkim najbardziej poszkodowane są kobiety. Raport senatora stanu Georgia Jona Ossoffa (www.ossoff.senate.gov/five-year-report/) ujawnił, że w 2025 r. co najmniej 510 osób doświadczyło tam nadużyć, m.in. gwałtów i przemocy seksualnej, tortur, złego traktowania kobiet w ciąży, niehigienicznych warunków oraz narażania dzieci na skrajne temperatury. Odnotowano 41 przypadków gwałtów, w tym 14 kobiet w ciąży, z których jedna została pozostawiona na wiele dni bez pomocy medycznej po poronieniu. Świadkowie donoszą również o wymuszaniu prostytucji w zamian za podstawowe potrzeby, takie jak jedzenie. Decyzja strażnika o przydziale racji żywnościowej miała zależeć od tego, czy ofiara „wykonała wymagany stosunek seksualny", a zdarzało się, że kobieta pozostawała bez jedzenia, jeśli strażnik nie był usatysfakcjonowany.

W obozach ICE to przede wszystkim kobiety i dzieci stają się ofiarami systemowej przemocy seksualnej. Ten dramat wykracza poza procedury imigracyjne, otwierając debatę na temat naruszania praw człowieka i bezpieczeństwa najbardziej bezbronnych („Dans les camps de l'ICE, les droits humains bafoués quotidiennement", Contre Attaque, 28.01.2026).

Nie od dziś wiadomo, że obywatele Stanów Zjednoczonych należą do najgorzej wyedukowanych na świecie. Amerykanocentryzm, brak dostępu do powszechnego szkolnictwa wyższego, dobra edukacja zarezerwowana wyłącznie dla bogaczy… – to tylko parę powodów tego, że na ogromnej części społeczeństwa amerykańskiego największe wrażenie robi agresja. Victor Hugo mawiał, że otwarcie jednej szkoły równa się zamknięciu jednego więzienia. Edukacja może nie tylko uratować życie dziecka, lecz także dać społeczeństwu światłego obywatela, który nie będzie się uciekał do agresji w celu zaspokojenia prymitywnych instynktów.

Sarah Bomba

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

W stanie przedwojennym

Zmarł sędziwy Robert Duvall, aktor, któremu do miejsca w filmowym panteonie wystarczyło siedem lat z czterema powstałymi w tym czasie arcydziełami Francisa Forda Coppoli – zagrał bowiem w obydwu częściach „Ojca chrzestnego", „Rozmowie" i „Czasie apokalipsy". W tym ostatnim zapadł w pamięć jedną z najsłynniejszych, ale i najbardziej mrocznych fraz w historii kina: „Uwielbiam zapach napalmu o poranku", wieńczącą brawurową sekwencję nalotu kawalerii powietrznej na wioskę zajętą przez partyzantkę Wietkongu.

Przez lata byłem ślepo zachwycony fantazją sceny helikopterowego ostrzału przy dźwiękach wagnerowskiego „Cwału Walkirii", dzisiaj, w dobie obłąkanego trumpizmu, patrzę inaczej i widzę więcej. Jak Trumpowi marzy się amerykańska riwiera w zrównanej z ziemią Gazie, tak podpułkownik Kilgore, życiowy epizod aktorski Duvalla, chce po prostu posurfować w delcie Mekongu, gdzie tworzą się największe fale. Kiedy wśród żołnierzy napotyka mistrza surfingu, idée fixe staje się zadaniem bojowym – trzeba zapakować deski na pokład i przysposobić zatokę do zabawy. A że jest mocno obsadzona przez wietnamską partyzantkę, do zadania wykorzystuje się eskadrę śmigłowców, myśliwców i grad bomb zapalających. Trup ścielący się gęsto i artyleryjski ostrzał nie stanowią dla Kilgore'a przeszkody, dopiero kiedy pożar wzniecony przez rzeczony napalm zmienia termikę powietrza i powoduje zanik fal, podpułkownik musi się pogodzić z tym, że ch… bombki strzelił, surfowania nie będzie.

Psychopatyczni bogowie wojen niosą zniszczenie i śmierć, sami zaś bawią się w krwawym karnawale; kolonialna pogarda, dehumanizacja i degeneracja są nagminnie usprawiedliwiane wyższościowym samopoczuciem „szeryfa narodów", z jakim Amerykanie przystępują do kolejnych ruchawek. W przededniu kolejnej wojny o nieprzewidywalnych dla świata konsekwencjach, w czasie prężenia stalowych muskułów przed Iranem, czas apokalipsy przestaje być tytułową metaforą.

Militaryzacja umysłów trwa w najlepsze także w Polsce; między zawodami olimpijskimi przypadkiem zerknąłem na program informacyjny, w którym minister obrony narodowej demonstrował nowoczesne uzbrojenie armii, a premier z dumą, która napawa mnie trwogą, oznajmiał, że oto właśnie wystąpiliśmy z konwencji ottawskiej i będziemy chyżo minować wschodnią granicę.

Żyjemy w stanie przedwojennym, wojownicze deklaracje i sojusznicze zapewnienia mają poprawiać nastrój, choć kto myśli, ten wie, że każda wojna jest apokalipsą, a świat nie kończy się hukiem, lecz skomleniem. Morowi chłopcy podatni na patriotyczny przekaz widzą oczami wyobraźni piękną, męską przygodę, w której będą mogli się wykazać bohaterstwem, ale ja, myśląc o wojnie, czuję smród gnijących ran, słyszę skowyt lazaretów i widzę pola usłane trupami, których nikt nie sprząta, bo też mogą być zaminowane (jak we wstrząsającej „Ziemi niczyjej" Danisa Tanovicia, jednym z największych arcydzieł kina pacyfistycznego). Tak czy owak, nie ma już odwrotu, jeśli nie chcemy zalec pokotem, musimy się zbroić – ten obłęd może rozładować tylko równowaga strachu.

Argumenty nie wystarczają, potrzebne są egzorcyzmy.

Tymczasem jednak okazuje się, że doktryna obronna kaczyzmu zakłada, że lepiej nam zginąć, niźli przeżyć pod unijnym butem, czy coś w równie absurdalnym rodzaju – żoliborski gnom jest tak opętany nienawiścią do Tuska i, co za tym idzie, całej Unii Europejskiej, że nie dostrzega już nic poza tym. Osobista animozja i kompleks prezesa PiS to jedyna motywacja i jedyny napęd polityczny – wszystko, co mogłoby być korzystne dla partii Tuska, nie może być dobre dla Polski. Wetowanie programu SAFE jest już jawnym i ostatecznym dowodem tej patologii – Kaczyński zatrzymał się na etapie „Czterech pancernych", których oglądał w dzieciństwie, i raczej pójdzie z ruskimi na Berlin, niźli pojmie, że Niemcy są naszym realnym sojusznikiem, a Rosja najchętniej by nasz kraj wypaliła do gołej ziemi. Jak rzekł był celnie minister Radek Sikorski, „tu już argumenty nie wystarczają, potrzebne są egzorcyzmy". ■

sklep.tygodnikprzeglad.pl ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI
KSIĄŻKI E-BOOKI PRENUMERATA ELEKTRONICZNA SUBSKRYPCJA ZDANIE

eprasa.pl 2ed9ed76bd



Powitanie Kacpra Tomasiaka w siedzibie jego klubu sportowego LKS Klimczok Bystra. 18 lutego 2026 r.

Kacper i Władek

Śnieżne i lodowe medale Polaków

Wojciech Kuczok

Tomasiak, Tomasiak i jeszcze raz Tomasiak! Wjeżdżających do centrum Bielska-Białej wita wielki neon zainstalowany na dworcowej estakadzie, który przypomina, że w 2026 r. to miasto szczyci się oficjalnym tytułem Polskiej Stolicy Kultury. Za sprawą swojego 19-letniego obywatela stało się zaś także sportową stolicą Polski. Kacper Tomasiak przywiózł bowiem z zawodów olimpijskich w Predazzo trzy medale!

Jako pierwszy Polak w historii zdobył trzy krążki na jednych igrzyskach – wcześniej tej sztuki dokonywały wyłącznie Polki: Irena Szewińska w 1964 r. w Tokio, Otylia Jędrzejczak w 2004 r. w Atenach i Justyna Kowalczyk w 2010 r. w Vancouver.

Przed konkursem na dużej skoczni długo nic nie zapowiadało, że ten młokos powalczy o coś więcej niż miejsce w pierwszej dziesiątce. Pierwsze próby treningowe miał przeciętne, co dowodzi, że dopiero uczył się tego obiektu, dopasowywał się do niego, czytał go i analizował, ale już w dniu zawodów ostatni skok próbny uplasował go na trzeciej pozycji. Potem zresztą okazało się, że całe podium po konkursie wyglądało dokładnie tak jak na treningu – ostatecznie wygrał murowany faworyt Domen Prevc przed rewelacyjnym Japończykiem Renem Nikaidō i nowym idolem polskich fanów skoków narciarskich.

Polak, podobnie jak na skoczni „normalnej", atakował medal w sesji finałowej z czwartego miejsca – wydaje się, że psychologicznie to jest sytuacja korzystniejsza, znacznie częściej zawodnicy broniący swojej pozycji nie wytrzymują presji. Tomasiak z zimną krwią wyskakał sobie ten medal, jakby to nie był jego pierwszy w życiu sezon w dorosłych skokach, jakby zęby zjadł na skoczniach świata. Jeśli zatem mieliśmy obawy, że pierwszy medal przytrafił mu się za sprawą mocy wybicia, teraz już wiemy, że mamy również sprawnego lotnika, znakomitego technicznie i wszechstronnego skoczka. Kamil Stoch będzie mógł odejść na emeryturę ze spokojem równym temu, z jakim żegnał się z karierą Adam Małysz. Ciągłość została zachowana – objawił się godny następca mistrzów.

Jeżeli eksplozja formy Kacpra Tomasiaka jest niespodzianką, to medal drużynowy Polaków należy uznać za sensację, której po trzykroć pomogło szczęście – ale też udało się fortunie dopomóc.

Sam fakt, że zamiast klasycznej drużynówki na igrzyskach odbywał się konkurs duetów, był dla nas nadzwyczaj sprzyjający. To w duchu olimpizmu stworzyło szanse występu krajom, które nie byłyby w stanie skompletować czteroosobowej reprezentacji, dzięki czemu w zawodach mogli wziąć udział Chińczycy, Turcy czy Rumuni – nacje, w których skokami interesuje się promil społeczeństwa. Gdyby to był konkurs klasycznych drużyn, my także nie wzięlibyśmy w nim udziału, bo nasi tak spuścili z tonu w ostatnich sezonach, że kwalifikacje olimpijskie otrzymała tylko trójka polskich skoczków.

To był łut szczęścia, natomiast furę szczęścia mieliśmy już w konkursie, którego scenariusz wedle hollywoodzkiego paradygmatu przyniósł szalone zwroty akcji i happy end (z polskiego punktu widzenia).

Polacy po dwóch seriach byli na drugim miejscu dzięki solidnym

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 2ed9ed76bd

skokom Tomasiaka i więcej niż poprawnym Pawła Wąska (odważny i jak się okazało słuszny wybór trenera Maciusiaka, Kamil Stoch, pomimo udanych treningów przed konkursem na dużej skoczni, w zawodach rozczarował, na tym zakończył więc swoją historię olimpijskich występów).

Od początku było widać, że tego dnia poza zasięgiem są Austriacy – wykorzystali ostatnią szansę na medal i trzeba przyznać, że gdyby największa potęga tej dyscypliny wyjechała z igrzysk bez choćby jednego krążka, byłoby to złośliwością i niesprawiedliwością losu. W indywidualnych konkursach się nie udało, brakowało metrów, presja ich zżerała, za to w konkursie dwójek zarówno Jan Hörl, jak i młody Stephan Embacher skakali jak natchnieni, z każdą serią powiększając przewagę nad resztą stawki. W trzeciej serii w końcu Paweł Wąsek nie dał rady – skoczył słabiej, za krótko, i spadliśmy tuż poza strefę medalową.

Największą sensacją długo była postawa Japończyków – wydawało się, że Ren Nikaidō, który zdobył już dwa medale, i mistrz Ryōyū Kobayashi są pewniakami do złota, a przynajmniej do podium, ale obaj oddawali przeciętne skoki. Aż w końcu Ren Nikaidō „odpalił petardę" w swojej trzeciej próbie.

Słoweńcy na igrzyskach musieli się borykać z drastyczną obniżką formy Anže Laniška – w duetach Domen Prevc w pojedynkę starał się wyciągnąć za uszy swój kraj na podium. W trzeciej serii razem z trenerem zagrali va banque, skracając rozbieg tak, aby zyskać dodatkowe punkty, ale nawet skrzydlaty Domen nie był w stanie osiągnąć z niskiej belki odpowiedniej odległości. Wiadomo było zatem, że Słoweńcy konkurs zawalili.

Za to niemiecki bohater tych igrzysk, Philipp Raimund, rewelacyjnie sobie poradził w ostatniej serii i niespodziewanie to podopieczni Stefana Horngachera stanęli przed olbrzymią szansą na kolejny medal.

O końcowe podium miał zawalczyć Kacper Tomasiak – musiał skoczyć rewelacyjnie, ale czekał na swój skok bardzo długo, marznąc na górze. Nagle bowiem rozpętała się śnieżyca, kompletnie zmieniły się kierunek i siła wiatru, gęste opady zasypywały tory najazdowe, organizatorzy dmuchawami próbowali je oczyścić, puszczali przedskoczków, ale wiadomo było, że ostatnia czwórka zawodników nie da rady wystąpić w choćby porównywalnych warunkach do reszty stawki. W końcu sędziowie puścili Tomasiaka na stracenie. I tak zrobił, co mógł, ale wylądował bardzo blisko – wtedy już gremium organizatorów wiedziało, że dokończenie zawodów byłoby niesprawiedliwe i odebrałoby najlepszym teamom szanse na równą rywalizację.

Trzeci nasz łut szczęścia polegał na kwestii regulaminowej: nie można było anulować tylko tej ostatniej serii, bo do końcowej klasyfikacji musiała się liczyć równa liczba skoków obu reprezentantów, dzięki czemu cofnięto także tę nieszczęsną próbę Wąska. No i w kilka chwil wywędrowaliśmy z piekła do nieba, od pocieszeń do gratulacji, od smutku i frustracji, że ten biedny Tomasiak musiał lecieć w burzy śnieżnej, skazany przez los na klęskę, po euforię, gdy okazało się, że ta meteorologiczna anomalia to była niemal boska interwencja w naszej sprawie.

Srebro dla Polski zdobył również panczenista Władimir Semirunnij, uciekinier z putinowskiej Rosji, który w Polsce znalazł nową ojczyznę. Wywalczył dla nas krążek w konkurencji wytrzymałościowej, na morderczym dystansie 10 km. Startował w trzeciej parze, więc nie miał odniesienia do czasów najlepszych, sam musiał im rzucić wyzwanie, a potem czekać na wyniki. Podołał mu tylko Czech Metoděj Jílek. Okazało się, że ten medal łyżwiarski to nasz jedyny, bo faworyzowany sprinter Damian Żurek na obu swoich dystansach zajął znienawidzone przez sportowców czwarte miejsce (podium na wyciągnięcie ręki, ale dotknąć go nie możesz).

Semirunnij zwraca uwagę jako jedyny łyżwiarz występujący w „kosmicznym", aerodynamicznym kasku kolarza torowego. To dodatkowa uciążliwość, choć pomocna w osiąganiu dużej prędkości. Tak tłumaczy tę kwestię łyżwiarz szybki Paweł Zygmunt: „Wszyscy zawodnicy na świecie wiedzą, że jazda w kasku może poprawić ich wyniki, to sprawdzone i udowodnione naukowo. Praktycznie nikt z tego nie korzysta, a nawet w Mediolanie Władimir był jedynym zawodnikiem, który pojawił się w kasku. Mnie to jednak nie dziwi. Ponad 12 minut wyścigu to mordercze wyzwanie, a w kasku to po prostu fizjologiczne harakiri. Organizm przy maksymalnym wysiłku grzeje się niesamowicie, a gdy gorące powietrze ma znacznie mniej przestrzeni, by uciec, to podczas jazdy można mieć uczucie, jakby jechało się z gotującą głową. Władimir wiedział, że to może dać mu medal, dlatego od półtora roku na praktycznie każdej imprezie startował w kasku. Przyzwyczajał się do tego uczucia i uczył organizm, by dawał sobie z tym radę. To nie jest ani przyjemne, ani łatwe, ale jeśli tylko uda się do tego przyzwyczaić, ostatecznie może dać przewagę nad rywalami. Przy prędkości 50 km/godz. każda poprawa aerodynamiki robi ogromną różnicę". ■

Ciągłość została zachowana – w ostatniej chwili objawił się godny następca mistrzów.

Ale heca! Akurat kiedy polskie skoki zdawały się nieuchronnie pogrążać w „syndromie fińskim", czyli sportowym niebycie po latach hegemonii złotego pokolenia. Kiedy już tak dalece straciłem wiarę w to, że któryś z naszych jest w stanie wyskoczyć za punkt K i ustać to choćby i na dwóch nogach. Kiedy już przestałem w rozpiskach weekendowych transmisji zaznaczać godziny pucharowych konkursów, bo nie chce mi się patrzeć na seryjne wygrane kolejnego z rodu Prevców.

Pozostaje mieć nadzieję, że szczęśliwe dla nas Predazzo (tam już Małysz i Stoch zdobywali złota na mistrzostwach świata) nie będzie epizodem i jeszcze w tym sezonie pucharu świata Kacper Tomasiak także na obiektach mamucich pokaże swój talent.

eprasa.pl 2ed9ed76bd



EMPATIA MOŻE NAS URATOWAĆ

Jeśli coś nie leży na naszym podwórku, to coraz mniej nas obchodzi

Rozmawia Wojciech Tutaj

KASIA ADAMIK – (ur. w 1972 r.) reżyserka, storyboardzistka, plastyczka. Członkini Polskiej Akademii Filmowej i Gildii Reżyserów Polskich. Jej „Boisko bezdomnych" zdobyło nagrody w Gdyni, Toruniu, Chicago i Bydgoszczy. Za „Pokot", który reżyserowała wspólnie z Agnieszką Holland, otrzymała wyróżnienia w Berlinie, Gdyni, Łagowie i Montrealu. Pracowała przy głośnych serialach „1983", „Wataha" i „Krakowskie potwory". „Zima pod znakiem Wrony" (już w kinach) miała światową premierę na festiwalu w Toronto.

Masz jakieś wspomnienia z czasów stanu wojennego?

– Pamiętam ten okres i w filmie „Zima pod znakiem Wrony" bardziej próbowałam oprzeć się na własnych wspomnieniach niż na tym, co realnie się zdarzyło. Wtedy miałam jednak dziewięć lat, a po wyjeździe z Polski w 1982 r. przeżywałam rodzaj traumy migracyjnej. Dokładnie nie pamiętam wielu rzeczy z tamtego czasu, ale i z naszych początków w Paryżu. To dość mgliste obrazy, które nie są stuprocentowo realistyczne – świat Warszawy lat 80., ogólnej szarości, srogich zim, stanu wojennego. Te zjawiska wyolbrzymiały się w moim dziecięcym umyśle. Po wyemigrowaniu do Francji długo śniła mi się tamta stolica, bo ostatnie dwa lata mieszkaliśmy na Ursynowie. W snach gubiłam się w labiryncie budynków, nie mogłam znaleźć adresu, wszystko wyglądało tak samo – to dawało wyrazisty efekt.

I znalazłaś coś podobnego w opowiadaniu Olgi Tokarczuk „Profesor Andrews w Warszawie".

– Przeczytałam nowelkę Olgi Tokarczuk lata później, kiedy ukazała się w zbiorze „Gra na wielu bębenkach". Zobaczyłam w niej odbicie mojego prywatnego doświadczenia stanu wojennego. Olga opisuje to trochę jak oniryczną, absurdalną przygodę. Wtedy jeszcze nie myślałam o stworzeniu adaptacji filmowej, ale treść opowiadania została we mnie na długo. Wydawało mi się, że dla autorki ten tekst jest pewnie o czymś zupełnie innym, lecz siła dobrej literatury polega na tym, że każdy znajduje w niej coś dla siebie.

Podczas pracy nad „Pokotem" zagadnęłam Olgę o „Profesora Andrewsa...". Powiedziała, że dwa miesiące wcześniej obiecała go niemieckiej scenarzystce, która też pokochała opowiadanie. Olga jednak zasugerowała, żebym spotkała się z Sandrą Buchtą. Ona rzeczywiście miała ciekawy pomysł, bo nowelka nie jest wystarczająco długa na film pełnometrażowy i chciała ją zamienić w zimnowojenny thriller. Jej perspektywa bardzo różniła się od mojej, ale gdy zaczęłyśmy pracować nad tekstem, nasze spojrzenia się dopełniły. Poszłyśmy w stronę thrillera onirycznego, bo w historii naszej bohaterki, Joan Andrews, wszystko wymyka się spod kontroli i wydaje się dziwną senną wizją.

Proza Tokarczuk stanowi idealny materiał na film? Ciekawe, że niewiele jej książek doczekało się adaptacji.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2ed9ed76bd

– Nie rozumiem tego, choć adaptacje są z reguły trudne. Im lepsza książka, tym trudniej ją zekranizować, bo literatura ma w sobie bogactwo niedopowiedzeń i warstw narracyjnych, które trudno przenieść na ekran. Są takie powieści, w których nie wiemy, kto jest narratorem, a w kinie od razu się domyślamy, widząc twarze bohaterów. Zawsze prościej adaptuje się złe książki, które mają u podstaw dobry pomysł, ale nie narzucają zbyt literackiego stylu. Olga Tokarczuk pisze natomiast bardzo filmowo. Jej książki są wizualne, tworzą sugestywne światy, inspirują plastycznie. I opowiadają podniecające historie, mają oryginalne podejście do narracji, co czasem oznacza, że stanowią trudny materiał adaptacyjny. Poprzez swoją wielowarstwowość, przeskoki w czasie, ale i specyficzny ton, poczucie humoru oraz lekkość w podejmowaniu trudniejszych wątków. Wiem, że Agnieszka Holland z Olgą Tokarczuk męczyły się nad scenariuszem „Pokotu", chcąc przenieść humor i lekkość z powieści „Prowadź swój pług przez kości umarłych". Nie miałyśmy podobnego problemu z Sandrą, bo bardziej inspirowałyśmy się prozą Tokarczuk, niż robiłyśmy adaptację.

Im lepsza książka, tym trudniej ją zekranizować, bo literatura ma w sobie bogactwo niedopowiedzeń i warstw narracyjnych.

Co daje zewnętrzna perspektywa, którą wprowadza główna bohaterka – brytyjska profesorka odwiedzająca Warszawę w przededniu ogłoszenia stanu wojennego?

– Chodzi o niemal kafkowskie zetknięcie się z absurdem totalitaryzmu. Brytyjska profesorka przylatuje na Okęcie i zostaje skonfrontowana ze światem, którego reguł nie rozumie. To owocuje doświadczeniem zagubienia, pasywności, koszmaru – bohaterka jest rzucana z miejsca na miejsce przez Historię, w obcym dla niej świecie. Według mnie nie poszłyśmy tropem klasycznej adaptacji, tylko zainspirowałyśmy się tym motywem. W pierwszych wersjach scenariusza bohaterem był mężczyzna, zgodnie z opowiadaniem Tokarczuk, ale czegoś nam brakowało. Miałyśmy poczucie, że tworzymy kolejny thriller z facetem w kapeluszu, typowy film noir. I nie mogłyśmy zebrać wszystkiego w całość. Pewnie długo byśmy się męczyły, gdyby jeden z producentów nie zasugerował zmiany tożsamości głównej postaci.

Jak zareagowałyście?

– Obawiałyśmy się, że to kompletnie zmieni historię i jej wydźwięk. Tak się stało, ale chyba z pozytywnym skutkiem. Zmieniłyśmy płeć postaci, nie zmieniając niczego innego w historii. To wniosło dużo świeżości – akcent w naszej opowieści padł na kruchość starszej kobiety, na wręcz fizyczną grozę jej warszawskiej przygody. Mamy przecież bijatyki, ucieczki. Spodobało mi się też, że ona reprezentuje brytyjski, imperialistyczny świat, który w latach 80. kojarzył się z wizerunkiem Margaret Thatcher. Nasza bohaterka ma w sobie wyraźny egocentryzm, nie interesuje się innymi, ale miałam dla niej sporo empatii. Rozumiałam, że musiała zbudować mechanizmy obronne, aby wyszarpać miejsce w zmaskulinizowanym świecie psychiatrii lat 80. Jej postać uruchomiła jeszcze podtekst lesbijski, ponieważ jako profesorka ma relacje z młodszymi asystentkami. One nie są romantyczne, lecz mają taki potencjał.

Siła dobrej literatury polega na tym, że każdy znajduje w niej coś dla siebie.

Jej zachodnie spojrzenie może zmienić nasz obraz stanu wojennego?

– Nie wiem, czy perspektywa brytyjskiej profesorki pozwala zdystansować się od tamtych wydarzeń albo daje świeże spojrzenie. Ona jest po prostu jeszcze bardziej zagubiona. Co ważne, zawód Joan polega na kontrolowaniu wszystkiego, ona czuje się bardzo pewnie w swoim świecie. A ówczesna rzeczywistość nie podlega logice, reżim nieustannie zmienia swoje wewnętrzne reguły, jak mu wygodnie. Konfrontacja z rzeczami, które dla nas były wówczas normalne, ma dla bohaterki dość osobliwy charakter. Jak karpie w wannie, dziwne frotki do chodzenia po parkiecie. Kojarzymy wymienione elementy z dzieciństwem, z odwiedzinami u dziadków, a na Zachodzie wydają się kompletnym absurdem.

Te motywy wprowadzają poczucie dyskomfortu i specyficzny humor. Jednocześnie główna bohaterka widzi jaskrawiej absurdy Polski Ludowej, bo doświadcza ich pierwszy raz. Spotęgowaliśmy ten efekt przez subiektywną narrację. Wszystkie miejsca i sytuacje są przepuszczone przez jej wrażliwość, światopogląd, wiedzę. Jako osoba z zewnątrz nie musi rozumieć mechanizmów polityki z początków lat 80., dlatego prawie w ogóle nie dotykamy tego tematu. I oczywiście Joan nie mówi po polsku, więc wszystkie informacje docierają do niej w strzępkach. Nie musimy dzięki temu wszystkiego tłumaczyć i dopowiadać.

Filmowy świat z jednej strony wydaje się znajomy, a z drugiej trochę dziwny, momentami nawet groźny. Szukałaś balansu między tymi porządkami czy chciałaś go zaburzyć?

– To nie jest realistyczny świat. Wspieraliśmy się oczywiście zdjęciami Chrisa Niedenthala, literaturą faktu, ale w ogóle nie staraliśmy się odtworzyć ówczesnych realiów. Pewne elementy się zgadzają, choć wszystko jest ostatecznie inne. Próbowałam przecież zainscenizować rzeczywistość ukształtowaną w mojej dziecięcej wyobraźni, ulepioną z moich wspomnień. Jak w scenie z dziewczynką, która 13 grudnia chce obejrzeć „Teleranek". Ursynów staje się więc na ekranie hiperrealistyczny, bo nie ma już takich ulic i podwórek. Gdy wróciłam tam po latach, osiedla wydały mi się małe, nie czułam tego samego przytłoczenia. Wydarzenia, o których opowiadamy, są jednocześnie prawdopodobne. Bazują na faktach, łączą losy kilku postaci lub różne epizody historyczne.

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Poza zaznaczeniem ważnych kontekstów społeczno-politycznych chciałaś, żeby film był ekscytującą opowieścią dla szerszej widowni?

– Oczywiście, zawsze miło jest skupiać uwagę szerszej grupy odbiorców. Bardzo zależało mi na tym, aby nasz film zapewniał rozrywkę, był atrakcyjnym doświadczeniem także dla młodszych generacji. Odbyliśmy ciekawe rozmowy po seansach festiwalowych i przedpremierowych.

Za granicą te fakty nie są jednak dobrze znane.

– Za granicą najważniejszy wątek stanowi zderzenie z bezwzględnym systemem totalitarnym. Teraz świat znowu dąży w stronę totalitaryzmu i wiele krajów mierzy się z radykalizacją nastrojów politycznych. Nie mówię, że nasz film jest przestrogą, ale ciekawie zobaczyć, jak funkcjonuje opresyjna rzeczywistość, jak tracimy kontrolę nad swoimi wyborami.

Olga Tokarczuk pisze bardzo filmowo. Jej książki tworzą sugestywne światy, inspirują plastycznie.

Na oko 20-letnia dziewczyna mówiła, że wie trochę o stanie wojennym, słuchała rodzinnych opowieści, ale zawsze ją nudziły. Film odebrała natomiast bardzo emocjonalnie, bo nagle nałożyła na fakty swoje odczucia. Nam zależało właśnie na odbyciu emocjonalnej podróży do przeszłości, nie na wygłaszaniu intelektualnych rozpraw. Poprzez ekranową przygodę próbujemy stworzyć widzom sposobność utożsamienia się z doświadczeniem bohaterki. Wszyscy znamy mniej więcej przebieg grudniowych wydarzeń, a taki typ narracji otwiera dodatkowy wymiar myślenia o stanie wojennym.

Nagle rząd przejmuje władzę nad twoim losem, a współcześnie wolność osobista wydaje się bardziej nieuchwytna. Nigdy nie jesteśmy do końca wolni, ale mówię o innej sytuacji niż uwięzienie w trybach totalitarnej machiny.

Joan Andrews zaczyna powoli rozumieć, jak bardzo jej sytuacja różni się od losów nowo poznanych osób, szczególnie studentki i opozycjonistki Aliny.

– Istotny był dla mnie przekaz o empatii, której stopniowo uczy się główna bohaterka. Nagle zaczyna jej zależeć na ludziach pochodzących z obcego kraju, systemu.



W dzisiejszych czasach bardzo nam tego brakuje. Jeśli coś nie leży na naszym podwórku, to coraz mniej nas obchodzi. Sprawy zagraniczne już w ogóle nie zaprzątają nam głowy, nie wspominając o wydarzeniach z innych kontynentów. Nie wiadomo jednak, czy nabyta empatia zostanie z Joan. Może po przylocie do Londynu zapomni o dziwnej podróży i wróci do swojego świata? Myślę, że empatia to jedyna rzecz, która może nas uratować, bo żyjemy w coraz bardziej bezwzględnym świecie. Elon Musk powiedział, że największym problemem jego oponentów jest właśnie zdolność współodczuwania. Przeraża mnie obraz zimnych korporacji, które nie liczą się ze zwykłym człowiekiem.

W roli głównej obsadzona została Lesley Manville. Znamy ją z wieloletniej współpracy z Mikiem Leigh, z popularnych seriali czy hollywoodzkich widowisk.

– Od wielu lat obserwuję ją w filmach Mike'a Leigh, doskonale też pamiętam jej rolę w „Nici widmo" Paula Thomasa Andersona. Była na mojej liście nazwisk zawsze na samej górze, ale kiedy pierwszy raz szykowaliśmy się do zdjęć, miała zajęte terminy. Lesley to bardzo instynktowna aktorka, ale od razu wrzuciliśmy ją w dynamiczną sytuację na planie, więc nie musiała specjalnie się zastanawiać nad tym, że gra. Po prostu próbowała dostosować się do trudnych warunków w zimowej Warszawie i Luksemburgu, gdzie powstawała część filmu. W pewnym sensie mogła łatwo utożsamić się ze swoją bohaterką, bo musiała dosłownie wejść w jej buty, przeżyć jej przygody i dyskomfort w skali 1:1. Lesley Manville jest wspaniałą artystką, ale występowała głównie w rolach drugoplanowych. To inny rodzaj wyzwania niż granie w praktycznie każdej scenie. Sekwencje z jej udziałem były na dodatek bardzo wymagające. Spędzała na planie bite 12 godzin. Miałam pokazać jej ulubione knajpki, oprowadzić po Warszawie. Finalnie nie było o tym mowy – wracała do hotelu i padała na twarz. Pewnie uczyła się też kwestii do następnego filmu, który zaczynała chwilę po naszej współpracy.

Wojciech Tutaj

eprasa.pl 2ed9ed76bd

NA EKRANACH



„To był zwykły przypadek”, reż. Jafar Panahi, prod. Francja/Iran/Luksemburg, już w kinach

Granica człowieczeństwa

Jafar Panahi ma wszelkie prawo kląć, złorzeczyć i użalać się nad sobą. Irańska władza najpierw zakazała mu robienia filmów (powstają nielegalnie), potem osadziła go w więzieniu. A jednak „To był zwykły przypadek”, nagrodzony (zasłużenie!) Złotą Palmą w Cannes, skrzy się humorem, za pomocą którego reżyser obśmiewa życie pod rządami reżimu. Ale Panahi nie jest tak naiwny, żeby pokazać środkowy palec i udawać, że jest silniejszy niż prześladujące go państwo. Ekranowe zagrożenie jest jak najbardziej realne, o czym przypomina fakt, że jednego ze scenarzystów, Mehdiego Mahmoudiana, Panahi poznał w więzieniu. Nominowany do Oscara scenariusz inkrustowany jest doświadczeniami jego i trójki innych osób, lecz Panahiego mniej interesuje przypomnienie, że zadzieranie z władzą kończy się torturami i okaleczeniami fizycznymi i psychicznymi. Jego nurtują dociekania, do czego człowiek, który muchy by nie skrzywdził, jest zdolny, gdy zupełnym przypadkiem spotka swojego oprawcę. Z tym że Irańczyka nie obchodzi zgrany do cna motyw zemsty. Ciekawi go, gdzie leży granica między katem a ofiarą. Dzięki temu „To był zwykły przypadek” przestaje być filmem tylko o Iranie, a staje się o każdym z nas.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

Wiwisekcja

Sztuka Mariusa von Mayenburga to gęste studium psychologiczne drażliwych społecznie i obyczajowo tematów. Na deski Teatru Wybrzeże „Ellen Babić” przeniósł młody reżyser Patryk Warchoł.

Kameralny dramat rozgrywa się jednego wieczoru pomiędzy trójką bohaterów – nauczycielką szkoły średniej Astrid (Dorota Androsz), jej obecną partnerką, a jednocześnie byłą uczennicą Klarą (Maria Kresa) oraz Wolframem (Piotr Łukawski), dyrektorem szkoły, od lat beznadziejnie zakochanym w Astrid. Powstał spektakl klasycznie skonstruowany, wiernie podążający za intencjami tekstu, sprawnie zainscenizowany. W tej opowieści drobny incydent na szkolnej wycieczce z udziałem Ellen, tytułowej nastoletniej uczennicy, staje się początkiem głębokiej wiwisekcji nie tylko relacji między bohaterami, ale i mechanizmów patriarchalnej władzy oraz ewentualnych nadużyć ze strony Astrid. Jak to u Mayenburga, nic nie jest i do końca nie będzie jasne. Ze sceny płyną jedynie sugestie, tropy i poszlaki. Wolfram nadużywa swojej pozycji, by być blisko Astrid. Ta z kolei zdaje się manipulować pogubioną i życiowo potrzaskaną Klarą, która w finale okazuje się nadzwyczaj dojrzała.



Warunkiem powodzenia tego rodzaju teatru jest przede wszystkim dobre, oszczędne w środkach aktorstwo. W przypadku „Ellen Babić” to się udaje.

Michał Centkowski

Marius von Mayenburg, „Ellen Babić”, reżyseria Patryk Warchoł, przekład Karolina Bikont, Teatr Wybrzeże w Gdańsku, premiera 8 lutego 2026

ZAJRZYJ TU



Muzeum Historii Polski, Warszawa, ul. Gwardii 1, do 17 maja, wstęp wolny

Okrągły Stół w… jaskini

Kiedy Karol Nawrocki polecił wyrzucić z Pałacu Prezydenckiego stół, przy którym decydowano o zmianach ustrojowych w Polsce, i oświadczył, że oto skończył się postkomunizm, wielu się zastanawiało, co będzie ze słynnym meblem z Henrykowa. Trafił on do Muzeum Historii Polski, gdzie jest czasowo wystawiany, a później wejdzie do stałej ekspozycji. Mebel okala multimedialna prezentacja „Okrągły Stół. Moment przejścia”, zawierająca wiele podstawowych danych, nieznanych zwłaszcza młodszym pokoleniom. I choć można mieć pewne zastrzeżenia, nie do końca zgadzać się z prezentowaną treścią, warto obejrzeć tę wystawę. Tym bardziej że twórcy ekspozycji dość zaskakująco umiejscowili Okrągły Stół… w jaskini, która według nich ma symboliczne znaczenie. Czy jednak bardziej będzie się on kojarzył z jaskiniowcami, czy z miejscem plemiennych debat, to osądzą zwiedzający.

Paweł Dybicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, DAWID STUBE, NOWE HORYZONTY

eprasa.pl 2ed9ed76bd



Wystawa „ŚWIATŁO. Praktyki odporności" w Spectra Art Space.

ŚWIATŁO RZUCONE NA ŚWIATŁO

Nie ma widocznego piękna bez światła. To ono umożliwia istnienie: w sensie życia i w sensie tożsamości

Daniel Wójtowicz

Bohaterem najnowszej wystawy w Spectra Art Space jest światło. Dziwne to i doniosłe zarazem. Światło stanowi oczywisty komponent malarstwa, więc robienie z niego odrębnego tematu prezentacji może się wydawać naciągane. Z drugiej strony zamysł taki uświadamia, że we wszelkich obrazach nie ma bardziej niezwykłego zjawiska niż światło właśnie, różne jego objawienia.

Anna Muszyńska, kuratorka wystawy „ŚWIATŁO. Praktyki odporności", przypomina, że nie ma widocznego piękna bez światła. Refleksja nad światłem przypomina zatem tę nad powietrzem: jedno i drugie jest oczywistością i cudem zarazem. I jedno, i drugie jest niezbędne, by istnieć: w sensie życia i w sensie tożsamości.

Galeria Spectra Art Space – hojny twór wyjątkowego mecenasa sztuki, rodziny Staraków – wyrosła na jedną z najważniejszych przestrzeni prezentacji polskiej sztuki nowoczesnej w stolicy. Otwarta jest dla wszystkich, i to za darmo. Kolejne wystawy w tym miejscu cieszą się ogromnym zainteresowaniem: prace Andrzeja Wróblewskiego pokazywane w ubiegłym roku obejrzało ponad 10 tys. osób! Również „ŚWIATŁO. Praktyki odporności" ma szansę na dużą popularność, zestawia bowiem prace wielu znamienitych autorów, m.in. Wojciecha Fangora, Stefana Gierowskiego, Tadeusza Kantora, Janiny Kraupe-Świderskiej, Władysława Strzemińskiego i Jerzego Tchórzewskiego.

Refleksja nad światłem przypomina tę nad powietrzem: jedno i drugie jest oczywistością i cudem zarazem.

O wyjątkowej, wręcz metafizycznej mocy światła mówi zawieszony w centralnej części ekspozycji obraz uchylonych czarnych wrót, zza których z dużym trudem, przez bardzo wąską szparę, przedostają się jaskrawe i ożywcze barwy. To dramatyczna praca malarza Andrzeja Dłużniewskiego (1939-2012), który utracił wzrok w wypadku samochodowym. Poruszającą wizję rozpaczliwej tęsknoty za jasnością przenieśli na płótno jego bliscy… Światło jest całym światem, ciemność jest cierpieniem – zdaje się mówić obraz, nostalgicznie zatytułowany „Tam".

Długo też można się wpatrywać w obrazy Andrzeja Pawłowskiego (1925-1986) zatytułowane „Forma naturalnie ukształtowana", na których jednolite, czarne czy piaskowe płaszczyzny zostały widocznie wybrzuszone – jakby coś wciskało się w płótno od spodu. Trudno uwierzyć, że wszystkie te kształty to tylko złudzenie, efekt odpowiedniego nagromadzenia czy rozrzedzenia światła w obrazie. Naprawdę widzimy nieprawdę. Nie można przy tym nie zadać sobie pytania o tę prawdę, którą poznajemy i przez teleskopy,

eprasa.pl 2ed9ed76bd

i przez mikroskopy. Wszystko w nich jest przecież tylko światłem, któremu dajemy wiarę... Obraz wszechświata, jaki znamy, to również tylko światło niosące stany i zdarzenia z niewyobrażalnie dalekiej przeszłości – światło bowiem potrzebuje czasu, aby do nas dotrzeć. Patrząc w nocne niebo, nigdy nie widzimy wszechświata takim, jakim jest „teraz". Widzimy go takim, jakim był w przeszłości. Mimo to z ogromną mocą temu światłu ufamy.

Wojciech Fangor (1922-2015) na swoich obrazach, jak na tym wystawionym w Spectra Art Space, o tytule „B 77", prezentuje jaskrawe kręgi – niczym dziwne obiekty kosmiczne. Są to potężne ogniska światła. Wielkość Fangora polega w dużym stopniu na tym, że próbuje w nie wejrzeć i je odzwierciedlić. Przewodniczka po wystawie dopowiedziała, że malarz łączył swoją twórczość, już w szczycie kariery, z pasją obserwacji astronomicznych. Przeżywał wyraźną fascynację światłem. Na płótna – warte dziś grube miliony – przeniósł jego wizje. Mimo pozornego podobieństwa są one nieskończenie różne i nieprzeniknione. Nieostre, subtelnie rozmazane krawędzie promieniujących kręgów (efekt sfumato) mają dekoncentrować nasze oczy i uzmysławiać nieokreśloność tego zjawiska. Uświadamiają, że pomimo swojej powszechności światło pozostaje wielką tajemnicą z pogranicza fizyki i nieznanego nam dotąd świata. Jego zgłębianie jest i dla naukowców, i dla twórców wyzwaniem na drodze ku przyszłości.



Andrzej Dłużniewski, „Tam", 2006.



Jerzy Kałucki, „Courses X", 1976.



Ryszard Winiarski, „Obszar 101. Próba losowego rozdzielenia obszaru na cztery płaszczyzny. Zmienna losowa – kostka do gry", 1972.

Podobny kierunek, ale oczywiście pokazując to w odmienny sposób, obrało wielu innych artystów, których prace zgromadzone zostały na wystawie. Obrazy Anny Huskowskiej-Młynarskiej (1922-1989) są próbą uchwycenia różnorodności światła w kolorowej przestrzeni. Anna Cyronek-Kalinowska (1919-2008) w „Owalu I" pokazuje je zatrzymane w bryle – nadające jej nie tylko blask, lecz i trójwymiarowość.

Ryszard Winiarski (1936-2006) w pracy plastycznej „Obszar 101", która jest próbą rozbicia obrazu na cztery różne płaszczyzny, używa m.in. płytek lustrzanych, by „wciągnąć" do dzieła realne światło otoczenia i zamienić je w jego żywy element. Znaleźć można w nim zatem i siebie, i własne spojrzenie – nieregularnie przetworzone, przez co prawdziwie frapujące. Tworzy to specyficzny kontekst do pytań (nieobcych przecież fizyce i sztuce) o związek rezultatu obserwacji z obecnością i pozycją obserwatora.

Światło zawsze znajdowało się w centrum sztuki malarskiej. Najpierw rozjaśniało ciemności i nadawało charakter osobom, pejzażom czy przedmiotom. Później – służyło ekspresji ludzkich emocji. Dziś coraz częściej staje się dla malarzy bohaterem samoistnym. Dzieje się tak głównie za sprawą coraz głębszego rozpoznawania jego nadzwyczajnej mocy, jak i przekonania o jego łączności z niewidzialną stroną wszechświata. Ludzkość, jak słyszę i czytam, jest coraz pełniej przekonana o jej istnieniu. Wraz z tym powstaje pytanie o zdolność człowieka do jej odkrywania i zrozumienia.

Nic tak jak sztuka, malarstwo nie jest w stanie przygotować ludzkiego oka i umysłu do wyjścia poza znane ramy. Studia artystów wizjonerów nad wyimaginowanymi kształtami, blaskami, zestawieniami kolorów i kontrastów, a przede wszystkim właśnie nad światłem, są znaczącymi tego próbami. Wystawa w Spectra Art Space tworzy ciekawą możliwość kolejnego w nie wejrzenia.

ŚWIATŁO. Praktyki odporności
Spectra Art Space
Warszawa, ul. Bobrowiecka 6
do 31 maja

FOT. DANIEL WÓJTOWICZ (4)

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Gdy nie odczuwa się niczego

Czy wiedzieliście, że jesteście nieszczęśliwi?

Dr Judith Joseph



Bruce Wayne – miliarder, który przemienia się w Batmana – stanowi modelowy przykład osoby z depresją wysokofunkcjonującą wywołaną przez traumę z dzieciństwa. Jako kilkuletni chłopiec był świadkiem morderstwa rodziców, przez co jako dorosły mężczyzna powiela wzorzec traumy: nieustannie naraża się na niebezpieczeństwo, gdy walczy z przestępczością i pędzi w stronę zagrożenia – tak jak czynią to policjanci i inni pracownicy służb szybkiego reagowania (…). Batman zawsze stawia potrzeby mieszkańców Gotham City ponad własne i nie otrzymuje za to żadnego wynagrodzenia. Do tego dochodzi jeszcze zbiorowa trauma życia w tym mieście, które nieustannie balansuje na granicy katastrofy. To wszystko składa się na wyjątkowo traumatyczny bagaż doświadczeń, a jednak Bruce Wayne jako Batman się nie poddaje. Bez wytchnienia śledzi złoczyńców, konstruuje zaawansowane technologicznie gadżety do walki z przestępczością i odgrywa rolę bohatera, którego Gotham potrzebuje.

Joker bynajmniej nie ustępował Batmanowi po względem determinacji. Wiecie zatem, czym ci dwaj się od siebie różnili? Joker dobrze się bawił. Batman miał zimne spojrzenie, ciągle zaciskał zęby i przybywał na miejsce w czarnym kostiumie, a Joker nosił jaskrawe stroje, nieustannie się uśmiechał i zostawiał po sobie wybuchające prezenty. (…)

Nie zrozumcie mnie źle – Joker bez wątpienia zmagał się z poważnymi problemami psychicznymi. Jednak nasz bohater, Batman, wcale nie miał się lepiej. I wielu z nas powiela jego schemat. Staramy się odsunąć od siebie własną traumę i za wszelką cenę odgrywamy rolę bohatera. Wieczne działanie. Nieustanny ruch. I całkowita pustka emocjonalna. Ani radości, ani smutku. Nie kończy się to typową depresją czy przygnębieniem, lecz anhedonią, czyli stanem, w którym nie odczuwa się niczego.

•

Czy słyszeliście kiedyś powiedzenie: „Nie każdy błądzi, kto wędruje”? Cóż, nie każdy się smuci, kto choruje na depresję. Niejeden czuje pustkę lub obojętność. Bylejakość bądź odrętwienie. Albo nawet potrzebę ciągłej aktywności. Opisywany tu stan nazywamy anhedonią. Jeżeli sami go doświadczacie, to bardzo możliwe, że nawet nie zdajecie sobie z tego sprawy.

Termin „anhedonia” funkcjonuje w literaturze medycznej od ponad 100 lat. Wprowadził go pod koniec XIX w. francuski psycholog Théodule Armand Ribot, by określić brak lub utratę zdolności odczuwania przyjemności. Zjawisko to bynajmniej nie jest nowe, ale w latach 20. XXI w. przejawia się zgoła inaczej niż w latach 90. zeszłego wieku. (…)

Anhedonia objawia się dwojako: rezygnujemy z dążenia do udziału w niegdyś przyjemnych zajęciach, a nawet jeżeli już je wykonujemy, to nie potrafimy się nimi cieszyć. Łatwym sposobem na zapamiętanie znaczenia tego terminu jest rozłożenie go na części: *an-* to po grecku „bez”, *hedone* – „przyjemność”, a zatem anhedonia znaczy dosłownie „bez przyjemności” albo „brak radości”.

Kiedy doświadczamy anhedonii, żyjemy tylko po to, aby przetrwać dzień – nie aby próbować nowych potraw w towarzystwie przyjaciół podczas wypadu do włoskiej knajpki po pracy, doskonalić techniki podnoszenia hantli na siłowni ani sprawdzać rano w lustrze, czy serum do twarzy zaczyna działać. Tracimy satysfakcję z takich rzeczy jak przygotowanie nowej potrawy na rodzinny obiad albo ukończenie raportu w pracy. Nie ma radości z oczekiwania, nie ma przyjemności w przeżywaniu chwili i nie ma dumy z wykonanej misji. Jest natomiast zwątpienie w siebie i są pytania: „Czy dobrze doprawiłam kotleta?”, „Czy ta prezentacja na pewno zainteresowała odbiorców?”. A kiedy już zrobimy, co do nas należy, bynajmniej nie świętujemy. Zaczynamy realizować kolejny cel. I kolejny. I jeszcze jeden.

Uważam, że prawie wszyscy od czasu do czasu zmagamy się z anhedonią. Szacuję, że tego stanu doświadczyło 95% z nas – stanu, kiedy nasza ulubiona piosenka nie

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2ed9ed76bd

poprawia nam już nastroju, a całogodzinne dzierganie na drutach nie sprawia dawnej frajdy. Anhedonia wkrada się do życia jakby znikąd i zaczyna ograbiać je z wszelkiej radości. Zawodowo nie mamy sobie równych i jesteśmy opoką dla rodziny, ale gdy w samotności sobotniego wieczoru odpowiemy już na wszystkie mejle, podczas gdy inni szaleją na mieście, wcale nie mamy poczucia dobrze spełnionego obowiązku. Czujemy pustkę.

W wielu przypadkach anhedonia mija równie szybko, jak się pojawiła, i nie stanowi problemu. Trudności zaczynają się, gdy stan ten trwa zbyt długo. A ponieważ osoby z depresją wysokofunkcjonującą świetnie przystosowują się do niekomfortowych warunków – mogą żyć w odrętwieniu przez długi czas i nawet nie zdawać sobie z tego sprawy.

i żyła dalej jak gdyby nigdy nic. Nikomu nie powiedziała o tym incydencie, aż w końcu trafiła do mnie na leczenie z powodu depresji poporodowej i depresji wysokofunkcjonującej. Przed symptomami i zaburzeniami można uciekać przez jakiś czas, ale nie bez końca.

Warto tutaj zaznaczyć, że anhedonia nie jest odrębną jednostką chorobową, lecz objawem towarzyszącym różnym zaburzeniom. W depresji odgrywa taką samą rolę, jaką suchy kaszel i kichanie w przeziębieniu – i w pewnym sensie bywa równie zaraźliwa. Każdy z nas miał do czynienia z gniewnym wykładowcą, kontrolującym szefem czy wiecznie niezadowolonym członkiem rodziny, który się przepracowywał, przerzucał swoje problemy na innych i w ogóle nie potrafił czerpać radości z życia. (…) Ta obojętność bardzo łatwo

Kiedy doświadczamy anhedonii, żyjemy tylko po to, aby przetrwać dzień.

(…) Akt rozpoznania i nazwania własnych uczuć poprawia nastrój i zmniejsza strach. Zjawisko to – znane jako „etykietowanie afektu" – stanowi formę regulacji emocji i według badań może pomagać w obniżaniu stresu. Tego właśnie pragnęłam dla moich pacjentów, którzy w ostatnich latach coraz częściej mówili mi, że nie potrafią doświadczać radości tak intensywnie jak kiedyś. Nie przetwarzali swoich emocji, więc sami nie wiedzieli, co czują. Ciągle szukali sobie zajęcia, żeby odwrócić uwagę od niewygodnych uczuć albo przekuć je w działanie.

Anhedonia okazuje się również metodą pomagającą tłumić przykre emocje. Ale nie na zawsze. Jedna z pacjentek cierpiących na anhedonię opowiedziała mi, że podczas odkurzania salonu nagle się rozpłakała i zaczęła krzyczeć, ale zapanowała nad sobą, gdy tylko zobaczyła, że przestraszyła trzyletnią córkę, która odłożyła iPada i zaczęła ciągnąć mamę za spódnicę, żeby zrozumieć, co się dzieje. Uspokoiła dziecko, schowała odkurzacz, zabrała się za przygotowywanie obiadu dla rodziny

przenosi się na członków rodziny, współpracowników czy przyjaciół, którzy mają ciągły kontakt z osobą doświadczającą anhedonii (…)

Nie chcę was straszyć, ale wśród najczęstszych schorzeń, którym towarzyszy anhedonia, znajdują się zaburzenia psychiczne (np. schizofrenia), choroby neurodegeneracyjne (choroba Alzheimera czy Parkinsona) oraz uzależnienia. (….) Anhedonia doczekuje się uwagi tylko przy szeroko omawianych, rzucających się w oczy chorobach. W cichych, niewidocznych schorzeniach – takich jak depresja wysokofunkcjonująca – pozostaje niedostrzeżona. Najwyższa pora zająć się tymi, którzy cierpią po cichu. (…)

•

Anhedonia to cichy symptom. Depresja może objawiać się na wiele wyraźnych sposobów – np. jako nieobecność na rodzinnym spotkaniu, płaczliwość, szlochanie w poduszkę. Depresja bywa przytłaczająca, a anhedonia jest cicha i podstępna. Nie rzuca się w oczy. Umyka oczywistym kryteriom. (…) Kolejnym powodem, dla którego mogliście nie słyszeć o anhedonii, jest fakt, że lekarze rzadko jej wypatrują, i dlatego jej obecność łatwo umyka diagnostom. Specjaliści zauważają brak popędu seksualnego, spadek energii, utratę apetytu i napomknięcia o niechęci do życia, ale nie dostrzegają, że przestajecie czerpać przyjemności z jedzenia i uprawiacie seks tylko dla satysfakcji partnera. Medycy mają na celu utrzymać was przy życiu, a nie pomóc wam czerpać z niego garściami. (…)

W medycynie tradycyjnie skupiamy się na rozwiązywaniu problemów. Jeśli pacjent jest smutny, próbujemy mu pomóc odzyskać radość. Jeśli jest na drodze do wypalenia, chcemy sprawić, by o siebie zadbał i zwolnił tempo. A jeśli pacjent czuje się byle jak? Problem ten rzadko doczekuje się diagnozy. W moim zawodzie nie skupiamy się wystarczająco na pielęgnowaniu radości – koncentrujemy się na problemach, a nie na potencjale pacjentów.

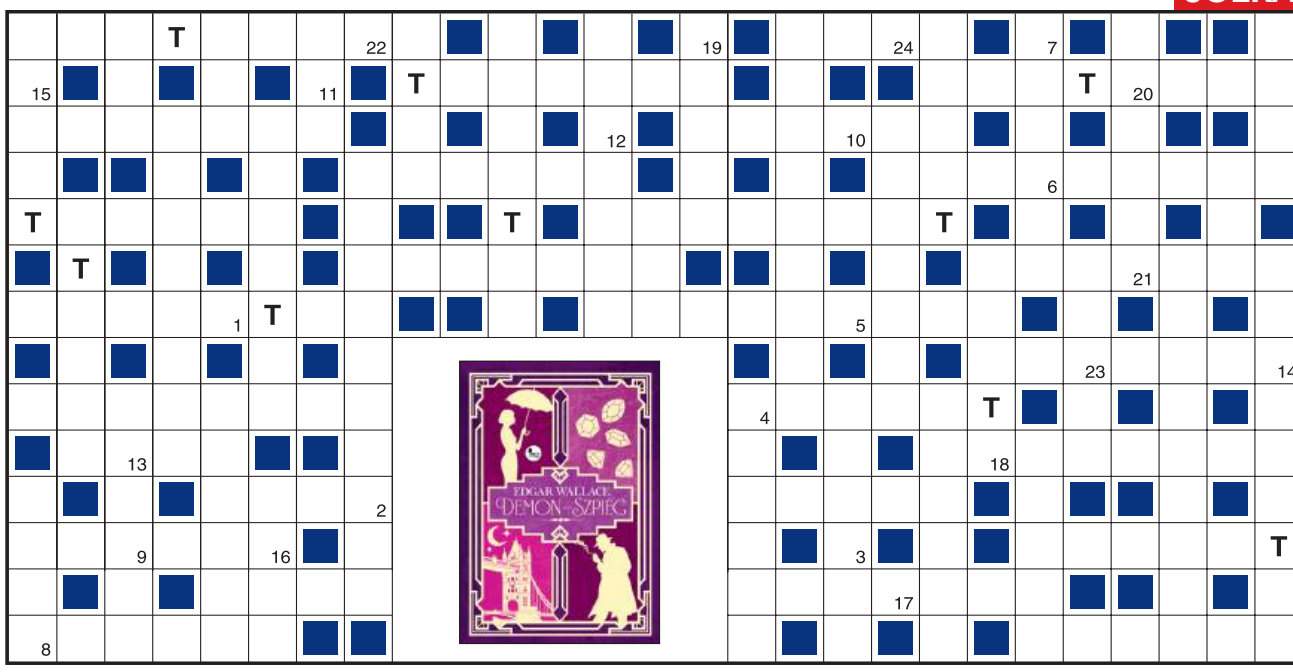
Ostatnim powodem, dla którego tak mało się mówi o anhedonii, jest fakt, że nasza kultura nie zachęca do rozmowy o uczuciach. Ba, wręcz zniechęca nas do ich doświadczania. Pomyślcie, jak często na „Jak się masz?" odpowiadacie ogólnikowym „Dobrze" zamiast szczerym „Padam z nóg", „Jestem w euforii" albo chociażby „Wiesz co? Nie jestem pewien". Jak często w odpowiedzi na zadane na imprezie pytanie: „Dobrze się bawisz?", rzucacie odruchowo: „Tak!", choć tak naprawdę nie macie z kim porozmawiać i chcielibyście, żeby ktoś przedstawił was zaproszonym osobom? Albo bolą was nogi, a miejsc do siedzenia jest za mało. Nie chcemy być nieuprzejmi ani zajmować ludziom czasu, opowiadając o swoich uczuciach i potrzebach. A czasem sami nie za bardzo mamy ochotę przyglądać się swoimi emocjom.

Fragmenty książki dr Judith Joseph *Wysokofunkcjonująca depresja. 5 kroków ku zdrowiu*, przeł. Lucyna Wierzbowska, Znak, Kraków 2026



eprasa.pl 2ed9ed76bd

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- rozpierzchłe lub wzniesione, kwitną pomarańczowo lub żółto
- rzymski filozof, autor „Metamorfoz”
- rodzaj haftu lub dzianiny z dziurkami
- specjalne obciążenie np. statku
- cyganeria inaczej
- Kusy lub Sokół w „Panu Tadeuszu”
- imię szefowej neo-KRS
- postanawia, bo jest do tego uprawniony
- płyta ze sklejonych warstw drewna
- Wodnika, nowożytna lub postindustrialna
- produkt alkoholowej fermentacji cukrów, skrobi
- najwyższy i największy wulkan Europy
- stolica regionu Liguria
- łódź na Canale Grande
- jej muzą Klio
- na nią kierowano iskry z krzesiwa
- kanion jego rodzajem
- żółtoczerwony barwnik roślinny
- barwny japoński karp
- Czterech Skoczni lub Eurowizji
- węgla, soli albo złota
- „…na kwaśno”, kryminał Chabrola
- kapcie regionalnie, z niemiecka
- miasto nad Łebą i Okalicą
- schorzenie skóry lub ślad rdzy, pleśni
- jego maskę znalazł Stanley Ipkiss
- przywódca zbuntowanych aniołów
- …Sosnowska, ukochana Kościuszki
- gilgotki, łaskotki
- włóczęga, włóczykij
- pracownik przetaczający wagony
- imię pogodynki Słupkowskiej
- brzoskwiniowa lub grochowa – szkodnik roślin
- Katmandu jego stolicą
- święty, faryzeusz sprzyjający Jezusowi
- wyborcza, podatkowa lub majątek ziemski
- drewno dalbergii
- …błękitne – gaz ziemny
- …Zimowy, część Ermitażu
- lekarstwo na wszelkie choroby
- towarzyszy kierowcy rajdowemu
- szybki obrót na palcach jednej nogi
- budowy lub Defilad
- druzgocąca klęska
- pożywienie lub duchowy, dla wyobraźni
- mąż stanu, działacz partii władzy albo opozycji
- brudna woda po zmywaniu
- część zdania określająca rzeczownik
- teren niezamieszkany, odludzie
- Wielka… Koralowa
- teren uprawy drzew owocowych
- płodów rolnych lub surowców wtórnych
- po parku, plażą, z psem
- zapach spalenizny
- przemoc i okrucieństwo służące zastraszeniu
- dział retoryki zajmujący się przenośniami
- maluch przy losze
- Czarna Woda, lewy dopływ dolnej Wisły
- nauka o nich to ofiologia

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1262”. Do rozlosowania książki „Demon-szpieg” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 1 marca 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1259” z nr 6: *W naturze nic nie ginie.*
Nagrody otrzymują: Juliusz Kidawa z Połańca, Maria Szast z Lublina, Stefan Szymski z Rymanowa.

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Bezdomny, czyli Polak

Polska chwali się, że jest 20. gospodarką świata. A jednocześnie dźwiga pewne wstydliwe brzemię, które powoduje, że na zachodzie Europy ta informacja o bogatej Polsce jest przyjmowana z niedowierzaniem.

O co chodzi? Niedawno w wir międzynarodowych obowiązków rzucił się marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty. I udał się z wizytą do Berlina. Tam miał oficjalne spotkania, a także spotkanie z przedstawicielami berlińskiej Polonii. Przyszło na nie ok. 30 osób, z różnych organizacji, byli też działacze niemieccy polskiego pochodzenia. Grono bardzo reprezentatywne.

I teraz – jaki problem wysunął się na pierwszy plan? Oto jak Marek Siwiec opisywał w Sejmie spotkanie: „Gdybym miał podać hasztag, to co najmocniej wybrzmiało? Relacjonuję jeszcze raz, że to jest opieka nad bezdomnymi Polakami w Berlinie. To rzecz, która w sposób szalenie bolesny i trudny była opisywana przez Polaków, w tym lekarzy, którzy tam pracują i organizują pomoc w sposób dosyć przypadkowy. Mówiono o tych sytuacjach życiowych, które są już podobno w skali idącej w setki, jeśli nie tysiące. Polacy są najbardziej dotkniętą grupą, jeśli chodzi o zaburzenia psychiczne i brak realnej, skutecznej opieki. W tej sprawie wspólnie z ambasadą próbujemy zorganizować jakieś działania".

Pisaliśmy już o tym parokrotnie. W Europie żyje kilkanaście tysięcy bezdomnych Polaków. To są oficjalne dane, przekazane przez wiceministra spraw zagranicznych Władysława Teofila Bartoszewskiego: „W oparciu o zgromadzone przez konsulów RP dane orientacyjne można oszacować, że liczba osób w kryzysie bezdomności posiadających obywatelstwo polskie lub będących polskiego pochodzenia wynosi co najmniej kilkanaście tysięcy osób w państwach Europy Zachodniej, tj. w Niemczech, Francji, Niderlandach, Belgii, Hiszpanii, Portugalii, Włoszech, na Malcie, w Austrii, w Szwajcarii, w Wielkiej Brytanii oraz Irlandii".

W wielkich miastach Europy – Berlinie, Amsterdamie, Brukseli, Londynie, Paryżu – nie sposób nie natknąć się na polskich kloszardów. Mają swoje miejsca urzędowania, najczęściej na dworcach, w parkach, widać ich i słychać. Według lokalnych danych Polacy są największą grupą wśród bezdomnych. Co z nimi zrobić?

Konsulowie zgodnie opisują mechanizm prowadzący do bezdomności. Chodzi o Polaków, którzy pojechali na Zachód za pracą i tę pracę stracili. W drugiej kolejności utracili mieszkanie, na to nałożyły się nałogi. I wtedy zaczyna się spirala upadku.

Jak takim ludziom można pomóc? Konsulowie do tej pomocy są zobowiązani. Załatwiają więc noclegi, często wspomagają różnymi zapomogami, finansowymi i rzeczowymi, organizują też transport do kraju (za który trzeba zwrócić pieniądze).

Jednocześnie współpracują z lokalnymi partnerami, instytucjami, udzielają wsparcia materialnego organizacjom pomocowym (zakup żywności, odzieży, środków czystości dla bezdomnych), współpracują z miejscowymi i polskimi streetworkerami itd.

Ciężka to robota i niewdzięczna. Chodzenie po noclegowniach, dworcach, więzieniach… Może czas rozwiązać problem polskich bezdomnych w sposób bardziej kompleksowy?

Attaché



Szef Mety Mark Zuckerberg zeznawał w procesie z oskarżenia 19-latki, dotyczącym uzależnienia dzieci i młodzieży od platform internetowych. Los Angeles, 18 lutego 2026 r.

FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 2ed9ed76bd







TYGODNIK ANGORA

MACIEJ MACIUSIAK,
TRENER POLSKICH SKOCZKÓW

Jaki jest Kacper Tomasiak?

– Niewiarygodnie trudny do opisania. Nie widziałem i nie prowadziłem do tej pory takiego zawodnika. Więcej tajemnicy zdradziła mi jego mama. Po niej Kacper ma nerwy ze stali, wyróżnia go naturalna odporność psychiczna. Wszyscy w rodzinie podobno nerwowo przeżywają jego skoki, a mamy nie rusza podobno nic, nie denerwuje się. Kacper ciężko pracuje, słucha chętnie uwag, jest pełnym profesjonalistą. Sam widzi nieraz potrzebę ulepszenia któregoś elementu skoku. W Predazzo też wychwycił, że ręka nie do końca bywała wyprostowana przy lądowaniu. Ważne jest także to, że w zawodach skacze lepiej niż na treningach.

zwierciadło

WOJCIECH EICHELBERGER,
PSYCHOLOG, PSYCHOTERAPEUTA

Prawdziwy nauczyciel dobrze wie, że uczeń, który staje się jego kopią, nie jest udanym uczniem. Dobrym uczniem jest ten, który w relacji z mistrzem zachowuje swoją indywidualność i odrębność, wnosi coś od siebie. Czasami ściera się z mistrzem, by kreatywnie, po swojemu, przekształcać mistrzowską schedę. (…) Swojego mistrza można rozpoznać tylko po dłuższym czasie osobistej relacji na żywo, niezapośredniczonej mediami. Bo, jak wiadomo, w mediach pokazuje się tylko tę najlepszą wersję siebie i z łatwością można stworzyć swój iluzoryczny wizerunek. Aby więc spotkać prawdziwego mistrza, trzeba go długo szukać. Dlatego mówi się, że mistrz pojawi się, gdy uczeń jest gotowy. A uczeń jest gotowy, gdy wykaże niezłomną determinację, by go znaleźć i się do niego dostać. Szukajmy więc prawdziwych mistrzów i dbajmy o nich. Są nam wszystkim pilnie potrzebni.

ZDANIE

DOMINIKA RAFALSKA,
DZIENNIKARKA, REDAKTORKA, BADACZKA

Zmiana przeznaczenia świątyń ma w Europie długą tradycję, związaną choćby z podbojami religijnymi. W Kordobie (Hiszpania) w dawnym meczecie znajduje się dzisiaj katolicka Katedra Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny (wcześniej Wielki Meczet, dziś Mezquita-Catedral de Córdoba). Spacerując ulicami Kopenhagi, można wstąpić do eleganckiej restauracji Maven zlokalizowanej w zabytkowym gotyckim dawnym Kościele św. Mikołaja. Od lat 60. w centrum Amsterdamu funkcjonuje kultowy klub muzyczny Paradiso w przebudowanym budynku dawnego kościoła. W Holandii popularne jest także adaptowanie kościołów na luksusowe prywatne posiadłości, hotele czy centra sztuki współczesnej. W Londynie dawny Kościół Świętej Trójcy z XIX w. przy Marylebone Road reklamuje się dzisiaj jako „najbardziej wszechstronne miejsce organizacji imprez w Londynie". Odbywają się tu wydarzenia kulturalne. Ale też komercyjne czy biznesowe.

Twój STYL

EWA SZYKULSKA,
AKTORKA

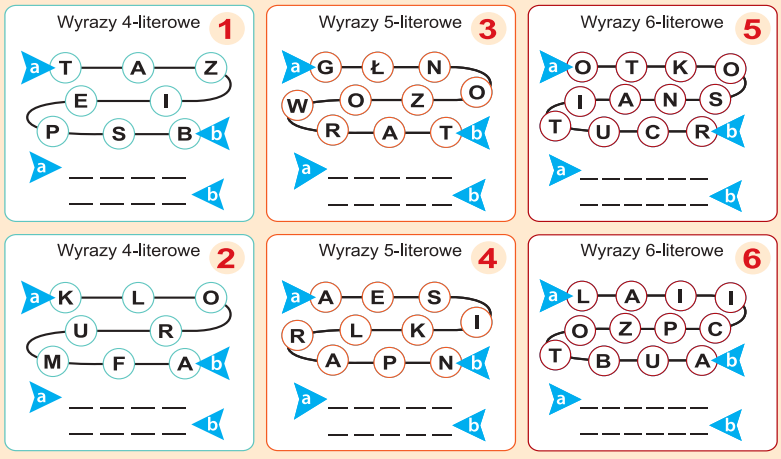
Zawód, który wybrałam, utrzymuje moją równowagę lub nierównowagę psychiczną. Dzięki niemu się wyciszam, skupiam. Zaczynam myśleć, analizować, bo taka jest potrzeba przed kamerą czy na scenie, a za sekundkę to wybucha. Ale wychodzę od ciszy. Mam skłonności do przerysowań, lubię to bardzo. Zbyt łatwo mi przychodzi rozwichrzenie i atrybuty szaleństwa, gesty, dźwięki. Nie bez powodu niektórzy mówią, że najlepiej się sprawdzam, kiedy gram „do środka", gdy się samoograniczam.

FOT. AMEM, RACJONALNA POLSKA, SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 2ed9ed76bd

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.



ROZWIĄZANIA: TIPS, BEZA, LUFA, MROK, GŁOWA, TRZON, EKRAN, PLISA, KONTUR, CIASTO, LICZBA, UTOPIA



Aby język giętki…

ANDRZEJ STASIUK O POLEXICIE

To wiele mówi o naszej kompletnej głupocie. O braku racjonalności.

MAREK SIWIEC O RAZEM

Skoro ktoś myśli jak opozycja, zachowuje się jak opozycja, niech siedzi tam, gdzie opozycja.

PROF. EWA ŁĘTOWSKA O WAKATACH W TRYBUNALE KONSTYTUCYJNYM

Mnóstwo polityków aż nóżkami przebiera, żeby przejść z polityki do Trybunału albo zapewnić takie lądowanie swoim.

MACIEJ MACIUSIAK O MEDALACH TOMASIAKA

Po konkursie popłakaliśmy się z całym sztabem trenerskim. Łzy się lały; to niekontrolowane przeżycie.

JAN KOMASA O WALCE Z MANIPULACJĄ

Jesteśmy zmanipulowani przez gigantyczną ilość często sprzecznych informacji. Namawiam, żeby się od tego odciąć.

ANDRZEJ STANKIEWICZ O ŻONIE PREZYDENTA NAWROCKIEGO

Stała się instrumentem w rękach męża, który chce ją wykorzystać do ocieplenia swojego wizerunku kibola i łowcy kawalerek.

DANIEL OLBRYCHSKI O ZWIĄZKU Z KRYSTYNĄ DEMSKĄ

Tak naprawdę zaczęło się od… dobrego seksu.

KATARZYNA SKRZYNECKA O MĘŻU

Z anielskim spokojem toleruje mój chaos – jestem roztrzepana i wiecznie spóźniona.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Krystyna Wojtyna-Drouet Ja dla siebie nie istnieję



Artystka w pracowni.



Dokumentacja pracowni.

Krystyna Wojtyna-Drouet, jedna z najważniejszych reprezentantek polskiej szkoły tkaniny, 4 stycznia obchodziła 100. urodziny. Jej tworzone od lat 50. gobeliny i kilimy wyrastają z eksperymentalnej tradycji środowiska skupionego wokół pracowni Eleonory Plutyńskiej. Charakteryzuje je skupienie na fakturze splotu, materialności włókna i intuicyjnym procesie powstawania formy, traktowanym jako doświadczenie medytacyjne. Artystka pracuje bez wstępnych projektów, z ręcznie przędzioną wełną, barwioną według tradycyjnych receptur. Wystawa, wybór prac z lat 1953-2018, ukazuje ewolucję jej języka: od wczesnej figuracji, przez struktury abstrakcyjne, po późne kompozycje liryczne. Prezentowane są też materiały warsztatowe dokumentujące techniki tkackie i autorska odzież z samodziału.

Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki
Warszawa, pl. Małachowskiego 3
do 4 kwietnia



Odzież z samodziału.



Adam i Ewa, gobelin, 1969.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, JĘDRZEJ SOKOŁOWSKI, DANIEL RUMIANCEW, ARCHIWUM KRYSTYNY WOJTYNY-DROUET

eprasa.pl 2ed9ed76bd

Pomóżmy sobie wzajemnie

1,5%

PIT
PODARUJ
SENIOROM



KRS 0000161452

FUNDACJA EMERYT

Fundacja „EMERYT”
ul. Ogrodowa 8, 00-896 Warszawa
tel.: (22) 620 40 44
www.fundacja-emeryt.org
e-mail: seniorzy@fundacja-emeryt.org

eprasa.pl 2ed9ed76bd

TEATR CAPITOL

GRAMY W CAŁEJ POLSCE



Świętuj Dzień Kobiet razem z nami!

autor Peter Quilter

NASTĘPNEGO DNIA RANO

przekład Elżbieta Woźniak

reżyseria Ewelina Pietrowiak

KUP BILET TEATR CAPITOL 2020

5 - 8 marca | piątek, 6 marca godz. 20:00 | www.teatrcapitol.pl

scenariusz na motywach powieści Juliusza Verne'a oraz teksty piosenek - Robert Górski

W 80 DNI DOOKOŁA ŚWIATA

★TAM I Z POWROTEM★

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Reżyseria:
Robert Talarczyk
Mateusz Znaniecki

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 2ed9ed76bd